

Marcin Wolski

Cud nad Wisłą

ISBN 978-83-7700-007-6

Warszawa 2010

I

Detonator zmiany

Nikt dokładnie nie wie, jak przebiegają stosunki między Niebem a Piekłem. Jednak biorąc pod uwagę, że obie strony funkcjonują obok siebie od dawien dawna, należy założyć, iż musiały wykształcić się między nimi jakieś procedury umożliwiające minimum wzajemnych kontaktów, przynajmniej do chwili, kiedy dojdzie do ostatecznego starcia pod Armagedonem, którego wynik podobno jest od początku przesądzony, choć Szatan nie chce przyjąć tego do wiadomości.

Możemy więc wyobrazić sobie, że istnieją jakieś wzajemne przedstawicielstwa, a może nawet ambasady, a urzędnicy – biesy dyplomatyczne i archaniołowie konsularni – spotykają się co jakiś czas, a nawet wchodzą w swoistą zażyłość. Kto wie, czy nie toczony są między nimi jakieś gry służące sprawdzeniu własnej determinacji, lub choćby tylko po to, aby nie wyjść z wprawy.

Tamtego wrześniowego dnia w prowincjonalnym punkcie kontaktowym na brzegu Wisły doszło do pewnej niezwyklej dyskusji zakończonej zakładem. Co więcej, istnieli nawet świadkowie tego zdarzenia, Kasia i Kamil. Co prawda Kamila Barczewskiego, studenta ostatniego roku historii i świeżo upieczony dziennikarza pierwszej wolnej gazety w całym bloku wschodnim, trudno byłoby uznać za świadka. 12 września o godzinie 5.29 nad ranem był zmęczony, senny i zakochany. A właściwie w najważniejszym momencie zasnął wtulony w cudowny łuk utworzony przez posagową szyję Kasi i nie mniej piękne ramię, greckim rzeźbom podobne.

Od momentu opuszczenia przez Kasię prywatki u Jędrka Felgiewicza, w chwili kiedy zaczęło się naprawdę robić wesoło, a Julia pierwsza zdarła bluzkę, wołając, kto następny pójdzie w jej ślady, upłynęły cztery godziny długiego spaceru. Jakoś trudno było się rozstać. Już samo w sobie było to dosyć dziwne. Owszem, zdarzało się, że jakaś cnotka przestraszona perspektywą ostrego seks party opuszczała przyjęcie. Jednak Kamil nigdy dotąd nie gonił takich dziewcząt. Zwykle rozglądał się za jakimś innym towarem i przeważnie kończył wieczór celnym strzałem w łazience, garderobie czy pakamerze, gdzie bawiły się inne mniej pruderyjne parki. A teraz? Po prostu nie chciał jej stracić, nawet za cenę narażenia się na śmieszność. Samokrytycznie czuł, że wrzucił za szybkie tempo, licząc, że przy odrobinie

alkoholu odezwie się w niej wreszcie południowy temperament, który Kasia winna odziedziczyć po matce Greczynce.

Nie odezwał się! I tak miał sporo szczęścia, że dziewczyna ze słowiańską wyrozumiałością wybaczyła mu nieobyczajne towarzystwo i podroczywszy się chwilę, pozwoliła odprowadzić się do domu. W skrytości ducha miał nadzieję, że dziewczyna zaprosi go do siebie albo wyrazi zgodę, by pojechać do niego. Niestety jedyne, co wywalczył, kiedy już doszli pod jeden z tych wysokich, przełamanych w połowie bloków przy ulicy Czerniakowskiej, to krótki spacer na drugą stronę Wisłostrady, aby zobaczyć wschód słońca. Niebo wprawdzie było zachmurzone, ale Kasia posłuchała go. Usiedli na betonowym ocembrowaniu Wisły, i już po chwili całowali się jak wariaci. Jednak o niczym więcej, na przykład pieszczeni piersi czy penetrowaniu majtek, nie mogło być mowy. Po jakimś czasie przysnęli. Właściwie tylko Kamil zasnął w pełni, w przypadku Kasi była to raczej na wpół jawa, czuwanie z rozwartymi oczami jak u zająca gotowego poderwać się w wypadku nagłego zagrożenia.

I wtedy pojawiła się ta dwójka, a właściwie wyrosła nagle spod ziemi jak jeden z granitowych odprysków pomnika „Chwała Saperom” szpecącego park Kultury i Wypoczynku. Mężczyzna chudy, choć o silnych barkach, wyglądał na cudzoziemca, co podkreślał staromodny melonik kompletnie niepasujący do kraciatej jasnej marynarki i ortopedycznych butów dwukrotnie szerszych niż normalne. Nie był młody, a kozia bródka, nieduży wąsik i szara pobrużdżona cera postarzały go jeszcze bardziej. Jego towarzyszka, choć właściwie trudno ją tak nazwać ze względu na manifestowany dystans, wyglądała, jakby urwała się z balu karnawałowego. Miała elegancką błękitną sukienkę bez dekoltu, zresztą potencjalny dekolt nie miałby czegokolwiek odsłaniać, baletnica była bowiem płaska jak decha. Jej twarz, urokliwa, jakby pożyczona od modelki Botticellego nie nosiła śladu ani grama makijażu, a włosy wiły się wokół niej w naturalnych splotach. Co do wieku, mogła mieć zarówno lat piętnaście, na co mogły wskazywać jej chłopięce ruchy, albo i trzydzieści pięć, biorąc pod uwagę powagę malującą się na obliczu.

Pograżeni w dyskusji zstąpili na skraj wody, ignorując śpiącego Kamila i zastygłą w bezruchu Kasię. Być może sprawiała to leniwie płynąca rzeka i kompletny brak ruchu na Wisłostradzie, ale docierało do niej każde słowo, mimo że dialog prowadzony był w jakimś rzadkim języku (wiele lat później oglądając „Pasję” Mela Gibsona, zorientowała się, że był to aramejski.) Jednak jej podświadomość nie miała najwyraźniej żadnych kłopotów ze zrozumieniem. Niedobrana para dyskutowała zawzięcie o roli jednostki w historii:

– Oczywiście znam te wszystkie dyrdymały, że gdyby Kleopatra miała nieco brzydszy nos i gorszą figurę, inaczej potoczyłyby się losy Imperium Rzymskiego, ale nie podzielał ich – twierdził mężczyzna. – Jednostki w lepszym lub gorszym stopniu wpisują się w niezależne od nich procesy dziejowe...

– Wy, marksści! – prychnęła pogardliwie jego rozmówczyni. – Nie stać was na nic lepszego niż wiarę w siły wytwórcze i środki produkcji, bez uwzględniania roli ludzkiego ducha.

– Protestuję przed nazywaniem mnie marksistą – obruszył się szpicbródka. – Jest to nowa, a już mocno sfatygowana teoria, podczas gdy za mną idzie, jakby nie było, doświadczenie tysiącleci. Jest oczywiste, że w połowie I wieku przed nową erą...

– Przed Chrystusem! – poprawiła blondynka.

– Nie spierajmy się o terminologię! W każdym razie jest oczywiste, że w onym czasie nic nie mogło uratować ani Egiptu Ptolemeusza, podobnie jak i Republiki Rzymskiej. Gdyby nie Cezar, założycielem imperium stałby się jakiś Pompejusz czy Antoniusz. Podobnie teraz. Przeżywamy iluzję, że coś się zmienia, podczas gdy tak naprawdę to już koniec historii..

– Raczej początek. Wielkie rozmrożenie dziejowej lodówki! Osobiście nazwałabym to preludium do Jesieni Ludów. Wczoraj władze Węgier otworzyły granice z Austrią i tłum Niemców, zamiast wracać z wakacji do swego DDR, gremialnie ruszył na Zachód. Wiesz, co to oznacza?

– Doskonale wiem. Co więcej orientuję się, co będzie dalej. Posypią się NRD, Czechy, przyjdzie kolej na Rumunię i Bułgarię, a nawet kochany Związunio zacznie się sypać... Ale czy to wiele zmieni?

– Wszystko!

– Zazdroszczę ci naiwnego optymizmu! Tutejsi ludzie pozostaną sobą. Zdemoralizowaną postsowiecką hołotą, która szybko znudzi się demokracją i zatęskni do dawnego pana.

– To już będzie zależało od przywódców.

– A jakich mają przywódców? Chłopokróla i salonowych inteligenciaków, którzy umierają ze strachu przed własnym narodem, że pewnego dnia rozliczy ich minione grzeszki i wytknie nie najlepsze pochodzenie etniczne. Ale gdyby nawet mieli innych... Powiem więcej, tu nie poradziłby sobie lider nawet o talentach Napoleona i Talleyranda w jednym.

– Polemizowałabym. Jeden właściwy człowiek we właściwym czasie mógłby zmienić bardzo wiele.

– Zaprawdę? To nie ja wymyśliłem *bon mot*: „Dla Polaków można zrobić wiele, z Polakami nic!” Ten skądinąd sympatyczny narodek, z którym osobiście przyjaźnię się od

czasów Twardowskiego, skazany jest na wieczną niemoc, na kordianizm, walenrodyzm, uwikłanie między apatią tumiwizmu i euforią mesjanizmu, który po niewczasie przeradza się w kundlizm...

– Mój szanowny przeciwnik zdecydowanie nie docenia tego narodu.

– Zatem założmy się... Wiem, wiem, regulamin wam zabrania zakładów, ale tylko gdy w grę wchodzi wartości materialne. A mnie w tym wypadku wystarczy satysfakcja. Pozwolę ci dokonać cudu. Wstrzymam się na jakiś czas z kontrreakcją. I zobaczymy.

– O jakim cudzie mówisz?

– Daj im wodza na miarę wyzwań. Wskrześ Piłsudskiego lub Chrobrego. Spraw, że papież będzie miał bliźniaka. Nie będę przeszkadzał. Przynajmniej przez jakiś czas.

– Nie bardzo mi wolno...

– Bez przesady. Zresztą twój szef wie wszystko i widzi wszystko, i gdyby miał coś naprzeciwno, cud się nie zdarzy. Spróbuj. W końcu ten Naród uważa, że Pan Bóg jest Polakiem.

– A jaki ty masz w tym interes?

– Drobną satysfakcję, gdy eksperyment poniesie klępkę. I trochę dobrej zabawy.

Blondynka milczała, wyraźnie perspektywa nakreślona przez jej antagonistę musiała ją zaniepokoić.

– Jaką mam gwarancję, że nie dokonasz kontrakcji?

– Żadnej. Przecież wiem, że w moje słowa nie uwierzysz, bo w swoich szeregach nazywacie nas notorycznymi kłamcami. Ale jeśli zaryzykujesz, dam ci rok czasu, więcej powiem, rok i tydzień, a dopiero potem wrócę do gry... Chyba że nie masz pomysłu, co należy zrobić.

– Pomysł mam... I mówisz, że zakładamy się o fakt?

– Słowo kaczerza... Tfu, chciałem rzec, harcerza!

Umilkli. Jakaś siła kazała odwrócić głowę Kasi.

Zobaczyła hotel Stolec, a właściwie pełniący rolę eleganckiego motelu barak postawiony przed laty dla budowniczych hotelu Agorum. Akurat rozstały się chmury i cały budynek stanął nagle w świetle słonecznym. Co ciekawe, promienie te padały tak ze wschodu, jak i z zachodu.

– Kurczę blade, skąd się wzięło drugie słońce? – przemknęło dziewczynie.

Ale to nie był koniec niezwykłych wydarzeń. Oto na niebie, od strony północy pojawiła się świetlista smuga, jaką pozostawia za sobą samolot odrzutowy albo międzykontynentalna rakietka. Nad Warszawą lecące „coś” zniżyło się i wbiło w dach hotelu. Oniemiała Kasia

oczekiwała eksplozji, przemiany budynku w kulę ognia. Jednak nie nastąpiło nic takiego, chmury zasunęły się znowu, zaćwierały ptaki... Tego było za wiele. Mocnym szarpnięciem obudziła Kamila.

– Widziałeś? – zapytała dramatycznym szeptem.

– Co?

– Tych cudzoziemców.

– Jakich cudzoziemców? – ziewnął.

Rozejrzała się. Faktycznie na nadbrzeżu nie było nikogo. Czyżby miała sen albo halucynacje? Bez zwłoki postanowiła wracać do domu. Kamil dość niechętnie doprowadził ją do windy. Pojechałby dalej, ale ostudziła go krótkim: „Koniecznie chcesz obudzić mojego ojca?”.

Po dotarciu na górę i prześlizgnięciu się na paluszkach (żeby nikogo nie zbudzić) do swego pokoju, podeszła jeszcze do okna, z którego rozpościerała się szeroka panorama Powiśla, Wisły i Saskiej Kępy. Poszukała wzrokiem dwójki dziwnych cudzoziemców.

Byli tam! Choć zdążyli przemieścić się nieco dalej ku północy. Jednak rozmowa właśnie dobiegła końca. Pożegnali się bez podawania sobie rąk. Blondyna wstąpiła na wiślaną falę toczącą głównie ścieki przemysłowe i pospolite fekalia. Nieomal nie dotykając ich stopą obutą w srebrne pantofelki, przeszła na drugą stronę, udając się najwyraźniej do jednego z kapitalistycznych przedstawicielstw dyplomatycznych zlokalizowanych na prawym brzegu Wisły. W tym samym czasie mężczyzna w meloniku podszedł do Wisłostrady, przeskoczył ją, bijąc równocześnie rekord świata wzwyż i w dal. Na parkowej alejce dostrzegł pedałużącego rowerzystę, w którym rozpoznał popularnego przed laty satyryka podtrzymującego w ten sposób swoją tężyznę fizyczną, i stanął w poprzek dróżki. Artysta ledwie zahamował. Facet w meloniku wydarł spod niego rower i pchnięciem palca cisnął go na trawnik.

– Nic nie będzie już takie samo – powiedział wskazując na siodełko. – Ani Polska, ani pan, panie Jacku.

I nie zważając na nieskładny protest rowerzysty, oddalił się, kierując w stronę odległej o parę kilometrów ambasady ZSRR.

Tego Kasia miała już naprawdę dosyć. Odwróciła głowę w drugą stronę i zobaczyła odległą figurkę Kamila, który na wiadukcie oczekiwał autobusu w stronę Przyczółka Grochowskiego, gdzie zamieszkiwał. Choć nie mógł tego zobaczyć, pomachała mu ręką, i zastanawiając się, czy właśnie spotkała miłość, na jaką czekała od lat, poszła spać.

Lew Szwendala, przewodniczący Związku Zawodowego „Solidność”, zbudził się nagle, wyskakując dobre pół metra, tak jakby doznał gwałtownego pchnięcia w plecy albo śnił, że znowu przeskakuje stoczniową palisadę. Przez moment miał wrażenie, że walnął w niego piorun. Ale nie. Panowała niezmacona cisza, a przez szparę w zasłonie wdzierało się światło świtu.

– Sen mara, Bóg wiara! – mruknął do siebie, nie zastanawiając się, skąd zna takie staroświeckie powiedzonko.

Usiłował zapalić lampkę nocną. Ta jednak się nie zaświeciła.

– A więc jednak coś dupnęło – pociągnął nosem. Żadnego zapachu spalenizny, a przeciwnie, mocny zapach fiołków. Ciekawe. Poprzedniego dnia dostał sporo kwiatów, ale nie były to fiołki alpejskie.

– *Viola alpina* – mruknął do siebie. Po chwili doszła do niego refleksja. Skąd u licha zna tę łacińską nazwę? Rozwiązując krzyżówki, nigdy się z nią nie zetknął. Ale w końcu poznał swoją żonę, kiedy była kwiaciarką... Musiał więc kiedyś słyszeć i zapomnieć. Odwrócił się w kierunku małżonki, ale jej tam nie było. I być nie mogło, choćby z braku miejsca. Zamiast w małżeńskim łóżu znajdował się na wąskim, średnio wygodnym tapczaniku hotelowym.

Wstał i nacisnął kontakt. Górne światło zapaliło się bez przeszkód. Teraz już bez jakichkolwiek wątpliwości wiedział, że znajduje się w warszawskim hotelu Stolec, w którym zatrzymywał się zazwyczaj, przybywając do stolicy. Tylko skąd tu się wziął? Gotów byłby założyć o wszystkie pieniądze świata, że poprzedniego wieczora zasnął w swoim gdańskim mieszkaniu. Do Warszawy na zaprzysiężenie rządu się nie wybierał. Bo i po co? Jego nominat ledwie dostał władzę, już zhardział i zrobił się wręcz arogancki.

Jednak teraz był w Warszawie. Może więc miał jakąś lukę w pamięci i zgubił parę godzin albo nawet i dni. Rzucił okiem na datownik w zegarku. 12 września. Chwała Bogu, luka jeśli nawet była, nie obejmowała więcej niż kilku godzin. Ot, tylu, ile trzeba, aby z Trójmiasta przemieścić się do stolicy.

Z zawodowego nawyku sprawdził żarówkę nocnej lampki. Wyglądała na dobrą, kabel też nie był jakoś szczególnie sfatygowany. Na krześle wisiał garnitur, który zakładał na najważniejsze okazje. Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął śrubokręt, z którym nigdy się nie rozstawał, i ruszył w stronę kontaktu. Przechodząc koło stolika, rzucił okiem na stos papierów, na jednym z leżących tekstów czerniło się wielkimi literami słowo „państwo”.

– Pięknie. Tylko jakie państwo? – pomyślał. – Według Platona czy Arystotelesa? A może ideałem, który należało rozważyć, było „Państwo Boże” św. Augustyna?

Przestraszył się. Nigdy dotąd podobne myśli nie chodziły mu po głowie. W dodatku jedno skojarzenie uruchomiło następne. Obraz biskupa z Hippony rozmawiającego z aniołem mieszał się ze spacerującym po mostach Królewca Kantem powtarzającym coś o „niebie gwiazdzistym i prawie moralnym”.

– Oto skutki poprzestawania w towarzystwie tych wszystkich profesorków – rzekł do siebie, rozkręcając kontakt. Po chwili miał już sprawcę spięcia. Niewielką pluskwę podsłuchową ukrytą w gniazdku. Zapewne miała w pokoju liczne rodzeństwo. Ale nie miał zamiaru zajmować się tropieniem elektronicznych insektów. Miał ważniejsze sprawy na głowie. Zadzwoił do swego gdańskiego współpracownika Krzysztofa Pulla. Ten o dziwo był całkowicie rozbudzony.

– Dzięki Bogu, że się pan odzywa, szefie – zawołał. – Przed chwilą dzwoniła pańska żona...

– Hanka? Czego chciała?

– Twierdziła, że pan zniknął. Obudziła się parę minut temu i zauważyła, że nie ma pana w mieszkaniu. Mimo łańcucha w drzwiach założonego od środka. Pytała, czy zawiadomić milicję.

– Nikogo nie trzeba zawiadamiać – burknął. – Ale dobrze będzie, jeśli przyjedziesz do mnie.

– A gdzie szef jest?

– W Warszawie, w hotelu Stolec.

Pulla na moment zamurowało.

– Przecież jeszcze wczoraj twierdził pan, że nie wybierze się na powołanie rządu, mimo że klub parlamentarny zapraszał.

– Zmieniłem zdanie – powiedział sucho, a potem dorzucił, niespecjalnie zastanawiając się, dlaczego to robi: – Jeśli się pośpieszysz, zdążysz na poranny ekspres. Będiesz mi tu potrzebny.

Zaraz potem zadzwonił do Hanuśki, ale nie silił się na żadne kłamstwa. Był w Warszawie, i tyle. Miał ochotę wykonać jeszcze parę telefonów, jego organizm przywykł przecież do wczesnego wstawania – jeszcze niedawno po prostu zerwałby się na nogi i pognął do tramwaju, aby dojechać do stoczni, gdzie czekały wózki akumulatorowe, ale rozsądek w obliczu długiego i ciężkiego dnia sugerował, by jeszcze pospać.

Naciągnął na głowę kołdrę. I usiłował myśleć o czymś przyjemnym. Szło trudno, próbował liczyć barany, ale zamiast nich zaczęli defilować przed nim królowie i prezydenci

dawnej Polski. O wielu, miał wrażenie, nie słyszał nigdy, a dziś wydawali się mu tak znajomi, jakby pochodzili z jednej komisji zakładowej.

*

W odróżnieniu od Szwendąły desygnowany przez niego na pierwszego niekomunistycznego premiera Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Tadeusz Małopolski dopiero co zdołał zasnąć zmordowany wieloma godzinami bezsenności. Wszystko działo się tak szybko – zdecydowanie zbyt szybko jak na wieloletniego naczelnego redaktora miesięcznika, który już w skórze szefa tygodnika „Solidność” czuł się nieswojo, a funkcja premiera – przypominała najbardziej wydawanie dziennika. Co wymagało tempa trzydziestokrotnie większego od tego, do którego przywykł. W dodatku w odróżnieniu od Szwendąły, ludowego trybuna kierującego się impulsami, a nie politycznymi przemyśleniami, Małopolski w pełni zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności i zagrożeń kryjących się wszędzie.

Nauczył się żyć w komunizmie. Stopień po stopniu, dwa kroki do przodu, jeden w tył, walczył o poszerzanie wolności, marzył o statusie drugiej Finlandii, śnił o socjalizmie z ludzką twarzą. Nawet teraz, po wyborach czerwcowych, w pełni wolna Polska wydawała mu się czymś niewyobrażalnym – Związek Radziecki przecież nie zniknął, owszem modyfikowały się Węgry, ale Czechy, NRD, Rumunia czy Bułgaria trzymały się mocno, nie tolerując ani dysydentów, ani społecznych aspiracji, w dodatku bardzo słabo tam artykułowanych.

Małopolski przeżył kilka karnawałów wolności. Węgierski w 1956 złamały sowieckie czołgi, a Imre Nagy, buntownik z przypadku, który zaczynał swą karierę jako członek ekipy katów rozwalających rodzinę cara Mikołaja II w Jekaterynburgu, sam stanął pod murem. Czechosłowacja do tej pory nie mogła się pozbierać po efektach „praskiej wiosny” i interwencji państw Układu Warszawskiego, a Polska? Dokładnie pamiętał mroźną noc 13 grudnia, kiedy wprowadzono stan oblężenia, a on sam wylądował w obozie internowanych.

Co prawda nastąpiły inne czasy. Michaił Korbaczow nie przypominał żadnego ze swych poprzedników, ale kto zaręczył, że pewnego dnia postępowy gensek nie zniknie bez śladu i powróci stary sprawdzony kurs.

W dodatku ten Szwendąła! Na co liczył, wyznaczając go na premiera na przekór kalkulacjom lewicy laickiej? Że będzie sam powoził rządowym zaprzęgiem z Gdańska?

Małopolski nie zamierzał być malowanym szefem rządu, uważał, że historyczna rola przewodniczącego dobiega końca. A jego ludzie? Jakie szczęście, że nie wpuścił żadnego z tych oszalałych syndykalistów czy liberałów do rządu!

Pamiętał minę Jarosława Indykiewicza, kiedy zaproponował mu stanowisko prezesa cenzury. Obraził się. Bardzo dobrze. Bracia bliźniacy byli jeszcze bardziej narwani niż sam „wódz”. Ich pomysły groziły rewolucją. A ta była zbędna. Komuniści dobrowolnie dzielili się władzą, trzeba było szerokiego konsensusu dla reform. I niedrażnienia sąsiadów. Nie mówiąc o możliwym przebudzeniu demonów nacjonalizmu. Co mógł temu przeciwstawić. Chyba tylko „siłę spokoju”.

– Dobry slogan! Trzeba będzie użyć go w jakimś właściwym kontekście – obrócił się na drugi bok i wreszcie zapadł w płytki sen. Śniła mu się Finlandia.

*

Drzemka wiele Szwendale nie pomogła. Śniły mu się niemiłe wspomnienia z przeszłości, gmachy płonących komitetów, własny strach, a także morda oficera Służby Bezpieczeństwa na przemian strasząca go i kusząca. Jeśli więc nawet spał, to z każdą minutą czuł się jeszcze bardziej zmęczony. W dodatku parę minut po ósmej ktoś delikatnie zapukał do pokoju. W samych gatkach podbiegł do drzwi.

– Mietek?

W drzwiach stał jego dawny szofer i totumfacki z czasów karnawału „Solidności”. Brat łąta i niezastąpiony organizator działań nadprogramowych, który podczas pobytu Lwa w ośrodku odosobnienia wziął na siebie ciężar zajmowania się jego rodziną. Rozstali się po dość dramatycznej sprzeczce przed siedmiu laty, ale teraz Wachmistrzowski wyglądał dokładnie tak jak za dawnych lat. Uśmiechnięty i gotowy do działania,

– Wóz gotowy – zameldował. – Jeśli chce wódz jechać do Sejmu, to trzeba pośpieszyć się ze śniadaniem.

– Chwileczkę, a skąd ty się tu wziąłeś?

– Jak to skąd, wieczorem szef zadzwonił do mnie, że trzeba jechać do Warszawy, co koń wyskoczy. Przyjechaliśmy w dwie i pół godziny.

– Ale przecież ja mam nowego kierowcę...

– A, tego melepetę. Nie pamięta wódz, że miał wypadek.

– Samochodowy?

– Nie, potknął się na schodach i leży w kołnierzu ortopedycznym. Zresztą sam wódz mi to mówił.

– Ja?

– Oczywiście. To o której ruszamy?

Na moment przewodniczącemu wydało się, że dwie połówki jego mózgu walczą ze sobą. Znał rozliczne talenty Wachmistrzowskiego, ale również wiedział, że jeśli mu się pozwoli na zbyt wiele, może być niebezpieczny. Ale skoro sam go wezwał i zadba, aby pozostał wyłącznie szoferem, tylko że akurat tego, podobnie jak drogi do Warszawy, nic a nic nie pamiętał.

– Dobra. Załatw śniadanie do pokoju – rzucił.

– Się robi, wodzu! – rzekł i odszedł kołyszącym się krokiem niedoszłego matrosa.

Prawdę powiedziawszy, Wachmistrzowski łąał jak z nut. Obudził się zaledwie przed kilkunastoma minutami w samochodzie na parkingu hotelu Stolec kompletnie nieświadom, skąd się tu wziął i po co. Przez moment zastanawiał się nawet, czy nie cofnął się do roku 1981, kiedy bywał tu razem z młodym przewodniczącym. Ale pojawił się ten cudzoziemiec. To znaczy Kasia widziałyby go jako oryginała w meloniku z bródką; Wachmistrzowski postrzegął go zgoła normalnie – ot, trzydziestoparoletni byczek zdradzający swymi ruchami, że nieobce mu techniki walki. Poza tym był trochę do Mietka podobny, na pierwszy rzut oka swój chłop, co to i popić potrafi, i przyładować komuś w ryj też.

– Mieć szczęście to znaleźć się we właściwym czasie w odpowiednim miejscu – powiedział z akcentem zdradzającym kresową proveniencję.

– O co chodzi, koleś? – Mietek nie lubił ludzi wyrażających się na sposób książkowy.

– Wracasz do służby. Szwendala cię potrzebuje.

– Jak potrzebuje, to niech zadzwoni!

– Więcej pokory, przyjacielu – uśmiechnął się cudzoziemiec, a następnie powiedział parę rzeczy, o których nie wiedział nikt, no może poza Mietkiem jeszcze jedna czy dwie osoby.

Mimo ciepłego poranka powiało nagłym chłodem i Wachmistrzowskiego przebiegł dreszcz. Tymczasem cudzoziemiec z niepokojącą swobodą w kilku zdaniach poinformował go, o czym ma mówić Szwendale i jak wytłumaczyć swoje pojawienie się w Warszawie.

– A co więcej?

– Nic. Masz służyć mu wiernie i z poświęceniem. A jak będzie jakaś sprawa, to się do was odezwiemy.

To powiedziawszy, zniknął. Nie oddalił się, nie odbiegł, a nawet nie rozpląnął się w powietrzu, a jedynie zdematerializował. Mietek przeżegnał się i na wszelki wypadek powtórzył sobie stare porzekadło: „Nie taki diabeł straszny, jak go malują”.

*

Ubierając się, Szwendala usiłował poukładać sobie jakoś w głowie i zrozumieć, co się dzieje. Ale nie szło. „Obcy”, który w nocy zagnieździł się w jego mózgu, zadomawiał się tam w najlepsze i dyktował inny sposób wypowiedzania się, a co gorsza myślenia.

Normalnie nie potrzebował lustra do golenia. Tym razem dłuższą chwilę bardzo uważnie przyglądał się swojej gminnej twarzy, której wąż dodawał elementu starszylacheckiego... Nie wyglądało, żeby ktoś go podmienił. Obrączka ślubna tkwiła na palcu, a Matka Boska lśniła w kłapie garnituru.

Był tym samym Szwendalą co wczoraj, a także wówczas, kiedy włącząc na koparkę przy stoczniowej bramie, nieodwracalnie przeszedł do historii. Co się zmieniło? Jeszcze wczoraj nie użyłby słowa „nieodwracalnie”, podobnie jak „Nolens volens”, które o wiele chętnie zastąpiłby swojskim zwrotem „Nie chcę, ale muszę”. Czuł się, jakby ktoś otworzył mu głowę i nasypał tonę informacji, których tam przedtem nie było. Co gorsza, ów stos śmieci sprawiał, że myślenie stało się trudniejsze. W dodatku co chwila odkrywał w sobie nowe umiejętności. Kiedy w recepcji dorwał go jakiś dziennikarz BBC, omal nie odpowiedział mu po angielsku na zadane pytanie, nie czekając, aż zostanie mu przetłumaczone.

– To ja znam angielski? – zdziwił się ogromnie.

W samochodzie Wachmistrzowski przytoczył najnowszy dowcip obiegający Warszawę: „Kandydat na premiera ma same zalety i jedną wadę. Jaka? Jest Mało polski...” Lew nie zarechotał jak dawniej.

Jednak nie przestał być sobą. Nawet jeśli ktoś zrobił mu z mózgu intelektualny śmietnik, pozostawał w głębi ducha małym Lewkiem, który dla kawału sikał do parafialnej chrzcielnicy – ambitnym, pazernym i chytrym. To chytryść kazała mu nie zdradzać się przed nikim z nagle odkrytych umiejętności. Miało to swoją dobrą stronę, jak choćby wówczas gdy w kularach sejmowych podsłuchał swego doradcę profesora Bronisława Hajduka, który udzielał właśnie wywiadu jakiejś postępowej dziennikarce francuskiej z miną, jakby dopiero co ją przeleciał albo zamierzał to zrobić przy pierwszej okazji.

Widząc przewodniczącego, skłonił mu się, ale nie zamierzał przerywać słowotoku. Szwendała przysiadł więc z boczku i udając, że przegląda gazetę, przysłuchiwał się rozmowie.

Hajduk mówił piękną, płynną francuszczyzną wyniesioną z czasów, kiedy był sekretarzem podstawowej komórki partyjnej PZPR przy polskiej ambasadzie w Paryżu. Dorzucał dla ubarwienia narracji gwarowe określenia rodem z paryskiego *argotu*, owego języka wielkowiejskich kurew i ludowych rzezimieszków. Podkreślał rolę polskiego przełomu dla rozwoju myśli lewicowej, wspominał o perspektywie „trzeciej drogi”, naturalnie bez naruszania *status quo* w Europie.

Zapytany o rolę Szwendały scharakteryzował go jako dzielnego sankiulotę, którego dziejowa rola, choć owocna, właśnie dobiegała końca.

Dziewczyna miała na końcu języka pytanie, jak może mówić tak ktoś uważany powszechnie za przyjaciela przewodniczącego, w dodatku należący do grona kilkuset wybrańców, którzy trafili do Sejmu kontraktowego jedynie dzięki zdjęciu z przewodniczącym, ale Hajduk ją ubiegł, przechodząc na temat nastrojów społecznych i przyznając, że w czerwcowych wyborach wygrałaby nawet krowa, pod warunkiem że do łaty miałyby przypięty znaczek „Solidności”.

Szwendała przygryzł wąsa. Skądś nasunęło mu się powiedzonko: „*Et tu Brute contra me?*”, i już miał zamiar skoczyć na profesorka, szarpnąć za jego kozią bródkę i wyrzucić przez najbliższe okno, ale powstrzymała go inna złota myśl:

„Zemsta najlepiej smakuje na zimno!”

*

Kasia nie lubiła wstawać zbyt późno. Należała do skowronków, istot, które w przeciwieństwie do osobników spod znaku sowy niezależnie, czy pójdą spać o piątej rano, czy o dziesiątej wieczór, budzą się o stałej porze. Co najwyżej przez cały dzień są niedospane. Tego ranka wylegiwała się wyjątkowo aż do dziewiątej. Zarówno ojciec, jak i rodzeństwo w wieku szkolnym ulotnili się na paluszkach, nie chcąc jej budzić. Tym bardziej że taka zarwana noc zdarzyła się jej po raz pierwszy.

O dziewiątej była już na nogach, a rzut oka w lustro upewnił ją, że wygląda strasznie. Opuchnięte usta i malinki na szyi natrętnie przypominały o wydarzeniach minionej nocy. Większość jej koleżanek dawno miała za sobą dużo bogatsze doświadczenia erotyczne, Kasandra jednak, jak nazywała ją jedynie matka Greczynka, była tradycjonalistką – wierzyła

w jedną miłość, jeden związek, choć nie wykluczała większej liczby dzieci. Umyła się, ukryła skrętnie ślady niemoralnego postępowania, a następnie włączyła telewizor, orientując się, że omal nie przegapiła historycznego momentu, na który czekała z całą Polską. Drugiego sejmowego *exposé* Tadeusza Małopolskiego, na którym miał on przedstawić nową Radę Ministrów. Ominęło ją otwarcie posiedzenia dokonane przez marszałka Mikołaja Tatarowicza. A także pierwsze słowa wystąpienia premiera. Pan Tadeusz wyraźnie zmęczony mówił z twarzą zbolaną i zmęczoną, jakby celebrował jakieś smutne nabożeństwo, a nie najradośniejszy moment od kilkudziesięciu lat. Być może przytłaczało go brzemię odpowiedzialności, a może partnerzy narzuceni przez koalicjantów.

Kamerzysta, pragnąc wyraźnie dodać przekazowi atrakcyjności, pokazał zasłuchaną salę. Aktualnego prezydenta i Szwendalę, który zgoła nieoczekiwanie pojawił się w łoży. A nieopodal... Kasia aż podskoczyła. W łoży sąsiedniej dostrzegła znajomy melonik, wąsiki, kraciastą marynarkę. Czyżby dziwny cudzoziemiec posiadał dziennikarską akredytację?

Kamera znów wróciła na centralną mównicę, dokładnie o 9.48. Małopolski zaciął się raz i drugi, nerwowo łyknął wody ze stojącej szklanki, po czym przepaszając, przerwał wystąpienie i ruszył w bok.

Sala zamarła. Tym bardziej, że premier potknął się na stopniu i runął w dół, waląc głową o kant pulpitu. W nagle zapadłej ciszy rozległ się trzask pękającej kości, a potem wybuchła wrzawa na sali. Dramatyczne wołania o pomoc nikły w ogólnym tumulcie. Jeszcze parę sekund i transmisja została przerwana.

Kasandra siedziała jak skamieniała, czekając na wznowienie przekazu. Po jakiejś pół godzinie emitowania planszy „Za chwilę dalszy ciąg programu” wystraszony spiker, którego pamiętała jeszcze ze stanu obłączenia, jak paradował w mundurku, poinformował, że premier z urazem głowy został przewieziony do szpitala, a jego życiu... – tu zrobił niepotrzebnie długą pauzę – ...nie zagraża niebezpieczeństwo.

Niewiele myśląc, zadzwoniła do Kamila. Barczewski odebrał po piątym dzwonku. Był absolutnie nieprzytomny, choć kiedy powiedziała mu, co zdarzyło się w Sejmie, ocknął się i wymamrotał: „Muszę natychmiast jechać do redakcji!”

– Może spotkamy się po drodze – zaproponowała. – Jeśli wsiądziesz na wiadukcie, mogę cię odprowadzić spacerkiem przez Łazienki.

– Fantastycznie! Jesteś kochana.

Po schodkach wspięła się na przystanek ponad Wisłostradą i wypatrywała autobusu. Inna sprawa, że z minuty na minutę opuszczała ją pewność, że musi podzielić się z nim swym i spostrzeżeniami.

Na tyle, na ile poznała Kamila, wiedziała, iż należy do racjonalistów i niedowiarków. Już sama możliwość wystrzegania się grzechów była dla niego pomysłem surrealistycznym, a co dopiero gdyby poinformowała go, że anioł i diabeł pojawili się w Warszawie.

II

Jeszcze będzie dobrze

Jeśli mechaniką świata rządzi przyciąganie się przeciwieństw, Kasia Bogucka i Kamil Barczewski byli doskonałym przykładem działania takiej siły. Poza identycznymi inicjałami oraz statusem półsierot dzieliło ich prawie wszystko – środowisko, tradycja rodzinna, światopogląd.

Jej ojciec Mateusz Bogucki, niespełna pięćdziesięcioletni technik geodeta był człowiekiem skromnym, wiecznie zapracowanym, którego jedynym życiowym dorobkiem była żona i czwórka dzieci. Żona Olimpia, przywieziona z Dolnego Śląska piękność, pochodziła z rodziny greckich emigrantów, którzy po przegranej rewolcie komunistycznej szeroką falą spłynęli do Polski. Wielu sąsiadów i znajomych zastanawiało się, co takiego zobaczyła w skromnym niezamożnym mężczyźnie, na którego tle wyglądała jak brylant wśród rzecznych otoczaków. Może po prostu dobrego człowieka?

Kasandra urodę odziedziczyła po matce, owe nadzwyczaj szlachetne greckie rysy, jakie bardzo rzadko spotyka się u Greków współczesnych, choć nie brak ich wśród rzeźb i malowideł okresu hellenistycznego. Po ojcu wzięła wzrost i pigmentację. W efekcie była smukłą, ciemną blondynką.

Kamil poznał ją w trakcie egzaminów wstępnych na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, kiedy biorąc go za pracownika naukowego, zadała mu jakieś pytanie dotyczące topografii gmachu instytutu. Była kształtna, świeża i na pierwszy rzut oka pasowała do stereotypu głupiej blondynki. Jednak kilka następnych zdań dowiodło, że nie znalazła się na egzaminach przypadkowo, a wyniki egzaminów – po raz drugi poznali się, gdy szukała swego nazwiska na wywieszonych w gablotach na dziedzińcu listach nowo przyjętych – wskazywały, że panienka o wyglądzie modelki, jeśli idzie o wiedzę historyczną, może rywalizować z prymusami.

Było to co najmniej zastanawiające. Piękne osiemnastolatki, nawet te z połową krwi greckiej, rzadko uchodzą za intelektualistki. W przypadku większości kobiet wcześniej rozkwitła uroda szybko upewnia je, że do nich należy świat, a każdego mężczyznę można owinać wokół palca. Stąd dbałość o wszystkie elementy swego ciała za wyjątkiem mózgu.

Wyjątkowość Kasi polegała na tym, że bardziej niż geny będące nośnikami urody ukształtowało ją życie. Dodajmy, bardzo ciężkie życie. Kiedy miała 13 lat umarła matka Greczynka, i to na nią bardziej niż na zapracowanego ojca spadła konieczność zaopiekowania się trójką młodszego rodzeństwa. Olimpia umierała przez rok, w pełni świadomie i Julia po wielokroć przyrzekała jej, że zajmie się domem. Obietnicy swej dotrzymała.

Kamil nie miał takich problemów. Amelia Barczewska, jego matka, niewysoka i smągła, kiedyś niewątpliwie bardzo przystojna, była nad wyraz tolerancyjna i nie wymagała od syna niczego poza tym, żeby się uczył, wracał na noc i nie palił papierosów. Jej dogmatyzm ujawniał się tylko w dwóch sytuacjach – kiedy w towarzystwie jedynaka pojawiała się dziewczyna rokująca szansę na coś poważniejszego niż przelotny flirt, oraz wówczas, gdy dyskusja schodziła na tematy fundamentalne, do których należały religia, polityka, historia. Kamil był święcie przekonany, że gdzieś w głębi ducha jego rodzicielka pozostała ciągle tą małą zapłakaną dziewczyną z czarno-białej fotografii, skamieniałą w żalu, kiedy media doniosły, iż przestało bić wielkie serce dobroczyńcy ludzkości Józefa Stalina. Zdjęcie zrobione przez przypadkowego fotografa i opublikowane w „Przyjaciółce”, a może w „Przekroju” należało do najcenniejszych wycinków w domowym archiwum.

Mijały lata i pod tym względem nic się nie zmieniało. Co jakiś czas okazywało się, że partia myliła się i dokonywała historycznego zwrotu, ale Amelia Barczewska dokonywała go razem z nią. Nigdy nie wybaczyła ojcu, że współtworzył NSZZ „Solidność” w instytucie, że związał się z ekstremą antysocjalistyczną, że wreszcie latem 1981 roku cisnął legitymację partyjną na stos innych... Ona trwała wewnątrz awangardy! Szesnaście miesięcy polskiego karnawału przeżyli na niemo. Nie rozmawiając ze sobą.

Z jednym wyjątkiem. Kiedy za kwadrans dwunasta wróciła tamtej soboty z redakcji i przemówiła do męża krótko i dobitnie: „Uciekaj!”

Ryszard Barczewski rok spędził, ukrywając się w podziemiu. Złapany dał się namówić na wyjazd do Kanady i tam został. W międzyczasie Amelia w swych publikacjach zamieszczanych w „Słudacie Swobody” wróciła do panińskiego nazwiska Richter, które tyle zdrowia i niepokojów kosztowało ją podczas czystek roku 1968. Teraz jednak nie miało opozycyjnego nalotu. Była przekonana, że uda jej się wychować syna na swój obraz i podobieństwo. Pomyliła się! A właściwie nie uwzględniła jedynie dwóch elementów. Szkoły i dziadka Ignacego.

Szkoła, śródmiejski ogólniak o blisko stuletnich tradycjach i niezmiennie wysokim poziomie, leżała w fatalnym miejscu. Niedaleko Starówki, Grobu Nieznanego Żołnierza i uniwersytetu, wszystkich tych miejsc, które miały wybitnie zły wpływ na dorastającą

młodzież. Tu odbywały się manifestacje, tu składano wieńce podczas źle widzianych rocznic. W latach siedemdziesiątych Kamil był zbyt mały, aby w nich uczestniczyć, ale wystarczająco duży, aby je obserwować.

Miał jedenaście lat, kiedy z gałęzi starego drzewa w Ogrodzie Saskim przyglądał się mszy odprawianej przez polskiego papieża, „Klechy z Wadowic”, jak określała go matka. Chłopak był niewierzący, nawet nieochrzczony, a jednak wezwanie biskupa Rzymu skierowane do Ducha Świętego, aby przybył i odnowił oblicze tej ziemi, zrobiło na nim wrażenie. Podobnie jak śpiewy, które wybuchły: „My chcemy Boga” i „Ojczyznę wolną racz nam zwrócić, Panie”. Przy tym ostatnim zdaniu stracił równowagę i ledwie utrzymał się na gałęzi. Co oni śpiewali?! Polska była przecież wolna. A od 1945 roku wolniejsza niż kiedykolwiek.

Jako dwunastolatek mógł obserwować wybuch „Solidności”, krótki okres euforii, a następnie rosnących podziałów między ludźmi. Kłócili się nie tylko dorośli. W szkole Kamila sporo młodzieży pochodziło z rodzin partyjnych, większość jednak kibicowała „Solidności”. Jego najbliżsi kumple, Andrzej Felgiewicz i Jurek Jarząbek należeli do prorządowej mniejszości. Ojciec Andrzeja, wysoko postawiony urzędnik, od najmłodszych lat hodował syna na bezideowego konformistę, za to Jurek był synem pułkownika (dopiero po paru latach dowiedział się, że ten przystojny i małomówny mężczyzna nie jest zwyczajnym milicjantem, tylko oficerem Służby Bezpieczeństwa). Koleżeństwo i matka z „Sołdata Swobody” nakazywały Kamilowi trzymać z nimi. I bronić przed innymi. Zresztą Jurek świetnie potrafił roztoczyć wokół ich trójki klimat „wtajemniczonych” wiedzących więcej niż zanarchizowana reszta.

Może gdyby ojciec poświęcał mu więcej czasu, Kamil znalazłby się szybciej po drugiej stronie barykady. Niestety w tym gorącym okresie Ryszard praktycznie nie widywał się z synem. Jako aktywista związkowy jeździł po kraju, wspierał zrewoltowane zakłady, gasił dzikie strajki, uczestniczył w komisjach różnego szczebla, a w domu nie odzywał się, żeby nie drażnić matki. Może uważał za oczywiste, że potomek będzie podzielał jego poglądy.

Dwa dni przed 13 grudnia, kiedy to junta generała Karuzelskiego położyła kres okresowi „chaosu i anarchii”, Kamil zapadł na gripę. Jego stan był tak ciężki, że w sobotę 12-go ojciec nie pojechał na obrady krajówki i czuwał przy jego łóżku, zwłaszcza że matka wieczorem pojechała na jakieś pilne zebranie do redakcji.

To, co się wówczas wydarzyło, przeżył na wpół w malignie. Krzyki z pokoju rodziców, walenie do drzwi po północy. Dziwni brutalni faceci buszujący po mieszkaniu... Stres spowodował jeszcze podwyższenie gorączki.

Do zdrowia wracał długo, w łóżku przeleżał całe ferie. Odwiedzający go przyjaciele potwierdzali matczyno-mundurową wizję świata. Jurek twierdził, że zamierzano wieszać partyjnych, a Andrzej utrzymywał, że akcja wojskowej rady uchroniła kraj przed radziecką interwencją.

Od matki dowiedział się, że ojciec związał się z antysocjalistycznymi elementami, które zamierzały dokonywać aktów terroru i wpędzić kraj w wojnę domową. Musiał zresztą pogodzić się z tą wersją, choć jakąś częścią ego kibicował swemu staremu, życząc mu, żeby go nie złapali.

Sprzeciw wobec jednostronnej wizji świata dojrzywał w nim powoli. Jeszcze w trakcie demonstracji majowych dał się zatrzymać w domu i tylko przez okna dobiegały go odgłosy pękających petard, i wdzierał się gaz łzawiący. Matce nie udało się go upilnować dopiero 31 sierpnia. Poszedł z ciekawości na Stare Miasto i do pewnego czasu odgrywał rolę gapia. Ale kiedy inni chwycili za kamienie... Wrócił zlany wodą ze śladem ciosu pałką i mocno podłamaną wiarą w system sprawiedliwości.

Poza tym jesienią owego niezwykłego roku odkrył dziadka.

To znaczy nie musiał odkrywać. Ignacy Barczewski istniał w jego życiu od zawsze, choć pod koniec lat siedemdziesiątych przestał ich odwiedzać. Matka nazywała go „starym sfiksowańcem”, „wykopaliskiem”, „dinozaurem” lub „anachronizmem” i chroniła przed możliwym zgubnym wpływem swego jedynaka, jak mogła. Na szczęście dziadek mieszkał pod Warszawą, w Otwocku, i to dodatkowo utrudniało kontakty, zwłaszcza gdy Kamil zrobił się na tyle duży, że brodzenie po brudnym Świdrze przestało go interesować. Sam nestor rodziny też niespecjalnie go interesował. Ani ciemny, pachnący grzybem drewniak, ani pouczenia wydawane tonem starego wojskowego nie robiły na nim dobrego wrażenia. Jedyne, co zapamiętał, to niezmienny optymizm starszego pana. „Jeszcze będzie dobrze” – powtarzał przy każdej okazji.

Latem 1982 roku umarła siostra babci, bezdzietna wdowa, pozostawiając dwupokojowe mieszkanie na Osiedlu Za Żelazną Bramą. Dziadek przeprowadził się chętnie do Śródmieścia, zwłaszcza że otwocki drewniak został przeznaczony do rozbiórki. I zaraz po przeprowadzce zadzwonił do Kamila, proponując mu, żeby go odwiedzał, kiedy będzie miał czas. Przez cały wrzesień chłopak czasu nie znalazł.

Tymczasem matka, niezadowolona ze szkolnej stołówki, której menu ograniczały przydziały kartkowe, wpadła na pomysł, aby syn przychodził na obiady do budynku redakcji „Sołdata Swobody” przy Grzybowskiej, gdzie z oczywistego powodu jedzenie było znacznie lepsze. Poza tym można było porozmawiać z odpowiednimi ludźmi. W pokojach i na

korytarzach wokół ogromnego hallu kłębiło się mnóstwo redaktorów w mundurach, którzy mogliby mieć doskonały wpływ na rozwój umysłowy młodego człowieka. Sama nie indoktrynowała go. Poza obowiązkowymi szkoleniami nie pasjonowała się polityką, uprawiając w „Soldacie” tak pasjonującą działalność jak „życie rodzin wojskowych”. Najczęściej w „zielonych garnizonach”. Kamil jeździł na te obiady przeważnie autobusem, ale czasami szedł pieszo, obserwując znikające resztki dawnej Warszawy.

Jesienna burza dopadła go pod jednym z gigantycznych prostopadłościaków przy Grzybowskiej. Patrząc na numer, uświadomił sobie, że stoi pod domem dziadka. „A gdyby go tak zniecka odwiedzić?”

Nie minęła minuta, a już żałował swej decyzji. Winda była brudna i pachniała szczynami, jej podłoga wydawała się w każdej chwili grozić zarwaniem, a nim dotarli na dziesiąte piętro, dało się odczuć, że parę razy dźwig miał wielką ochotę się zerwać. Zadzwoił.

– Kto tam? – zadudniło zza drzwi.

– Wnuczek – odpowiedział.

– Nareszcie. Serdecznie zapraszam.

Dziadek Ignacy liczył sobie osiemdziesiąt lat, ale zachował postawę starego szlagona. Z gęstą czupryną i sumiastym wąsem przypominał marszałka Piłsudskiego, którego portret wisiał *vis-à-vis* wejścia. Ale nie jego zaskakująco dziarski wygląd zaskoczył Kamila. Oto z brudnego PRL-u trafił nieoczekiwanie na jakąś cudowną wyspę Pierwszej, a zarazem Drugiej Rzeczypospolitej – pełną książek, dosłownie niemieszczących się w regałach, tykających zegarów, skrzyżowanych szabel, halabard i bagnatów przywodzących wspomnienie lat przeszłych, a wielkich. Był i Kossak „Ułan i dziewczyna”, i malowidło pokazujące pościg za bolszewikami, i gipsowe figury nadwożańskich brygadierów przywiezione z Rosji w epoce rewolucji, i cudem zachowane resztki dawnych serwisów... Babcia nie żyła od dość dawna, wszędzie jednak panował zaskakujący porządek, a intrygująca woń starych woluminów zderzała się z dziarskim zapachem wody kolońskiej.

– Aleś ty zmoknięty – powiedział starszy pan, rzucając mu ręcznik i jakąś flanelową koszulę do przebrania. – Ale nie przejmujmy się. Jeszcze będzie dobrze – tu przyjrzał mu się dokładniej i dorzucił: – Masz oczy twego ojca i usta mojej żony. Niezła kombinacja! Cieszę się, że wreszcie znalazłeś trochę czasu dla starego dziada. Napijesz się herbaty, a może zapalisz? – wyciągnął papierośnicę, najwyraźniej go sondując, ale Kamil pokręcił głową. – Czeka, zgarnę tylko te papierzyska ze stołu.

Ignacy Barczewski zajmował się właśnie odcyfrowywaniem fotokopii jakichś rodowych papierów i jego wnuk ku swemu zaskoczeniu dowiedział się, iż jego rodzina ma korzenie sięgające piętnastego wieku i wywodzi się od jakiegoś bartnika z borów podlaskich, który otrzymał szlachectwo od Władysława Jagiełły.

Kamil dotąd historią interesował się umiarkowanie. Owszem, lubił filmy płaszcza i szpady czy sensacyjne obrazy wojenne, ale za szkolnymi podręcznikami nie przepadał. Sprawy dawno umarłych ludzi zgoła go nie interesowały. Kiedy jednak dowiedział się, że jego imiennik Kamil zginął podczas rzezi Pragi dokonanej przez Suworowa w 1794 roku, a inny uczestniczył w Sejmie Wielkim, baczniej nastawił ucha.

To nie były drętwe dzieje ojczyste opowiadane przez szkolnego historyka o aparycji spoconego kreta, ale jego własna genealogia. Trzeba przyznać, że dziadek nie usiłował go indoktrynować na siłę. Był niezłym pedagogiem, a widząc, że rybka połknęła haczyk, nie czynił niczego, co mogłoby sprawić, żeby nawiązany kontakt z wnukiem uległ przerwaniu. W dodatku wciągając go do współpracy w charakterze historyka detektywa, sprawił, że Kamil zdobywał wiedzę sam i poddawał ją krytycznej obróbce. Metoda okazała się dobra. Tym bardziej że nie skończyło się na jednym spotkaniu. Kamil zachodził do dziadkowej enklawy często, a potem coraz częściej. Pochłaniał pożyczane książki. Czasu mu nie brakowało.

Właśnie utracił obu kumpli – Andrzej wyjechał z rodzicami na placówkę, a pułkownik, ojciec Jurka, dostał jakieś odpowiedzialne stanowisko w Gdańsku i Szczecinie, i zabrał syna ze sobą. Z resztą klasy był na bakier, a ponętna Majka, w której zaczął się podkochiwać, wyraźnie go ignorowała. Matce o kontaktach z seniorem rodu przezornie nie wspominał. Posiadanie wspólnej tajemnicy zaczęło go bawić, a pani Amelia widząc syna nad książkami, cieszyła się, nie badając, z jakiej biblioteki pochodzą. Sama będąc pracoholiczką i spędzając większość czasu w redakcji, nie bardzo interesowała się, o której jedynek wraca do domu – byleby nie za późno.

O tajemnicach historii rodziny w XX wieku dowiedział się na trzecim czy czwartym spotkaniu. Dziadek, nawet biorąc poprawkę na tendencję do konfabulacji, zdawał się żywą ilustracją naszych narodowych perypetii.

Urodzony w 1900 roku na dalekich kresach został zaskoczony wybuchem rewolucji w Kijowie, gdzie kończył gimnazjum. Przystąpił do polskich oddziałów i trafił wnet do słynnej dywizji syberyjskiej. Czy już wtedy powtarzał sobie „Jeszcze będzie dobrze”, Kamil nie pytał. Uchodząc z życiem z dziesiątków niebezpieczeństw, dotarł do Mandżurii, gdzie omal nie ożenił się z urodziwą Azjatką, jednak dowiedziawszy się o powstaniu wolnej Polski, odbył podróż dookoła świata i zdążył jeszcze na pole bitwy pod Radzyminem, gdzie go

postrzelono. W Drugiej Rzeczypospolitej pracował na różnych urzędniczych stanowiskach. We wrześniu nie udało mu się dostać do armii, działał w AK-owskiej konspiracji, potem w WiN-ie, siedział z wyrokiem śmierci na Mokotowie, by wyjść ostatecznie w 1956.

– To kiedy udało się spłodzić tatę, jeśli dziadek wyłącznie walczył?

– Podczas przerwy między odsiadką w lwowskim Zamarstynowie a pobytem na Pawiaku. Jednak tych niecałe sześć miesięcy, w ciągu których przebywałem na wolności, wystarczyło, żeby ożenić się z twoją babcią i począć Rysia. Drugą taką przerwę miałem w 1946, kiedy ujawniłem się, chcąc wykorzystać amnestię. Zbyt pochopnie, bo wkrótce zgarnęła mnie kolejna fala stalinowskich represji. Pewnie dlatego nie masz więcej stryjów i ciotek...

Ojca złapali krótko przed Bożym Narodzeniem 1982 roku. Prawdopodobnie gdyby dał się złapać tamtej grudniowej nocy, przed rokiem, wyszedłby na tym znacznie lepiej, siedząc w ciepłym ośrodku internowania, w dobrym towarzystwie i nie tracąc zdrowia w niedogrzanych piwnicach, zimnych altankach, wdychając opary powielaczowych odczynników.

O tej podziemnej epopei Kamil dowiedział się dopiero od dziadka. Matka, która w międzyczasie przeprowadziła postępowanie rozwodowe, dokładała wielu starań, aby nie spotkał się z ojcem. Szybko wysłała syna na zimowisko do Zakopanego, skonfiskowała listy z internatu. Chyba to podłamało Barczewskiego najbardziej. Dowiedziawszy się, że nikt na niego nie czeka, skorzystał z propozycji władz i przyjął bilet w jedną stronę. Spotkali się dopiero w dniu wylotu, wkrótce po Nowym Roku. Ojciec, dziadek i wnuk. Wszyscy mieli łzy w oczach, które w przypadku Kamila potęgowała wściekłość na matkę.

– Nigdy tu nie wrócę – powiedział Barczewski, wpatrując się w brudną podłogę baraku na Okęciu udającego dworzec lotniczy.

– Wrócisz synku, wrócisz – uspokajał go dziadek. – Do wolnej Polski.

– Wolna Polska. Kiedy to będzie?

– Szybciej, niż myślisz – odpowiedział pan Ignacy i dorzucił swoje: „Jeszcze będzie dobrze”.

Dziadek miał rację. Ale tylko w połowie. Sam upragnionej wolnej Polski wprowadzić dożył, ale jego synowi się to nie udało. Ryszard Barczewski nigdy nie zaaklimatyzował się na emigracji. Po paru latach ujawnił się nowotwór, wyjątkowo złośliwy naczyniak. Dziadek i Kamil zdołali go jeszcze pożegnać. Polecieli obaj do Toronto z początkiem 1988 roku. Ryszard Barczewski zmarł dokładnie w dniu otwarcia zimowych igrzysk w Calgary, mając zaledwie 46 lat.

Kamil był już od paru lat studentem zaangażowanym w organizację NZS-u i podziemną działalność wydawniczą. W nieużywanej od lat altance na działce ojca od lat warczały maszyny poligraficzne, a drukowane książki i gazetki sprzedawano na wpół jawnie na uniwersytecie.

– Nie zawiodę cię, tato! – mógł powiedzieć z przekonaniem podczas ich ostatniego spotkania w szpitalu.

Barczewski zmarł jeszcze tej samej nocy. Dojmujący ból syna łagodziła jedynie obecność dziadka i możliwość modlitwy. Chyba dopiero wówczas mógł przekonać się, że w trudnych momentach ludziom wierzącym było łatwiej. Ale czy był naprawdę wierzącym? Zanim poznał Kasię, nie był w stanie nawet wyobrazić sobie ludzi głębokiej wiary, w dodatku kierujących się jej zasadami w zwyczajnym życiu. Religijność jego dziadka podszyta była sarmackim libertynizmem, który pozwalał na chwałę Najświętszej Pani walczyć z tuzinem wrogów, a potem odpoczywać w ramionach urodziwej kochanki, pisząc równocześnie pełen żaru list do żony. Mimo to uważał, że prawdziwy Polak musi być katolikiem, a najlepiej działaczem Centralizacji Polski Niepodległej, i bardzo bolał nad religijnym indyferentyzmem wnuka. Kamil do swego nawrócenia dojrzał jakieś dwa lata.

Przełom nie nastąpił od razu. Jednak kolejne spotkania z Ignacym Barczewskim uświadamiały mu, że w kraju nad Wisłą od pokoleń patriotyzm łączył się z wiarą. Zaś Kościół i historia Odkupienia były nierozdzielną częścią tradycji. Dzięki umiejętnie podsuwanym lekturom odkrywał niemarksistowskich filozofów i nieznaną dotąd koncepcję. Dziadek potrafił przekonać go, jak bardzo do harmonii świata potrzebne jest istnienie absolutu. I co oznaczałaby faktyczna śmierć Boga. Jednak aprobując coraz bardziej fideistyczny pogląd na świat, ciągle bronił się przed katolicyzmem jako jedyną drogą i przed Kościołem jako strażnikiem wiary.

Przełom przyszedł wraz z szokiem, którym było zabójstwo Grzegorza Promyka. Po paru dniach oszołomienia zjawiał się u dziadka, wyrażając chęć ochrzcenia i przystąpienia do komunii. Zaprzyjaźniony ksiądz ułatwił sprawę, zresztą Kamil nie potrzebował wielu nauk – doskonale znał Pismo Święte i podstawy katechizmu. Dziadek nie posiadał się z radości. Niestety poryw nastoletniego neofity okazał się krótki i szybko przygasł. Niedzielne msze śmiertelnie go nudziły, a brak nawyków, zazwyczaj wynoszonych z dzieciństwa, zniechęcał do praktyk religijnych. W dodatku zbyt wiele zakazów i nakazów sformułowanych u zarania Kościoła uważał za nieprzystosowane do współczesnego świata, zwłaszcza jeśli idzie o etykę seksualną. Zwłaszcza w okresie buzujących hormonów. Podobała mu się wizja życia

wiecznego, mniej droga, która miała do niego prowadzić. W sumie mieścił się w dość obszernej grupie społecznej wierzących (na swój sposób), ale niepraktykujących.

Choć naturalnie chodził na patriotyczne nabożeństwa, a w takich chwilach jak śmierć ojca poszedł nawet do spowiedzi.

Matka zauważyła oczywiście tę przemianę, bolała nad nią wielce, a nawet kiedy śródmiejska kamienica, w której mieszkali, poszła do rozbiórki, mogąc wybrać mieszkanie w plombie na Mokotowie czy trzy pokoje na Ursynowie, wybrała lokal na paskudnym Gocławiu z nadzieją, że choć w ten sposób utrudni synowi kontakty z niebezpiecznymi ludźmi i miejscami. „Religia to choroba przenoszona metoda bezpłciową” – twierdziła, licząc, że jej jedynak przejdzie owo schorzenie w miarę łagodnie.

Kasandra rozterek czy wahań światopoglądowych nie przeżywała nigdy. Nawet przedwczesną śmierć matki uznała za rodzaj doświadczenia, którym obdarzył ją Bóg. Ciekawe, że pięć ciężkich lat, kiedy miała na głowie dom i rodzeństwo, nie tylko nie odarło jej z urody czy życiowego optymizmu, a jedynie wzmocniło. Teraz kiedy podzieliła się obowiązkami z rodzeństwem, zostało jej mnóstwo czasu na zajmowanie się sobą. I własnym doskonaleniem.

Wychowana w domu bez telewizora, zawsze dużo czytała, a doskonała pamięć w połączeniu z żywą inteligencją, pozwalała szybko oddzielać informacje ważne od nieważnych i przyswajając tylko te istotne. Jej stosunek do mężczyzn cechowała daleko posuniętą ostrożność (zbyt łatwo udawało się jej przewidywać ich dość prymitywne zamiary). Toteż podczas drugiego spotkania na dziedzińcu uniwersytetu wiele wysiłku kosztowało Kamila zaproszenie jej na kawę. Zresztą zapłaciła za siebie. Gadało się im świetnie, ale nie chciała umówić się ani podać numeru telefonu.

Widziała dość jednoznaczną aurę wokół głowy młodego studenta wskazującą „co jej zrobi, jak ją złapie”. Od wszystkich dotychczasowych zalotników Kamila różniła wytrwałość i może coś więcej... Dlatego wierząc w jego inteligencję, napomknęła mu, że chodzi na mszę do kościoła na Zagórnej cieszącego się skądinąd renomą „siedliska ekstremistów”. Czatował na nią dwie niedziele w kruchcie. Ale doczekał się. A aura wokół niego nabrała szlachetniejszej barwy...

Poszli na spacer do Łazienek. Dwa dni później byli w kinie, gdzie udało mu się wziąć ją za rękę. Ale niczego nie przyspieszał. Pocałowali się dopiero podczas wypadu do Wilanowa. Były to jednak pocałunki niczym z przedwojennego amerykańskiego filmu. Krótki na dzień dobry i bardziej soczysty na pożegnanie.

Mimo tych ograniczeń Kamil czuł, że coraz bardziej lubi wspólne spotkania. Żeby jeszcze nie traktowała wszystkiego tak okropnie serio. I żeby uwierzyła, że odrobina seksualnych pieszczot, niekoniecznie od razu aż do końca, nikomu jeszcze nie zaszkodziła. Był przekonany, że prędzej czy później dopnie swego. Tylko co dalej? Poszuka następnej zdobyczy... Nie mógł nawet wyobrazić sobie reakcji matki, kiedy powie jej o zamiarze wzięcia katolickiego ślubu.

*

Gotowość do zwierzeń opuściła Kasandrę w momencie, w którym Barczewski wysiadł z autobusu. Nie mogła mu opowiedzieć dwóch ostatnich incydentów, nie wspominając wszystkiego, co było przedtem. A może słuchając opowieści o diabie i aniele, którzy nieoczekiwanie zagościli w Warszawie i postanowili wmieszać się do polityki, uznałby ją za wariatkę.

Jej dar, a może przekleństwo, był szczególny. Tylko w literaturze fantastycznej można było natrafić na osoby zdolne tak jak ona, przewidywać przyszłość lub kontaktować się z istotami pochodzącymi z innych wymiarów. Oczywiście nie zawsze i nie na każde zawołanie. Potrzebny był stan szczególnej wrażliwości, zmęczenia, podniecenie lub osłabienie wynikające z damskiej przypadłości. Zresztą Kasia nie eksperymentowała ze swoją mocą, traktowała ją jako dopust boży, tak samo jak w przypadku ostrzegawczych sygnałów, które rozległy się w jej mózgu, nakazując opuścić tramwaj, który trzy minuty potem uległ katastrofie.

Nie lubiła chodzić do szpitala, bo obserwując pacjentów, rozpoznawała natychmiast, kto przeżyje, a kto nie. Między innymi dlatego, mimo nalegań ojca, nie wybrała się na medycynę. Co gorsza, podobnie jak u legendarnej Kasandry jej dar sprzęgnięty był z przekleństwem – nikt nie wierzył jej prorocत्वom.

Nigdy nie udało jej się zapobiec żadnej katastrofie. Stryj Eugeniusz przestrzegany przed siadaniem do wozu po jednym kieliszku roześmiał się jej w głos. Podobnie zlekceważył prośbę, żeby przynajmniej nie jechał Wisłostradą, a jeśli nawet będzie jechał, nie zwracał uwagi na psy wpadające pod koła...

Źle zrobił. Dziesięć minut później, próbując ominąć niedużego spaniela, wpadł na chodnik, zabił dwójkę warszawiaków czekających na autobus, a na koniec sam roztrzaskał się o drzewo. Nie zapiął nawet pasów...

Niezwykła umiejętność pozwalała również Kasandrze bezbłędnie odróżniać ludzi dobrych od złych, choć przeważnie miała do czynienia z mieszankami, w których to jedno, to drugie brało górę. Co jednak skłaniało ją do znacznej ostrożności.

Swe umiejętności wykorzystywała właściwie w jednym celu. Do rozmów z matką. Od swej śmierci Olimpia śniła się córce często. Chociaż czy to były sny? Przeważnie zjawiała się pod osłoną ciemności koło jej łóżka, wysłuchiwała jej zwierzeń, udzielała też porad, czasem niezwykle konkretnych, na przykład wówczas, gdy ktoś z rodzeństwa był chory. Potrafiła podać numer telefonu lekarza albo wspomnieć o starym notesie, w którym został zapisany. Nigdy nie pozwoliła się dotknąć ani nawet zobaczyć, ale bywało, że pozostawał po niej charakterystyczny zapach ulubionych perfum, wgniecenie na pościeli albo potrącona szklanka, z której wylała się woda.

Oczywiście zaraz po poznaniu Kamila zapytała matki o opinię na jego temat.

- Fajny, ale wymaga ogromnej pracy niczym zapuszczony ogród – poradziła Olimpia.
- Powinnam mu powiedzieć o naszych rozmowach?
- Ja bym nie ryzykowała.

*

- Chciałaś mi powiedzieć coś ważnego? – zapytał Kamil, wysiadając z autobusu.
- Tak. Że nie widzieliśmy się od całych sześciu godzin – odparła.

III

Nikt nie rodzi się premierem

Przez następnych kilka godzin Sejm Rzeczypospolitej przypominał patelnię z jajecznicą, w której komusze żółtko mieszało się z obywatelskim białkiem. Nieliczni starzy wyjadacze parlamentarni kręcili się wśród tłumu poselskich debutantów, a kandydaci na ministrów jeszcze przed chwilą pewni otrzymania nominacji nie wiedzieli, co ze sobą zrobić. Ogłoszono przerwę, ale było jasne, że nikt nie wie, co należy czynić. Na poszerzonym konwencie seniorów obecni byli Szwendala i generał Karuzelski oraz przewidywani na wicepremierów Leszek Walutowicz i generał Kiszonka, nie mówiąc o dwóch niewiele znaczących figurach ze stronnictw sojuszniczych. Oczywiście gdyby rząd został już powołany, któryś z nich mógłby przejąć obowiązki premiera, a tak... Pytanie „co dalej” wisiało w powietrzu, jednak bano się podejmować jakieś ruchy, nie wiedząc, co z Małopolskim.

Po pół godzinie nadeszła pierwsza uspokajająca informacja – „Jeszcze żyje”.

„Dojechał do lecznicy rządowej” – brzmiała druga.

„Trafił na salę operacyjną. Konieczna będzie trepanacja czaszki”.

Dramatyzm sytuacji podkreślała jej surrealistyczność, premier doznał urazu w momencie gigantycznych społecznych oczekiwań na nowy rząd. Kryzys gospodarczy wymagał radykalnych posunięć, trwała szaleńcza inflacja, rządząca do tej pory partia polskich komunistów rozsypywała się jak zamek z piasku tknięty podmuchem wiatru. Jako pierwsze na wiadomość o wypadku w Sejmie zareagowały kantory wymiany walut. Cena dolara podskoczyła o kolejne dwa tysiące.

– Dobrze, że zasłabnięcie Małopolskiego wydarzyło się przed kamerami, inaczej cała Warszawa mówiłaby o zamachu na pierwszego premiera – powiedział Czesław Kiszonka, który wraz z przebraniem się w cywilne ciuchy wcale nie stracił czujności wieloletniego oficera informacji wojskowej.

„Sytuacja jest rzeczywiście bezprecedensowa” – myślał Szwendala, który po godzinie jałowego gadania opuścił salę konwentu seniorów i w poszukiwaniu jakiegoś spokojnego zakątka zaszył się w kabinie sejmowej toalety.

Czuł się źle. Odmienny stan świadomości nie ustępował nawet po zażyciu środków uspokajających. W głowie kłębiły mu się analogie z zabójstwem Narutowicza, katastrofą

Sikorskiego nad Gibraltarem. Zastanawiał się, a przynajmniej robiła to nowa, erudycyjna część jego świadomości, jak w analogicznej sytuacji postąpiłby Bonaparte, Napoleon, Churchill...?

Skrzypnęły drzwi. W toalecie pojawili się nowi goście. Pałac papierosy, gawędzili nad pisuarami.

– Założmy nawet, że pan Tadeusz przeżyje. Czy państwo może czekać, aż zakończy rekonwalescencję? – mówił pierwszy, lejący drobnymi ciurknięciami. Szwendała znał ten gładki sposób wymowy młodego partyjnego aparaczyka, ale za cholerę nie mógł dopasować do konkretnej osoby.

– Trzeba będzie natychmiast znaleźć następcę – zacharczał drugi, autor strugi mocnej, tak jakby był starszym sikawkowym ochotniczej straży pożarnej. Lew poznał charakterystyczną chrypę Wacka Hironia, legendarnego działacza opozycji przewidywanego na ministra pracy i płacy, czyli jak żartowano po kątach, bezrobocia i niedostatku. – Rozumiem, że zasada „Wasz prezydent, nasz premier” nie zostanie podważona?

– Szanujemy partnera. I dlatego tak myślę sobie: ty byś nie wziął na siebie tego brzemienia? Z twoją wrażliwością lewicową byłbyś właściwym człowiekiem na trudne czasy.

– W życiu! Nie jestem ani pracowity, ani reprezentacyjny. Wujek Broniek to weźmie.

– Zauważyłem. Już przebiera nóżkami. Chcę, żebyś wiedział, że nam bardzo taka ewentualność odpowiada.

– Ze względu na rodowód i partyjną przeszłość? Czy dlatego że kulturalnie potrafi odesłać Szwendałę na zieloną trawkę?

– Szwendała to wasz problem, nie nasz, Wacku.

– Jaki problem, przypadkowy człowiek wyniesiony siłą wydarzeń. Gdybym nie bał się skojarzeń rasistowskich, powiedziałbym: Murzyn zrobił swoje, Murzyn może jechać na ryby...

Zaśmiali się i wyszli. Szwendała purpurowy z gniewu wyjrzał za nimi. Błyskawicznie rozpoznał w młodym aktywiście byłego ministra sportu Aleksandra Goryczkę. „Gdzie zdążyli się tak skumplować? Przecież towarzysz Goryczko nie należał raczej do Czerwonego Harcerstwa?”

Pod wieczór spotkali się we własnym gronie Klubu Obywatelskiego. Ton nadawali Wacek Turoń, profesor Hajduk, redaktor „Ekspresu Wyborczego” Adam Pysznik oraz bracia Jarek i Leszek Indykiewicz, rezolutne bliźniaki jednosenatowe. Z Gdańska dojechał jeszcze Piotr Kpina Nowotka, dotychczasowy rzecznik Szwendały, oraz inżynier Jacek Cyrkiel. Ostatnie doniesienia ze szpitala wskazywały, że operacja pana Tadeusza dobiegła końca, choć

nie było wiadomo, czy i kiedy odzyska przytomność. Zgromadzeni mądrzyli się, przebijali pomysłami, a Szwendala zastanawiał się, co by powiedzieli, słysząc z jego proletariackich ust jakiś cytat z Toqueville'a czy Machiavellego poparty odwołaniem do „Psychologii tłumu” Le Bona czy „Buntu mas” Ortegi y Gasset. Najlepiej w języku oryginału. Nawet dla Pysznika miał pewną złotą myśl ze spuścizny Hannah Arendt „o banalności zła i polityce jako obietnicy”. Nie zamierzał jednak rezygnować ze swej dotychczasowej roli, a zwłaszcza imidżu (profesor Hajduk z uporem używał francuskiego terminu *image*). Tym bardziej że nie miał żadnej pewności, czy nagła aktywność jego nieczynnej dotąd części mózgu nie zniknie za jakiś czas jak katar lub trądzik młodzieńczy.

Pozwoliwszy wygadać się jajogłowcom, poprosił o konkretne propozycje. Większość zgadzała się, że trzeba desygnować nowego kandydata na premiera choćby na krótki okres, zanim pan Tadeusz wróci do zdrowia. Lew popatrzył na Hajduka. Ten milczał spowity w aromatyczny dym z fajki. Ciekawa sprawa, im więcej mówiono o wymaganiach, jakie spełniać powinien ich wybraniec, oraz przymiotach, które winny go cechować, profesor zdawał się pęcznieć i pęcznieć mimo wypuszczania całych kłębow dymu. Wiedział, że jest jedynym kandydatem i nie mógł się doczekać klepnięcia ze strony przewodniczącego.

– Można rozważać, co zrobiłby w takiej sytuacji generał Go Gol... – zaczął Kpina Nowotka, ale nie skończył, bo natychmiast odpalił mu Jarek Indykiewicz:

– Każdy wie. Tylko najpierw trzeba mieć Go Gola. Po tych podobnych utarczkach słownych zabrał głos Adaś Pysznik. Jak zwykle kiedy był podniecony, zaczął od jąkania, co nawiasem mówiąc znakomicie wymuszało milczenie słuchaczy, ale w miarę jak mówił, jego mowa robiła się coraz bardziej potoczna.

– W zasadzie – powiedział – lista naszych kandydatów jest bardzo krótka. Oczywiście istnieje jeden kandydat bezdyskusyjny, którego w tym trudnym czasie premierostwo należy się jak psu bububuda...

– Kto? – przerwał mu Szwendala. Czuł w sobie narastającą falę wręcz straceńczej determinacji.

– Ty, Llelewku – odparł z promiennym uśmiechem Pysznik. – Całe nasze nie... nieszczęście polega na tym, że ty tej gogodności nie przyjmiesz?

– Tak uważasz? – przewodniczący potoczył wzrokiem po zgromadzonych. – A ja ci odpowiem: biore to!

– Co takiego? – zdumiał się Adaś. – Zostaniesz premierem?

– Jeśli Karuzel mnie desygnuje, wejdę w to! Dla dobra Polski.

Pysznik chciał jeszcze coś powiedzieć, ale powstrzymało go znaczące mrugnięcie Hajduka. Było w nim i rozbawienie, i swoista ulga. Grymas ust mówił jeszcze więcej: „Dajmy mu te zabawki, skompromituje się i nareszcie będziemy mieli go z głowy”.

– Tto doskonała proppozycja! – podsumował Adaś. A Jarek Indykiewicz pobiegł do dziennikarzy, nie czekając, aż przewodniczący się rozmyśli.

*

Kiedy pożegnawszy Kasię, Barczewski znalazł się wreszcie w dawnym przedszkolu na Mokotowie mieszczącym redakcję „Ekspresu Wyborczego”, wrzało tam jak w ulu. Zespół powstały w drodze pospolitego ruszenia był młody i nadzwyczaj pluralistyczny, choć z miesiąca na miesiąc zaczynał się kształtować podstawowy trzon trzymany żelazną ręką przez Helenę Kaganek. Naczelnym Adam Pysznik (aktualnie poseł), w którym kochały się wszystkie dziewczyny, a młodzi redaktorzy podziwiali jego opozycyjną przeszłość, był bardziej guru, ideologiem niż organizatorem bieżącej pracy. Lubił pisać wstępniaki, lubował się w celnych sformułowaniach w rodzaju „Wasz prezydent, nasz premier”. Jednocześnie z kokonu byłego opozycjonisty coraz wyraźniej począł wykluwać się motyl o dość nieoczekiwanych barwach. Człowiek, który pisywał z więzienia pełne oskarżycielskiej pasji listy do generała Kiszonki, teraz mocno zmoderował swe poglądy. A z nim całe środowisko. To dzięki jego wskazówkom wychodzono z podziemia bez nastrojów rewanżu czy choćby prób elementarnej wymierzenia sprawiedliwości. Opresyjni przedstawiciele władzy nagle przemienieni w partnerów nie byli już kandydatami na latarnie, czego tak obawiała się matka Kamila.

Redaktor Barczewska-Richter już od grudnia 1988 roku żyła w nastroju stałej paniki. Zaczęła pić i zdarzało się, że nie była w stanie pojechać do redakcji. A po 4 czerwca poszła w takie tango, że wylądowała w izbie wytrzeźwień.

Kamil jeszcze wtedy nie współpracował z „Ekspresem”, ale od starszych o miesiąc stażu kolegów wiedział, że wśród „Rycerzy Graniastego Stołu” nie było spodziewanego wybuchu radości po bezprzykładnym zwycięstwie w wyborach czerwcowych. Raczej zakłopotanie i mnożące się zastrzeżenia przed nastrojami tryumfalizmu. Trudno było to zrozumieć, zwłaszcza że zmaltretowane społeczeństwo wymagało jakiegoś oczywistego znaku sukcesu.

Jeszcze większy szok i niesmak, przynajmniej wśród części zespołu, wywołały wybory prezydenta przez Zgromadzenie Narodowe. Wojciech Karuzelski przecisnął się jednym głosem i to tylko dzięki kilku deputowanym „Solidności”, którzy wstrzymali się od głosu.

Sporo osób w redakcji komentowało ich czyn jako sprzeniewierzenie się woli wyborców, którzy zaledwie przed miesiącem tak zdecydowanie odrzucili komunę.

Jednak kierownictwo przekonywało iż „*pacta sunt servanda*”, a w ostateczności liczą się realia, czyli otoczenie Polski przez „obóz pokoju i socjalizmu”, a nade wszystko rodzime siły przymusu, które pozostawały w rękach ludzi starego reżimu, a udowodniły swoją sprawność podczas grudniowego puczu.

Kamil wszedł do zespołu z początkiem lipca. Wszedłby może i wcześniej, ale jak wielu działaczy z podziemia związanych z towarzystwem „Kanonii” miał sporą rezerwę co do sensowności Graniastego Stołu. Jednak po wyborach czerwcowych pozostawanie w podziemiu, które właśnie przestało istnieć, nie było już alternatywą.

Tego wtorku wpadając do redakcji, znalazł się w wirze domysłów i spekulacji, których istotą były domniemania w temacie nowego premiera.

– Idę o zakład, że to będzie Hajduk... – twierdził Lesław Koleszka, jeden z najbliższych współpracowników szefa redakcji, świeżo przybyły z Krakowa. – Już by był, gdyby ten intrygant Indykiewicz nie zbuntował przeciw niemu Szwendala i wypromował Małopolskiego, który natychmiast gdy dostał władzę, kopnął go w dupę.

– A ja myślę, że jednak padnie na Turonia – wtrąciła się Lucyna, szczupła redaktorka techniczna, z niepojętych względów farbująca się na platynowo. – Przewodniczący wybierze kogoś, kto potrafi gadać po ludzku.

– A może Szwendala zdecyduje się na Indykiewicza – podsunął ktoś z boku.

– Premier nie może być wzrostu siedzącego psa – mruknął dość spontanicznie Kamil i wszyscy wybuchnęli śmiechem. A Lucyna przytuliła się do niego.

Chyba nadal nie zrezygnowała z pogłębienia ich wzajemnych relacji. Starsza pięć lat od Barczewskiego rozwódka o dość libertyńskich obyczajach od pierwszego wejrzenia polubiła młodego redaktora, podczas nocnego dyżuru poszli razem do łóżka (jeśli można tak nazwać stertę gazetowych numerów) i było im całkiem fajnie, ale wbrew nadziejom Lucyny nie stała się dla Kamila nikim więcej jak sympatycznym „pogotowiem seksualnym”.

Spekulowano w najlepsze aż do późnego wieczora, kiedy jak grom padła wiadomość: „Szwendala idzie na premiera”. Było to tak szokujące, że aż nie do uwierzenia.

– No to się załatwił! – powiedział Koleszka. – W krótkim tempie skompromituje się, cały ciężar reform pójdzie na jego konto. I będzie pierwszym premierem, którego wywiozą z URM-u na taczkach.

– Albo i nie – rzucił Krzysztof Gajski, jeden z nielicznych dziennikarzy, który miał odwagę stawiać się naczelnemu. Teraz stał przy drzwiach, a na jego ustach błąkał się uśmiezek. – Szwendala już parę razy potrafił nas zaskoczyć.

– Na jakiej podstawie tak twierdzisz? – syknął brodaty Izaak Krakowski. – Dalszy wzrost takich postaci jak Szwendala byłby nieszczęściem dla tego kraju i nas wszystkich.

– Niczego nie twierdę, ale czy nie uważacie, że zawsze należy rozważać gorsze ewentualności i być przygotowanym na plan B?

*

Kiedy wyszedł z redakcji, było jeszcze dość wcześnie, postanowił więc wpaść do Andrzeja Felgiewicza, którego starzy mieli piękne mieszkanie w pobliżu Łazienek. Mieszkanie, od czasu kiedy jego starzy się rozwiedli, a towarzysz Felgiewicz senior zamienił się z radcy handlowego na obrotnego dyrektora spółki z kapitałem mieszanym, przeważnie stało puste. To sprawiało, że Andrzej uznawany był za dziecko szczęścia. Miał reprezentacyjne lokum i stały dopływ gotówki zza granicy. W połączeniu z miłą aparycją, wygadaniem i światowym obyciem tworzyło to wybitnie rozrywkowy koktajl. Kamil długo nie miał pojęcia, że Andrzej wrócił do Polski. Felgiewicz z kolei nie miał telefonu do jego nowego mieszkania, toteż musieli wpaść na siebie na ulicy (konkretnie obok wyborczej kwatery „Solidności” mieszczącej się w lokalu Niespodziewajka na Placu Poprawek do Konstytucji).

Szybko okazało się, że stara przyjaźń nie rdzewieje. Zwłaszcza że Andrzej miał wszystko to, czego Kamilowi brakowało: pieniądze, powodzenie u kobiet, pewność siebie i permanentnie wolną chatę. A że nie pasjonowała go polityka? Nikt nie jest doskonały.

Zastał kolegę samotnie oglądającego jakiegoś pornola na video, mocno zmarnowanego po wczorajszej balandze. Wyglądało na to, że dramatyczne wydarzenia w Sejmie w ogóle go nie interesują.

– Jak ci poszło z tą dupcią? – zapytał na wstępie, wyciągając dla niego piwo z lodówki.

– Nieźle – odparł.

– Nieźle, znaczy fatalnie – na swój sposób odczytał informację. – Nie mów tylko, że jej nie przerznąłeś.

– Nie było gdzie – mruknął wymijająco. Nie bardzo chciał się tłumaczyć ze swego stanu ducha.

– No to rozumiem, że masz ciągle pełen magazynek – ożywił się Jędrrek. – Pamiętasz te dwie bliźniaczki z ASP. Mogę do nich zadzwonić i zaraz tu wpadną.

– Nie jestem w nastroju.

– Nie mów mi tylko, że się zakochałeś, bo stracę do ciebie resztkę szacunku.

– Nie wiem – odparł szczerze – ale jakoś na razie nie mam ochoty na nic innego.

– Jak chcesz. Zresztą teraz przypomniałem sobie, że te dwie przyszłe artystki jeszcze nie wróciły z pleneru w Kazimierzu. A propos, chyba ci jeszcze nie mówiłem: dostałem robotę w radio. Szukają nowych, nieskompromitowanych głosów i uznali, że mój będzie jak ulał.

Kamil miał na końcu pytanie, jak możliwy był angaż, skoro Andrzej poza jakimiś zaczętymi studiami za granicą nie ma praktycznie żadnego wykształcenia, ale wyraźnie ci, co zatrudnili Felgiewicza, nie przejmowali się takimi drobnostkami.

*

Ku zaskoczeniu wszystkich przewodniczący i potencjalny premier nie chciał się z nikim naradzać, odrzucił także ofertę wywiadu dla telewizji. Oficjalnie mówił o zmęczeniu, a nieoficjalnie swym najbliższemu, że musi się pozbierać i odzyskać równowagę ducha.

Gdyby mógł się komuś zwierzyć, powiedziałby: „Skoczyłem na główkę do basenu, nie sprawdzając, czy jest w nim woda. Była, ale teraz zastanawiam się, czy w ogóle umiem pływać...” Niestety nie miał takiego powiernika.

Kazał wieść się Mietkowi na Stare Miasto. Katedra była otwarta. Przygarbiony wszedł do ciemnego wnętrza, nie zwracając niczyjej uwagi, skręcił w boczną nawę i klęknął przed wizerunkiem Zbawiciela na krzyżu. Legenda mówiła, że tej cudownej rzeźbie Chrystusa przez całe wieki rosły włosy tak intensywnie, że co pewien czas niewinne panny musiały mu je obcinać. Niestety pewnego razu trafiła się jedna fryzjerka niespecjalnie już niewinna i włosy przestały rosnąć.

Modlitwa zwykle przynosiła przewodniczącemu uspokojenie, rozjaśniała umysł, koła emocje choleryka. Tego dziś potrzebował bardzo. Impulsywnie zgodził się na premierostwo, co nie znaczy, że się nie bał. Nie odpowiedzialności wobec Boga i historii, na banie się „w tym temacie” miał jeszcze sporo czasu, chwilowo też nie zastanawiał się, jak podoła ogromowi zadań. Najbardziej obawiał się o swoje zdrowie. A jeśli ta druga osobowość, która zapanowała nad starą, była sygnałem schizofrenii? Jeśli następnym krokiem będzie jakieś szaleństwo, którego nie zdoła okiełznać? Publicznie zacznie bredzić albo rozbierze się do naga na sali plenarnej?

„Chyba powinienem pójść do jakiegoś lekarza” – pomyślał. Wiedział jednak, że teraz tego nie zrobi. „Premier-elekt na konsultacjach u psychiatry” – dopieroż pismacy mieliby używanie.

Dobrze byłoby z kimś pogadać, ale do kogo mógł mieć zaufanie? Popatrzył na klęczących w nawie głównej współpracowników. Pull był miłym kompanem, idealnym do załatwiania spraw drobnych. A Mietek? Znali się tyle lat, a pozostawał dla niego zagadką. Nie potrafił przejrzeć, co kryło się pod maską „brata łąty” i „duszy towarzystwa”. Zwykły cwaniaczek, który dorobił się w Londynie na prostowaniu skasowanych samochodów za pomocą tamtejszych latarni i linki holowniczej, czy ktoś dużo bardziej świadomy...? Ania Makuszyńska twierdziła, że jest on człowiekiem służb, kto wie, czy tylko tych krajowych, ale stara podejrzliwa suwnicowa również samego Szwendalę uważała za agenta „Ciulka”...

Po pół godzinie skupienia wyklął mu się plan. Pożegnał się z Pullem i kazał Mietkowi wieść się na Żoliborz, gdzie zamierzał wpaść z niezapowiedzianą wizytą do braci Indykiewiczów. Chłopaki, którzy w dzieciństwie na planie filmowym ukradli księżyc, miewali dobre pomysły, a w dodatku byli niezależni od twardego rdzenia „warszawki”.

Jak było do przewidzenia, zastał obu bliźniaków na kolacji u pani Jadwigi.

Być może obecność rodzicielki wpłynęła na nich mobilizująco, bo jeden przez drugiego zaczęli besztać Szwendalę.

– Co pan najlepszego zrobił? Dał się pan wpuścić w zasadzkę! – wołał Jarosław. – Jako premier automatycznie wejdzie pan w konflikt ze związkiem „Solidność” stanowiącym do tej pory naszą siłę. W dodatku rząd w składzie, jaki miał aprobować pan Tadeusz, to *de facto* żyrowanie dalszej władzy komunistów.

– Dlatego wprowadzę pewną modyfikację do pierwotnego planu – powiedział Lew. – Po pierwsze związek „Solidność”. Przejmie go Lech. Zna się na robocie jak nikt.

– Musieliby mnie jeszcze wybrać – Indykiewicz jak Mały Rycerz poruszył wąsikami.

– Wybiorą tego, kogo ja wskażę. A co do rządu, Jarek zostanie pierwszym wicepremierem...

– Dziękuję – Indykiewicz raptownie wytracił dotychczasowy impet. – Tylko co powie na to Leszek Walutowicz, który już oswoił się z myślą, że obejmie to stanowisko?

– Jako minister finansów będzie miał dość roboty. Zresztą nie musi obejmować. Ale idźmy dalej. Warto też mieć kogoś pewnego na Urząd Rady Ministrów...

– Może Krzysio Pull? – podsunął Lech – albo Adam Kijanka. Jego siostra była najlepszą z moich sekretarek.

– Nie ten kaliber. Myślałem o kimś z gdańskich libertynów. Co byście powiedzieli na Cyrkla?

– Jacek Cyrkiel nie byłby zły – zgodził się Indykiewicz, który znał tego postawnego inżyniera z Gdańska.

– No i trzeba będzie w trymiga znaleźć kogoś na rzecznika – dorzucił szef. – Im dłużej przebywam z Piotrkim Kpiną Nowotką, tym coraz częściej myślę, że to gnida.

– A nie podoba się panu Małgorzata Niezabudkowska proponowana przez Małopolskiego? Wie pan, że nazywają ją Topielica...?

– Nie w tym rzecz, czy mnie się podoba. Ale Hanuśka by mi oczy wydrapała za taką asystę. No i muszę mieć tekst nowego *exposé*.

– Na jutro? – przestraszył się Jarosław Indykiewicz.

– Na pojutrze. Najpóźniej na piątek. W sobotę pojedziemy do Rzymu. Do Ojca Świętego. W tej sprawie trzeba będzie błyskawicznie skontaktować się z prymasem Kłębem.

– Już w sobotę. Czy to nie za szybko?

– Muszę naładować sobie akumulatory.

Kiedy wyszedł, omal nie rozdeptując na progu kota, bliźniacy dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy w milczeniu.

– Zauważyłeś, jak precyzyjnie dzisiaj mówił? – spostrzegł Jarosław.

– Zauważyłem. Nie zrobił ani jednego błędu językowego. Niesamowita sprawa. Od samego rana ledwie go poznaję – zgodził się Lech.

– A może po prostu wyjątkowa sytuacja wyzwoliła w nim nowe umiejętności – powiedziała ich matka i dorzuciła cytat, jakich wiele znała z literatury: „Gdy wieje wiatr historii, ludziom jak pięknym ptakom wyrastają skrzydła, natomiast trzęsą się portki pętałom”.

– Tak czy siak, otrzymaliśmy wielki prezent od losu i nie możemy go zmarnować – stwierdził Jarosław.

– Nie my, braciszku. Polska otrzymała.

*

Następny dzień wypełniły zmudne konsultacje z klubami, a następnie spotkanie z prezydentem Karuzelskim. Po generale trudno było poznać emocje, siedział zwykle sztywno, jakby połknął nie jeden, a trzy kije, jednak tego dnia wiele wskazywało, że utracił dotychczasową pewność siebie. Po prostu coś popsulo się w dobrze skonstruowanym

scenariuszu. Jednak Szwendala zachowywał się z pełną rewerencją, jakby nie zamierzał wykorzystywać nowej sytuacji, przeciwnie: podkreślał wszem i wobec, że jego rząd ma charakter tymczasowy, nie będzie wykraczał poza dotychczasowe ustalenia umów sojuszniczych, a kiedy tylko Małopolskiemu się polepszy, on sam chętnie ustąpi mu miejsca. Czy wierzył w to? W tym czasie zapewne jeszcze tak.

Karuzelski czuł się zmęczony. Jego oparcie w Moskwie osłabło, a w kraju – wiedział, że starzy towarzysze po kątach zarzucają mu kapitulantstwo, nie zdając sobie sprawy, że gdyby tylko mógł, powtórzyłby nie jeden, a pięć razy stan oblężenia, bez okazywania już tak wielkiej cierpliwości, umiaru i miłosierdzia co wówczas. Ale nie mógł. Korbaczow miał inną koncepcję!

– Oczywiście z radością wysunę pańską kandydaturę na Prezesa Rady Ministrów, panie przewodniczący – wycedził ze sztucznym uśmiechem.

O wiele trudniejsza dla Szwendaly okazała się rozmowa z Leszkiem Walutowiczem. Kandydat na ministra finansów i osobę odpowiedzialną za całokształt reform, dowiedziawszy się, że nie będzie wicepremierem, uniósł się honorem i oświadczył, że rezygnuje.

Szwendala przekonał go dopiero po dobrych trzech kwadransach, twierdząc, że teraz ma określone zobowiązania i że przy najbliższej rekonstrukcji rządu wróci do pierwotnej koncepcji Małopolskiego.

– Panie Leszku, masz to jak w banku! – zawołał.

Tymczasem Jarek Indykiewicz wziął się za konstruowanie *exposé*. Do pomocy przyjął znanego publicystę Piotra Bazickiego, autora słynnego przed laty „Traktatu o mendach”. Tekst wystąpienia, które planował pan Tadeusz, skrócili o połowę. Tchnęli w niego więcej życia i emocji, okrasili kilkoma kwiecistymi cytatami literackimi, usunęli też znaczną ilość wyrazów skomplikowanych i obcojęzycznych, które w ustach Szwendaly mogłyby brzmieć sztucznie, a co gorsza przewodniczący, dla którego czytanie nigdy nie było mocną stroną, mógł mieć spore trudności z ich wymówieniem.

Wieczorem z tekstem zapoznał się sam Lew i ku żalowi Jarosława wykreślił kilka bardziej zdecydowanych sformułowań.

– Po co drażnić komuchów przedwcześnie – powiedział.

W sumie wyszła całość przepełniona patriotyzmem, wołą reformy gospodarczej, bez wskazywania zbyt mocno jej liberalnego kierunku. Dużo było o konieczności budowy państwa prawa, w którym obywatele czuli się bezpiecznie i podmiotowo, a zarazem respektowaniu prawa międzynarodowego (zniknęły za to istniejące w wersji przygotowanej przez Małopolskiego sformułowania o wierności obecnym sojuszom).

Szybko przeprowadzono też casting na rzecznika. Zamiast sugerowanego przez większość doradców Jarosława Kogucika wybór Szwendąły padł na innego gdańszczanina, niedużego, brodatego doktora historii Andrzeja Drzymałkę, jednego z niewielu działaczy „Solidności”, który nie opuścił Lwa w najbardziej chudych latach. I był autorem jego podziemnej autobiografii.

– Ale ja nie mam doświadczenia w zakresie *public relations* – opierał się Drzymałko. – Jestem historykiem drugiej wojny specjalizującym się w obronie Westerplatte.

– I bardzo dobrze. Nasz rząd będzie musiał się bronić nie gorzej niż major Sucharski i jego załoga.

To zdanie ostatecznie przekonało Drzymałkę – Szwendąła, który publicznie chwalił się, iż nie przeczytał w życiu żadnej książki, znał nie tylko tytuł jego pracy, ale miał również pojęcie o zawartej w niej treści.

*

– Panie Marszałku, Wysoka Izbo! Rodacy! – zaczął swoje wystąpienie Lew Szwendąła.
– Przychodzę tu jako zastępca, aby dokończyć przemówienie, które rozpoczął dwa dni temu mój wspaniały przyjaciel, mądry i szlachetny człowiek „Solidności” Tadeusz Małopolski. Zwracam się do was z pokorą, ale jednocześnie ze świadomością, że nie stać nas na marnowanie czasu. Że w obliczu wezwań i zagrożeń musimy wspólnie i zdecydowanie zająć się tym wielkim wspólnym dziełem, jakim jest Polska. Jestem tylko prostym robotnikiem, ale otacza mnie zastęp najświetlejszych umysłów Rzeczypospolitej. Będę starał się być silny ich mądrością. Pamiętam słowa Norwida, że „Ojczyzna to wielki zbiorowy obowiązek”, i wiem, że nie wystarczy o niej rozmawiać jak Polak z Polakiem, ale trzeba jeszcze działać ramieniem dla wspólnej pomyślności. Dlatego nie przychodzę dzielić, chociaż, jak pisał ongiś poeta: „Są w ojczyźnie rachunki krzywd”. W Polsce, którą zbudujemy, będzie miejsce dla każdego, kto zechce dla niej pracować. Zbyt wiele czasu zostało zmarnowane, zbyt wielu rodaków musiało ruszyć w świat, poznając smak gorzkiego, emigranckiego chleba.

Do nich się zwracam z tego miejsca: Wracajcie! Jesteście ojczyźnie bardzo potrzebni. Tak samo muszą powrócić ci, którzy wybrali emigrację wewnętrzną lub zostali na nią skazani. Muszą znaleźć się dla nich miejsca w mediach i na uczelniach, w administracji i wymiarze sprawiedliwości. Jedną miarą wspólną dla wszystkich będą kwalifikacje i lojalność wobec państwa. Naszego państwa!

Zgoda buduje, ale tylko wówczas, kiedy pozwólcie, że odwołam się do innego poety: „Prawo znaczy prawo, a sprawiedliwość sprawiedliwość” – tu wykorzystał burzę zrywających się oklasków, aby popić wody ze szklanki. Co ciekawe, do tej pory nie pomylił się ani razu, a przecież dotąd zawsze miał kłopoty z czytaniem swoich wystąpień.

– Co on kombinuje? – oglądający wystąpienie były premier i aktualny pierwszy sekretarz Postępowego Zjednoczenia Polskich Rewolucjonistów Mieczysław Krabik nie mógł pozbyć się wrażenia, że ogląda jakiegoś aktora, parodystę, mistrzowsko udającego Szwendalę. Gesty były te same, akcenty też, ale reszta? Dziś ten człowiek, którego od pamiętnego lata 1980 uważał za prostaka i drobnego żulika, sprawiał na mównicy sejmowej wrażenie pełnokrwistego męża stanu, świadomego do końca, co mówi. „Świetnie go wytrenowali!” – zapisał później w swoich notatkach. „Możemy mieć z nim większe kłopoty, niż pierwotnie myśleliśmy”.

– Musimy pokonać pętające nas uczucie beznadziejności – ciągnął dalej premiero-robotnik. – Zdobyć się na odwagę stwierdzenia, że nasz los jest w naszych rękach i tylko od nas zależy, czy wygramy Teraźniejszość i Przyszłość. Dlatego pójdziemy drogą reform i ogólnonarodowej zgody. Drogą „Solidności”. Do lepszego i bezpieczniejszego świata. Do zasobniejszej i szczęśliwszej Polski. Tak nam dopomóż Bóg.

– Kurwa mać, kto mu to napisał?! – krzyknął Adaś Pyszniak obserwujący transmisję na telewizorze w swoim gabinecie.

W Sejmie zapanowała donośna wrzawa, a Lew schodząc z mównicy, pokazał w stronę kamer słynnego zwycięskiego „króliczka”.

*

Parę pokojów dalej, w pomieszczeniu zajmowanym przez dział miejski przemówienia słuchał przez radio Kamil. Zastanawiał się, jak przeżywał to jego dziadek. Starszy pan od kilku miesięcy żył w euforii, jakby ubyło mu pięćdziesiąt lat. Teraz na wszelki wypadek zadzwonił do niego, bał się, że nadmiar wrażeń może go zabić. Ale starszy pan nie zamierzał jeszcze odchodzić do swych współtowarzyszy z Bitwy Warszawskiej.

– Dożyłem, dożyłem! – powtarzał w uniesieniu. A kiedy wnuk zaproponował mu, żeby na wszelki wypadek łyknął coś na serce, odpowiedział:

– Świat zrobił się zbyt ciekawy, żeby umierać!

W tym samym czasie Kasia Bogucka śledziła przemówienie na ekranie małego telewizora w kuchni, kończąc zmywanie talerzy. Kiedy kamerzysta panoramował salę

i sięgnął galerii, z niepokojem poszukiwała wzrokiem kozłobrodego cudzoziemca. Nie było go. Dostrzegła natomiast błękitną damę. Twarz jej wyrażała ogromną radość, ale palcami ocierała łzy, które musiały zakrećić się jej w oczach.

Głosowanie w Sejmie okazało się formalnością. Przyjęto skład gabinetu bez głosów przeciwnych, przy zaledwie ośmiu wstrzymujących się. Odetchnęła. Od paru dni żyła w znacznym napięciu, jej uczucia wobec Kamila stawały się coraz gorętsze, a pieszczoty coraz odważniejsze. W czwartek pozwoliła dotknąć swoich piersi, w piątek dopiero po dłuższej chwili odsunęła rękę buszującą w jej majteczkach. Zastanawiała się, co by powiedziała jej matka. Niestety do soboty Olimpia nie objawiła się jej ani razu.

Toteż w niedzielę obiecała wpaść do Kamila do domu. Wiedziała, że jego matka wybierała się na brydża i jak zwykle nie powinna wrócić przed drugą w nocy...

Na myśl o randce odczuwała strach i podniecenie. Nie potrafiła ustalić proporcji. „A może miejmy to wreszcie za sobą!”.

*

Stan powszechnej euforii, która zapanowała w parlamencie i całej Polsce, Szwendała udatnie grający rolę nieco zagubionego prostaczka wykorzystał do dwóch posunięć niekonsultowanych z nikim.

Błyskawicznie zdymisjonował prezesa Radiokomitetu, obleśnego gнома Jerzego Turbana nazywanego przez naród „Goebbelsem stanu obłączenia”, a także wstawił na wakujące stanowisko naczelnego „Tygodnika Solidność” Piotra Bazickiego, wywołując furję w kręgach „warszawki” i bunt części zespołu z dotychczasowym zastępcą Janem Lokajczykiem na czele.

Na miejsce prezesa Turbana Małopolski planował mianować rusycystę ze słynnego przed laty teatryku studenckiego ITP Andrzeja Krwawicza i był z nim po słowie, z kolei siły starego układu bardzo chciałyby widzieć na tym posterunku gładkiego i wygadanego Aleksandra Goryczkę, jednak Szwendała nie miał zamiaru oddawać pola ludziom, do których nie miał pełnego zaufania.

– Łysi są fałszywi – powiedział z właściwym sobie wdziękiem, wyznaczając na to stanowisko twórcę podziemnej telewizji z Gdańska Mariana Trelickiego, miłego blondynka o łagodnym uśmiechu.

– A rudzi nie są fałszywi? – zapytał Wachmistrzowski, który za Trelickim nie przepadał, choć lubił popić z nim od czasu do czasu.

– Zależy, czy są obcy, czy nasi – zamknął dyskusję nowy premier i sięgnął po czasopismo leżące na biurku. Ale ku zaskoczeniu Mietka nie był to nowy numer „Szaradzisty”, tylko kwartalnik politologiczny wydawany na Uniwersytecie Harvarda.

IV

Ładowanie akumulatorów

Samolot podskoczył po raz ostatni na nierówności pasa i oderwał się od ziemi. Andrzej Drzymałko przymknął oczy – lubił latać samolotami z wyjątkiem startu i lądowania. W przytulnej kabinie Jaka rozmowy na moment ucichły, aby po wsunięciu klap i podwozia odezwać się na nowo.

W trakcie ostatnich trzech dni spędzonych w Warszawie w towarzystwie Szwendala nowy rzecznik ciągle nie mógł wyjść ze zdziwienia. Znał Lwa od lat i dlatego bardziej niż inni zdawał sobie sprawę z odmiany. Był to ten sam człowiek, a zarazem nie ten sam. Po pierwsze, uważniej słuchał ludzi, po drugie, rzadziej reagował w sposób natychmiastowy i nie ulegał pokusom, zgodnie z którymi jego mowa wyprzedzała myśl. Czy to nowe obowiązki dokonały takiej odmiany, czy jakaś trauma, o której nikomu nic nie było wiadomo? A może – kombinował Drzymałko – premier dowiedział się o jakiejś ciężkiej trawiącej go chorobie. Ale czy perspektywa nawet nieuleczalnej choroby może sprawić, że człowiek z dnia na dzień przestaje robić błędy gramatyczne, metafora nie myli mu się z metamorfozą i zdolny jest na poczekaniu przytoczyć cytat z książki, której z całą pewnością nigdy nie czytał.

A może zgodnie z namowami najbliższych Szwendala poddał się jakiemuś samokształceniu. Tylko kiedy i kto wystąpił w roli preceptora? W ciągu ostatnich dni Drzymałko zauważył rosnący dystans Lwa do niedawnych mentorów, Hajduka, Turonia, Pysznika. Dystans do tego pierwszego istniał od zawsze, ale dotąd stymulował go zrozumiała lęk człowieka niewykształconego, bojącego się kompromitacji w oczach wybitnego profesora, intelektualisty, Europejczyka. Teraz jednak nie wyglądało to na kompleksy. Nie dalej jak wczoraj znakomity mediewista, perorując na temat niebezpieczeństw nacjonalizmu, ostrzegał przed wywoływaniem w narodzie ducha krucjaty ludowej.

– Byleby to nie była krucjata dziecięca! – rzucił od niechcienia Szwendala, swą erudycją Drzymałkę wbijając w fotel.

Delegacja udająca się do Włoch była dość szczupła: paru biskupów, kilku ministrów, szef URM-u Jacek Cyrkiel i profesor Bronisław Hajduk, szef Obywatelskiego Klubu Polaków.

Za oknami Jakowlewa oddalała się Warszawa, brudne, zaniedbane miasto z samotnym szpikulcem Pałacu Kultury, dziurawymi trotuarami i szarzyzną zagonionych przechodniów, której nie były w stanie ożywić rozstawione wokół ulic łózka polowe, na których debiutowali pierwsi fizylierzy wolnego rynku.

W *exposé* Małopolskiego było zdanie, które zresztą nie znalazło się w przemówieniu Szwendąły – że pierwsze efekty reform będą widoczne po stu dniach. Rzecznik prywatnie uważał, że dobrze by było, gdyby postęp dało się zauważyć po dziesięciu latach. Na razie wszystko za wyjątkiem kursu dolara i cen pikowało w dół.

To prawda, po uwolnieniu cen przez premiera Krabika z dnia na dzień sklepy i targowiska zapełniły się dawno niewidzianymi towarami, ale równocześnie obywatelom zaczęło brakować forsy w portfelach mimo gwałtownego wzrostu nominalów. Satyrycy drwili, że tylko patrzeć, a pojawi się miliard w bilonie – na awersie Popiel z myszą, a na rewersie Lech Czech i (niestety) Rus śpieszący z bratnią pomocą. Gospodarka nakazowo-rozdzielcza rozsypywała się w oczach. Tylko co miało przyjść po niej? Trzy równouprawnione sektory? Szwendąła całkiem niedawno dowiedział się, że w wolnych krajach Zachodu prywatne są nawet koleje i przemysł zbrojeniowy. Czy u nas było to możliwe? I za jaką cenę. I tak pokój społeczny trwał zadziwiająco długo.

„Ile mamy czasu, do wiosny, do następnego lata?” – zastanawiał się Drzymalko. „A może już za kilka dni zacznie się kryzys?”

Na lotnisku Fiumicino przesiedli się do helikoptera przydzielonego polskiej delegacji przez rząd Włoch. Niezwłocznie skierowali się w stronę Gór Albańskich wznoszących się nad ciemnym wulkanicznym Lago Albano.

Ojciec Święty postanowił przyjąć premiera Szwendąłę w Castel Gandolfo. Chociaż sezon urlopowy właściwie się skończył, w centralnych Włoszech trwało ciągle upalne lato i papież Polak chętnie skorzystał z okazji, by wyrwać się z dusznych murów Watykanu. Spotkanie w miejscu o wiele bardziej kameralnym niż kompleks Świętego Miasta miało jeszcze jedną zaletę: z pewnością było tam mniej potencjalnych podsłuchów i wścibskich tajnych współpracowników komunistycznych służb, co do obecności których Ojciec Święty nie miał złudzeń, ale tolerował ich, słusznie przeczuwając, że w miejsce zwolnionych przez agentów znanych mogliby napłynąć nieznani.

Po kameralnej mszy, którą *pontifex maximus* rozpoczął słowami: „*Gaude Mater Polonia*” i w trakcie której znakomita część delegacji przyjęła komunię, papież spotkał się z całą grupą na krótkiej audiencji, a następnie tylko z najbliższymi współpracownikami premiera zniknął

w apartamentach prywatnych, gdzie podjął ich obiadem. Pozostali ministrowie powrócili do Rzymu, gdzie mieli spotkania z ich odpowiednikami we włoskim rządzie.

W trakcie posiłku papież mówił mało. Słuchał. A była w owym słuchaniu niezwykła intensywność dorównująca tej, z jaką się modlił. Drzymałko miał wrażenie, że Ojciec Święty zatapiając wzrok w swym rozmówcy, wyciąga z niego wszystko: słowa niewypowiedziane, myśli najskrytsze. Po obiedzie papież ze Szwendalą wyszli na długi spacer do ogrodów, reszcie pozostawiając zwiedzanie pałacu.

Przez całą drogę do Rzymu Szwendala bił się z myślami: powiedzieć o swej nieoczekiwanej przemianie czy nie powiedzieć? Jednak jeśli komukolwiek mógł się zwierzyć, polski papież był właśnie taką osobą. Wahanie trwało aż do momentu spotkania. Kiedy znaleźli się sam na sam, Lew stracił wszelkie opory i opowiedział o dziwnych doznaniach, jakich doświadczał w ciągu ostatnich dni. Papież nie wydawał się szczególnie zaskoczony. Po wysłuchaniu opowieści Szwendala spytał, czy może poddać go pewnemu testowi, a premier zgodził się skwapliwie. Na zdanie rzucone po włosku odparł mową Dantego, spreparował kwestię wypowiedzianą po francusku, a na cytat z Szekspira po angielsku odpowiedział cytatem z Dickensa.

– Sam, Ojciec Święty, widzisz, co się ze mną porobiło – poskarżył się na koniec.

Papież chwilę milczał, a potem zapytał:

– A jaki jest twój stosunek do prawdy?

– To chyba jest najgorsze. Cały czas przytłaczają mnie grzechy, które dotąd wyjawilem tylko wam.

– Wyznaj je innym, zrozumieją.

– Zniszczą mnie.

– Sądzę, że przeciwnie. Któż jest na tyle bezgrzesznym, aby ośmielił się ciskać w ciebie kamieniem. Popełnianie błędów jest częścią ludzkiego żywota. Istotne jest, jak i kiedy się z nich wyzwalamy. Szawel prześladował Pana, a później jak nikt przybliżył Go ludziom. Piotr najpierw trzykrotnie się zaparł, a później został opoką Kościoła... Poza tym Polacy kochają Kmiciców i jemu podobnych, nawróconych grzeszników.

– Żebym jeszcze mógł zrozumieć, co się stało.

– A musisz? Jeśli twe oświecenie jest potrzebne w planie Stwórcy, wykorzystaj je. Czyń to, co uważasz za słuszne, odważ się dokonywać rzeczy, które dla innych nie byłyby możliwe.

– A jeśli mojej przemiany dokonał Szatan?!

– Nie sądzę. Szatan nie daje niczego za darmo. Zresztą po owocach poznasz, czyje to dzieło... Zważ nadto, iż twoja sytuacja nie jest aż tak bezprecedensowa, jak przypuszczasz.

– Myśli Ojciec o zesłaniu Ducha Świętego. W jednej chwili prości celnicy, rzemieślnicy i rybacy stali się apostołami władającymi wieloma językami...

– Nie tylko. Dzieje świata obfitują w przypadki nagłych iluminacji, kiedy zwyczajni ludzie otrzymywali dar mądrości. Uczyn z niego dobry użytek, znajdź mądrych doradców, przekuj idee w czyny, a wówczas zasypiając z Polską na ustach, będę mógł spać spokojnie.

Rozmawiali jeszcze długo. Chociaż papież nie omawiał konkretnych posunięć ani nie proponował szczegółowych rozwiązań, Szwendała czuł, że traktuje Polskę jako miejsce szczególnego eksperymentu, którego sukces może przynieść wiele dobrego dla świata.

– I proszę bardzo uważać na siebie – powiedział, zanim się pożegnali. – Obaj zajmujemy stanowisko, na które trudno znajdować następców.

Wieczorem również druga części delegacji powróciła do Rzymu.

*

W niedzielę po nabożeństwie na Monte Cassino koncelebrowanym przez prymasa Józefa Kłaba, w którym wzięły udział rzesze polskich emigrantów, w tym również tych przez władze PRL-u szczególnie wyklętych, Szwendała spotkał się z grupą wybitnych przedstawicieli polskiej emigracji. Pojawił się tam pisarz Gustaw Hering-Styczyński, z Ameryki doleciał noblista Masław Ciłosz, znalazł się też były dyrektor Radia Wolna Europa, słynny „Kurier z Warszawy” – Jan Starszak-Rzeczysławski. Każdemu z nich Szwendała poświęcił co najmniej kwadrans indywidualnej rozmowy. Najdłużej, bo do późna w nocy, rozmawiał nowy premier ze Starszakiem w celi udostępnionej przez ojców benedyktynów.

– Potrzebuję rady – powiedział mu. I Rady i pomocy. Niestety kiedy proponuję pańskim znakomitym kolegom szybki powrót do kraju i natychmiastowe włączenie się w nurt przemian, wahają się, zwlekają.

– Trudno się dziwić. Jesteśmy starzy – westchnął Rzeczysławski. – Gdyby „Solidność” zwyciężyła dziesięć lat temu, miałby pan jeszcze do dyspozycji trochę dawnych dowódców, polityków... Teraz mało już kto żyje, a jeśli nawet żyje, to nie nadaje się do czegokolwiek. Z kolei druga generacja emigrantów często nie mówi po polsku, ma ułożone swoje życie, interesy, i nie jest gotowa rzucać wszystkiego, i iść na niepewne...

– A gdybyśmy dali im możliwość robienia podobnych interesów w kraju Ojców, z możliwością preferencji, większych zysków. Chciałbym, żeby polską przedsiębiorczość rozwijali Polacy, a nie uwłaszczeni sekretarze partyjni.

– Musiałyby wcześniej zniknąć przeszkody biurokratyczne i powstać gwarancje stabilności. I to szybko.

– Sęk w tym, że nie bardzo ma to kto wdrażać. Otaczają mnie albo poczciwi opozycjoniści, którzy umieją głównie gadać, a jedyne przedsiębiorstwo, jakie prowadzili, to podziemna drukarnia, albo partyjni rewizjoniści, którzy całe życie marzyli wyłącznie o reformowaniu socjalizmu i teraz nie wiedzą, co robić, gdy ten ustrój można jedynie wyrzucić na śmietnik.

– Chce pan przywrócić w Polsce kapitalizm? – zdziwił się Starszak.

– Chcę, aby ludziom chciało się pracować, pociągi odchodziły punktualnie, towar gonił człowieka, a nie człowiek za towarem, a emeryci po ciężko przepracowanym życiu mogli jeździć na wczasy do Grecji i Egiptu.

– Fantasta z pana premiera!

– Tylko marzycielom udawało się coś zdziałać na tym świecie.

– Ma pan jednak świadomość oporu materii, siły protestów, które wzbudzą niezbędne reformy? Wie pan, ilu z pańskich dzisiejszych klakierów to wilki w owczej skórze, jak ogromna była komunistyczna agentura i jak wielu z dzisiejszych „rycerzy odnowy” nadal jak pies Pawłowa gotowych jest reagować na komendę oficera prowadzącego?

– Niestety wiem. Powinienem z dnia na dzień zwolnić wszystkich pracowników kancelarii i ministerstw, tylko skąd mam wziąć fachowców?

– Trzeba umieć szukać, zresztą sami się ujawnią. Poza tym paru mógłbym panu polecić..

– Na przykład.

– Mam kontakt z pułkownikiem Ryszardem Kuklinowskim...

– Ale on dostał wyrok śmierci...

– Od władz PRL-u. Jak wielu spośród nas. A słyszał pan o profesorze Rafale Pyzie-Koperczyńskim?

– Nie.

– Nic dziwnego, nie lubi rozgłosu. Jest znakomitym wynalazcą i potentatem w branży ekonomicznej. Na dodatek filantropem i wielkim polskim patriotą. Na dodatek wybitnym ekonomistą, który w wolnych chwilach wyklada na Uniwersytecie Stanford...

– To świetnie. Do tej pory spotykałem z tej branży wyłącznie komuchów i półkomuchów.

– Spróbuję go namówić, żeby pojechał do kraju. Ale skoro mówimy o kadrach, chyba nie w ekonomistach leży najgorszy problem! Najbardziej na pana miejscu obawiałbym się oporu tajnych służb, szefostwa armii zbolszewizowanej do cna, której kadra kształciła się w Moskwie, i zapewne do dziś zachowała rozmaite powiązania.

– Wiem, panie Janie, wiem. Dziś trochę przycichli, patrzą, co zrobimy, i czekają, kiedy powinie mi się noga.

– Oczywiście, wystarczy przecież byle kryzys, prawdziwy lub sztuczny, a przegrupowawszy siły, skoczą pańskiej ekipie do gardła.

– Mówi pan dokładnie to samo co moi doradcy i biedaczyna Małopolski: „Przeszłość należy odkreślić grubą kreską, dać im bogacić się, a samemu przeprowadzać ostrożne reformy”.

– Wcale tego nie mówię. Jestem przekonany, że trzeba wykorzystać koniunkturę, tyle że trzeba wyjątkowego sprytu. Mam też dla pana premiera kilka pomysłów...

– Słucham uważnie.

Od spotkania z papieżem, a jeszcze bardziej ze Starszakiem-Rzeczyślawskim, Lew, co natychmiast zauważył Drzymałko, chociaż mocno zmęczony, tryskał optymizmem. Wyglądał na człowieka, któremu spadł kamień z serca i opaska z oczu.

– Wiem już, co robić, aby się wyrobić! – zwierzył się rzecznikowi, choć szczegółów nie zdradzał.

Na luzie przeprowadził zaplanowane rozmowy, znalazło się wśród nich i robocze śniadanie z premierem Włoch, i wizyta w Kwirynale u prezydenta Republiki, i liczne spotkania w rzymskim parlamencie. Zostawiając meritum ministrom, Szwendala ograniczył się do gładkich i optymistycznych formuł i ścigany fleszami fotoreporterów powrócił do kraju. Ale jakie miał plany? Wszystkich nie znał nikt – Jarosław Indykiewicz poznał zapewne większość z zaplanowanych przedsięwzięć, rzecznik Drzymałko mniejszość, a Wachmistrzowski zgoła nic, i bardzo nad tym bolał.

*

Matka przyśniła się Kasandrze dopiero nad ranem z soboty na niedzielę, kiedy ta śniła o pieścotach w ramionach Kamila. Można powiedzieć, interweniowała w ostatniej chwili. Jej głos brzmiał smutno.

– Nie możesz tego zrobić, córeczko.

– Czego, mamusiu?

– Doskonale wiesz, czego. Kochać się z tym chłopcem. Nieodwracalnie traciłybyśmy kontakt ze sobą.

– My? Ale z jakiego powodu?

– Tak już jest. Rzymianie wiedzieli o tym, stwarzając instytucje westalek.

– Kiedyś i tak to będzie musiało nastąpić. Chyba że wstąpię do klasztoru.

– Daj spokój z klasztorem. Chcę mieć wnuki.

– A więc o co chodzi? Mam czekać na niepokalane poczęcie?

– Chodzi wyłącznie o czas – odparła enigmatycznie Olimpia. – Jesteś teraz bardzo potrzebna. Widzisz to, czego inni nie widzą.

– To prawda, czasami wydaje mi się, że widzę...

– To nie złudzenie. Naprawdę widzisz. I kiedy nadejdzie moment próby, będziesz mogła wykorzystać swój dar.

– Nikt nie słucha ostrzeżeń Kasandry.

– Chyba że zakochany w niej mężczyzna? Wytrzymaj w czystości, póki jest to niezbędne.

– Jak długo? Tydzień, miesiąc?

Cień matki zafalował, tak jakby zamierzał umknąć. Przytrzymała go siłą woli i doczekała się odpowiedzi.

– Myślę, że rok. Tak, rok i tydzień. Jakoś nie zwróciła uwagi, że takie same zdanie podsłuchiwała u dziwnych cudzoziemców. Zwłaszcza że myślała o czymś zupełnie innym.

– Przez ten czas stracę go.

– Jeśli go stracisz, będziesz miała namacalny dowód, że nie był wart twojego uczucia.

– A co będzie po roku?

– Zobaczysz. Pewne sprawy staną się nieodwracalne. A wy będziecie mogli wziąć ślub. Tu sylwetka matki zaczęła się rozmywać, odpływać.

Kassandra miała ogromną ochotę zawołać za nią, że nie ma zamiaru poświęcać swej miłości dla jakichś nieokreślonych celów, że spotka się z Kamilem i będzie, co będzie. Ale nie mogła poruszyć ustami, tak jakby ktoś zalepił je taśmą klejącą...

Równocześnie z głębi sypialni rozległ się delikatny brzęk. Potem mocniejszy i jeszcze mocniejszy. Tak jakby wzywał ją niewidzialny telefon.

Dziewczyna uniosła się na łokciu i w porannej szarówce ze zdumieniem zauważyła, że ciemna powierzchnia lustra faluje. Wstała, spodziewając się zobaczyć tam swoje oblicze. Zamiast tego ukazał się ciemny korytarz. Zatopiła w nim wzrok. Jej oderwana od ciała myśl pobiegła w przestrzeń, zawisła nad Warszawą. Zobaczyła dzwoniącego, siedział na górnym

gzymsie Pałacu Kultury, powyżej galerii widokowej. Był bez melonika, zwiesił kozią bródkę i jakby węsząc, lustrował miasto.

Zorientowała się, że ją widzi.

– Jesteś tam – warknął – czuję cię. Czuję cię, mała podglądaczko. Wiem, że w tej chwili mnie obserwujesz. Wiem, że będzie cię korcić, aby mi przeszkodzić. Daremne żale, próżny trud... Dopadnę cię – zarechotał. – Mogę to zrobić w każdej chwili.

Przerażona przymknęła oczy. I cofnęła się do łóżka.

– Muszę się obudzić. Muszę koniecznie się obudzić!

I obudziła się.

Nad Warszawą noc jeszcze trwała. A ona dygocąc, zastanawiała się, co to wszystko może oznaczać. Na wszelki wypadek zaczęła się modlić.

*

Kiedy do południa Kasandra nie dała znaku życia, a jej telefon nie odpowiadał, zdenerwowany Kamil postanowił odwiedzić ją osobiście.

Jednak zamiast dziewczyny na progu powitał go Wacław Bogucki. Trochę zmieszany.

– Wydawało mi się, że znam swoją córkę – powiedział. – Nigdy dotąd nie robiła takich numerów.

– Takich? Znaczących, jakich?

– Nie zdarzyło się, aby wyjeżdżała gdziekolwiek bez pożegnania. A dziś kiedy obudziłem się, nie było jej w domu. Po prostu wyjechała.

– Może tylko wyszła gdzieś na miasto?

Bogucki pokręcił głową.

– Zabrała ze sobą swój plecak, trochę bielizny, ciepły sweter, kurtkę, a z książek Pismo Święte. No i zostawiła też kartkę – wręczył arkusik z krótkim tekstem. – To jej pismo.

„Musiałam wyjechać do ciotki Imeldy. Pewnie zabawię u niej trochę dłużej. Nie martw się, tato, i przeproś w moim imieniu Kamila. Kocham was wszystkich. Kasandra”.

– Czy to znaczy, że coś się stało? – niepokoił się Kamil.

– Nie widzę powodu do obaw. Kasia jest dziewczyną nad wiek poważną, by uczynić coś nieodpowiedzialnego. Raczej odpowiedziała na prośbę kogoś, kto pewnie potrzebował pomocy.

– A ta Ciotka Imelda?

– Akurat nie przypominam sobie kuzynki o tym imieniu. Chociaż Olimpia miała bardzo liczną rodzinę: trzy siostry, brata, jakieś rodzeństwo przyrodnie... Większość z nich widziałem najwyżej dwa razy, na ślubie i na pogrzebie żony.

– Ale ma pan chyba kontakt?

– Sporadyczny. Z tego, co wiem, niewielu Greków pozostało na Dolnym Śląsku. Najstarsza siostra Helena mieszka w Atenach, Irena w Nowym Jorku. A ta trzecia, Zofia... chyba została zakonnica. Co się tyczy tej Imeldy, nie kojarzę jej, ale jak już mówiłem, to o niczym nie świadczy. Kasia to takie dobre dziecko, nikomu nie odmówi pomocy. Moim zdaniem trzeba nie denerwować się, tylko poczekać aż się odezwie.

Kamil nie podzielał jego optymizmu.

Czuł, że musiało zdarzyć się coś paskudnego. Kasandra obiecała spotkanie, które on już dawno wyśnił, wymarzył i zaplanował, a nie stać było jej na telefon...

– Może nie chciała pana budzić, pociąg do Wrocławia odchodził wcześniej rano – uspokajał go Bogucki. – Jak obiecała, że się odezwie, to proszę spokojnie czekać.

Więc czekał. Tyle że niespokojnie. Nagle cały świat zrobił się okropnie pusty i nawet śledzenie wydarzeń politycznych wraz z imponującą podróżą Szwendąły do Włoch przestało go fascynować. Nawet nie miał się komu zwierzyć. Felgiewicz prawdopodobnie by go wyśmiał, a dziadka wolał nie denerwować ze względu na jego serce. A Lucyna? Od chwili poznania Kasandry myśl o pójściu do łóżka z platynową koleżanką po prostu nie wchodziła w grę. W sumie dobrze się stało, że w poniedziałek zadzwonił jego promotor profesor Porankiewicz i zaprosił Kamila do siebie.

Po całodobowym rozpamiętywaniu tajemniczego wyjazdu Kasi była to dobra odmiana.

Kolejką podmiejską pojechał do Falenicy, gdzie znajdowała się kolonia profesorska. Porankiewicz starszy od Barczewskiego ledwie lat dwadzieścia nosił patriarchalną brodę i mówił tubalnym głosem, niekiedy zacinając się, choć owe zacinięcie nie miało wiele wspólnego z charakterystycznym jękaniami Pysznika.

Profesor interesował się stanem jego pracy magisterskiej. Kamil lekko zakłopotany wyznał, że nie poświęcał jej wiele czasu, bo od początku kampanii wyborczej, kiedy biegał z ulotkami kandydatów „Solidności”, nie miał głowy do ślęczenia w starych gazetach. Ku zaskoczeniu Porankiewicz nawet go nie zbeształ.

– Bardzo dobrze się stało – powiedział. – O zjednoczeniu ruchu robotniczego w Polsce niespecjalnie da się dużo wymyślić, a dokumenty politbiura i X Departamentu nieprędko trafią do rąk naukowców. Jeśli jednak na dobre nie zaczęłaś, można by pomyśleć o zmianie

tematu... Co byś powiedział o takim pomysł: „Opozycja antyustrojowa w Polsce w latach 60– i 70-tych”? Temat dziewiczy, fascynujący, kontrowersyjny... Choć chłopaki z kręgu twojej gazety już ostrzą zęby, aby w całości go zawłaszczyć.

– Temat mi się podoba, tylko trudno będzie go ruszyć bez dostępu do archiwaliów.

– Na początek możesz rozmawiać ze świadkami epoki, członkami Klubu Kanciastego Koła, kombatantami Marca, weteranami „Prądu”, działaczami trzech głównych nurtów opozycyjnych przed Sierpniem... Trzeba szybko rozmawiać z ludźmi dysponującymi wiedzą, bo później okazuje się, że życie człowieka jest bardzo krótkie... A co do archiwaliów. Rozmawiałem z Heniem Atlasowiczem. Jako minister edukacji jest również zwierzchnikiem archiwów państwowych... Jeszcze nie teraz, ale za parę miesięcy, kiedy nowa władza się umocni... być może dostaniesz się do zakazanego królestwa.

– Myśli pan, że się umocni?

– W każdej sprawie są dwie szkoły, „falenicka” i „otwocka” – jedna twierdzi, że wszystko się zmieni, druga – że nic.

– A pan do której z nich należy?

– Ja chociaż mieszkam w Falenicy, sądzę, że prawda leży w Świdrze.

– Czyli pośrodku.

– Powiedzmy... Zmieni się bardzo wiele, chociaż nie jesteśmy w stanie przewidzieć, co.

– Naprawdę?

– Niestety. Życie, mówiąc matematycznie, niesie zbyt wielką ilość zmiennych, żeby móc analizować je w sposób naukowy. Wydaje ci się, że uwzględniasz wszystkie czynniki – trendy ekonomiczne, stereotypy kulturowe, porządek polityczny. A tu trach, porządek polityczny może wyrzucić jeden głupi zamach, nieplanowany wynalazek może sprawić, że dawne reguły gospodarcze staną na głowie, a jakaś moda, trend czy szaleństwo odmie – nią poglądy ludzi. Czy ktoś przewidywał upadek trzech cesarstw w wyniku Wielkiej Wojny, kiedy po strzałach w Sarajewie świat popadał w wojenną euforię?

– Józef Piłsudski.

– Udało mu się. Podobnie jak Winstonowi Churchillowi, który od początku zdawał sobie sprawę z ogromu komunistycznego zagrożenia. Ale nawet pobieżny rzut oka w przeszłość pokazuje, że dzieje to suma nieprzewidywalnych zaskoczeń. Nie przewidziano wagi bolszewickiego przewrotu ani skutków przejścia władzy w Niemczech przez Hitlera. Przegapiono rewolucję młodzieżową, źle oceniono skutki dekolonizacji Afryki, świat zdumiał fenomen polskiej „Solidności”. Do dziś, jestem przekonany, amerykańscy analitycy nie mają scenariuszy na wypadek rozpadu imperium sowieckiego.

– Rozpadu? Co pan mówi.

– Dawnego imperium już teraz nie ma. Demoludy są praktycznie stracone, nie wiem tylko, czy zajmie to rok, czy dwa. Potem przyjdzie czas na Pribałtykę, Zakaukazie, islamską Azję Środkową... Oczywiście za jakiś czas Rosja odrodzi się jako nacjonalistyczne państwo, będzie zapewne usiłowała odbudować dawną pozycję, ale „obóz pokoju i socjalizmu”, jaki znamy, właśnie przechodzi do lamusa – patrząc na zaskoczone oblicze Barczewskiego, dodał jeszcze: – Możesz zanotować, co powiedziałem, i postawić dzisiejszą datę – tu wstał i podszedł do wiszącej na ścianie mapy świata, w której kraje socjalistyczne cechowały różne odmiany czerwieni i różu. – Właściwie należałoby tę mapę namalować na nowo. Za dwadzieścia czy trzydzieści lat będą się liczyły – zaczął wskazywać ręką – słabnące Stany, wschodzące Chiny, aspirujące do roli globalnej potęgi Indie i nieobliczalny świat islamu.

– Afryka i Ameryka Łacińska?

– Staną się polem rywalizacji wspomnianych głównych mocarstw.

– Brakuje mi tu miejsca dla Rosji i starych państw europejskich.

– Europa? Albo się zjednoczy, i to cała, albo stanie się zbiorem skansenów odwiedzanych przez turystów z reszty świata bez jakiegokolwiek wpływu politycznego.

– A my?

– Zapewne zostaniemy jej znaczącym pełnoprawnym członkiem i jakąś szansą przed kompletnym strupieszeniem. Widzę, że ciągle patrzysz na Rosję. Tak, to wielka niewiadoma. Badaniu jej historii, krwawych czystek i konwulsyjnych paroksyzmów poświęciłem większość mego życia. Dziś wiem, że nic nie wiem. Zapewne ma przed sobą dwie drogi. Okcydentalną, demokratyczną – co przyniesie zagładę tradycyjnej „duszy rosyjskiej” wraz z wielkoruskim szowinizmem, albo orientalną autorytarną, zakończoną utratą większości terytoriów wschodnich, z państwowością ograniczoną do zachodnich guberni, których zakres suwerenności będzie wyznaczany przez jarłyk „żółtego hegemonu”... – tu przerwał i widząc, jak Kamil słucha jego prorocstwa z szeroko rozwartymi ustami, roześmiał się i odszedł od mapy. – Zdaje się, że pomyliłem rolę promotora z funkcją proroka. Ale dość tego filozofowania. Na zachętę do nowych naukowych zadań dostaniesz ode mnie kieliszek domowej nalewki, a w zamian opowiesz mi kilka najnowszych kawałów, jakie krążą po Warszawie.

V

Cisza przed burzą

Jeśli ktoś spodziewał się, że nazajutrz po powołaniu rządu Szwendąły i jego powrocie do kraju z papieskim błogosławieństwem historia ruszy z kopyta, bardzo się pomylił. Owszem, już po tygodniu pierwsze jaskółki zmian zagościły na ekranie telewizji, a trzpiotka aktoreczka przy pierwszej okazji wypaliła podczas wywiadu, że „4 czerwca skończył się w Polsce komunizm”. Wyświetlano zabronione do niedawna filmy z osławionym Jamesem Bondem i nie mniej wrogą moralności komunistycznej „Emmanuelle”, a większość studiów zaczęła się otwierać przed nowymi formami debaty i publicystyki.

Oczywiście najszybciej dorywali się do głosu naprędce przefarbowani wyjadacze wszelkich odnów, pocziwe oszołomy przepojone misją, gotowe gadać na każdy temat, dawno zaprogramowani, choć nieco pogubieni tajni współpracownicy oraz wszelkiej maści polityczni ekshibicjoniści. Nastął czas niekończących się dyskusji, debat i sporów, co w dużym stopniu miało zastępować realne zmiany. Tych było ciągle niewiele.

Profesor Leszek Walutowicz pracował nad planem reform, na których temat rozchodziły się sprzeczne opowieści choć przewrócenie kapitalizmu było najmniej prawdopodobną wersją, a związki zawodowe prześcigały się w licytacji żądań dotyczących płac i indeksacji. Za to jakoś nie słyhać było o rewolucyjnych zmianach kadrowych. Inna sprawa, że samorzutna dekompozycja dotychczasowego układu postępowała dalej. Oddolnie. Trudno o lepszy znak czasu niż uchwała kierownictwa cenzury domagającą się swego rozwiązania.

Dla towarzyszki Amelii Barczewskiej nastął czas koszmaru na jawie. Od zawsze do przywódców partii i rządu miała nieomal coś, co można nazwać seksualnym nastawieniem. Już jako nastolatka czuła magiczny pociąg do przypominającego tłustą gąsienicę wąsika towarzysza Bolesława Bieruta. Władysław Gomułka oglądany w telewizorze emanował w jej odczuciu wręcz ojcowskim ciepłem, nawet wówczas, gdy nawoływał, aby karać warcholów i wichrzycieli. Nigdy nie przyznała się, że Ryszard Barczewski poderwał ją tylko dlatego, że miał identyczny seksowny język jak Edward Gierek. Choć gdy się poznawali, Gierek był dopiero dynamicznym sekretarzem śląskiej organizacji partyjnej. Jednak już wówczas robił na pannie Richter wrażenie swą stanowczością, rolą dobrego gospodarza i umiłowaniem porządku. A porządek Amelia ceniła sobie od najmłodszych lat. Nie pamiętała tylko, czy

zawdzięczała to zakonnicom, które zajęły się żydowskim niemowlęciem przerzuconym przez mur getta, temu, że ją ochrzciły i usiłowały bez powodzenia uczynić katoliczką, czy światłym wychowawcom z zakładu opiekuńczego prowadzonego przez TPD, który przejął opiekę nad sześćioletnią dziewczynką w miejsce zakonnicy wyrzuconych na śmietnik historii.

Lubiła jednoznaczne formuły, między innymi dlatego podobała jej się jasna jak konstrukcja cepa filozofia marksistowska, a wierność partii dawała jej stałe poczucie bezpieczeństwa. I dlatego, nie ma co ukrywać, mimo że już miała swoje lata i nie była skłonna podniecać się byle czym, fascynowała ją prosta niczym struna sylwetka generała Karuzelskiego. Bardzo też pragnęła wniknąć w jego oczy ukryte zazwyczaj za ciemnymi szklami, choć w czasie spotkań w redakcji widywała go także bez szkieł. Zawsze szarmancko całował ją w rękę i pamiętał jej imię.

W pierwszych dniach powstawania „Solidności” czuła się trochę zagubiona, i kto wie, gdyby pracowała w innej redakcji, mogłoby ją zmieść na bezdroża anarcho-syndykalizmu, co przydarzyło się wielu kolegom z „Boliwtyki”. Na szczęście w „Sołdacie swobody” panowała atmosfera wojskowego obozu niepozwalająca na rozłazenie się po bokach i inteligentką miękkość. Zresztą kiedy po Stanisławie Muchomorze ster partii przejął towarzysz generał, jakiegokolwiek wahania zanikły.

O kłopotach z mężem ekstremistą postanowiła szybko zapomnieć, i zapomniała.

Kiedy przyjeżdżał z pielgrzymkami papież, nie włączała telewizora. Przestała się spotykać ze swoimi koleżankami ze szkoły średniej i uniwerku, które popadły w dewocyjno-patriotyczną histerię, kocząc w kościelnej kruchcie lub roznosząc ulotki. Mimo to dało się egzystować. Choć wkrótce zaczęło to być życie na huśtawce.

Spore zaniepokojenie przyniósł schyłek lata 1988, nowe strajki zda się spacyfikowanych proletariuszy i nieoczekiwane spotkania generała Kiszonki z „prywatnym obywatelem” Lwem Szwendalą. Uspokoiła ją jednak wypowiedź premiera Mieczysława Krabika o tym, że ważniejszy od stołu graniastego będzie suto zastawiony. Starła się nie zastanawiać, skąd taka zastawa miałaby się wziąć.

Miała nadzieję, że matka partia wykonuje kolejny ruch mający na celu wyrolowanie buntowniczej garstki czekała, kiedy nastąpi po raz kolejny normalizacja. Tym razem jednak szło coraz gorzej. Telewizyjny pojedynek Szwendala – Słodzik wygrał nielegalny przewodniczący nieistniejącego związku, a towarzysz Fredzio dał się wypunktować jak amator. A potem przestała cokolwiek rozumieć – Karuzelski z Kiszonką i generałem Łysickim, grożąc dymisjami, wymusili na partii zgodę na rozmowy przy Graniastym Stole.

Następnie na tymże stole, a być może pod nim, ofiarowali opozycji więcej, niż ta chciała prosić. Wreszcie zorganizowali wybory tylko po to, żeby je przegrać.

Jak to było możliwe? Od studiów kołatała jej w głowie formuła: „Ten wygrywa wybory, kto je organizuje”. W takim razie, co tu się stało?

Co gorsza, koszmar trwał. Z jakiego powodu nie skorzystano z doświadczeń towarzyszy chińskich, którzy tego samego dnia 4 czerwca na Placu Niebiańskiego Spokoju pokazali, jak proletariatus może dostać w dupę od dyktatury proletariatus. Zlekceważono pełen troski głos komunistów rumuńskich oferujących bratnią pomoc...? Czyżby chodziło o wciągnięcie wroga w aż tak głęboko zastawioną pułapkę?

Nadzieje, że wszystko się uspokoi, cofnie, że generał prezydent odwróci bieg wydarzeń, a dopilnują tego ministrowie Kiszonka i Łysicki, trzymając Małopolskiego za uszy i kieszenie, runęły z łomotem większym niż ten wywołany przez upadek Małopolskiego z mównicy.

– Koniec świata! – powiedziała sobie Amelia Barczewska, pierwszy raz w życiu żałując, że komuniści nie mają swoich świętych od spraw beznadziejnych, do których mogliby się przynajmniej pomodlić.

Co gorsza, planowany przez towarzyszy odwrót na z góry upatrzone pozycje z dnia na dzień zmieniał się w coraz bardziej bezładną ucieczkę.

Ekstrema pędziła partię z zakładów pracy, brakowało też politycznego centrum zdecydowanie wydającego polecenia, jakim zawsze był komitet centralny. Pod bokiem Krabika, który został pierwszym sekretarzem, wyrastały jakieś ruchy „8 lipca” czy „4 sierpnia”. Partyjny dziennik „Ambona Ludu” stracił charakter busoli – jednego dnia pisała ofensywne teksty o dynamicznym działaczu z Żyrardowa Leszku Killerze, drugiego dnia pozwalała sobie na publikację w tonie oportunistycznego rewizjonizmu, tym sposobem prezentując się jako organ w stanie zwisu. Zwołano wprawdzie zjazd partii który mógłby co nieco uporządkować, ale dopiero na koniec stycznia. Kto mógł przewidzieć, co wydarzy się do tego czasu?

Nic dziwnego, że kiedy na łamach „Soldata Swobody” ukazał się artykuł o zbrodni pod Smoleńskiem oskarżający o ten czyn kierownictwo Związku Radzieckiego i doniosło o tym radio w porannym przeglądzie prasy, pani Amelia przeżywająca akurat alkoholową trzydniówkę zaczęła krzyczeć i tłuc talerze.

– A mama myślała do tej pory, że zrobili to Niemcy? – pozwolił sobie na ironię Kamil.

– Oczywiście! – wrzasnęła Amelia, szukając w szafce zachomikowanej butelki.

– Tego mamusia poszukuje? – zakręcił w ręku flaszką. A potem przechylił ją i wylał całą zawartość do zlewu.

Temat picia podobnie jak rozmowy na tematy polityczne jak dotąd w domu Barczewskich obarczone były tabu. Amelia przyznawała się do popijania, ale gwałtownie protestowała, gdy ktokolwiek usiłował ją nazywać alkoholiczką. Kamil uznał, że trzeba z tym skończyć. Z upojeniem oraz ideologicznym zac zadaniem.

Naraz wszystkie nauki dziadka, wszystkie argumenty poznane w trakcie zajęć na uniwersytecie uformowały się w szyki, które ruszyły z jego ust niczym żołnierze wrześnie maszerujący czwórkami. I walił ją tymi argumentami, nie dając dojść do słowa. Przytaczał cyfry, konkrety, chodząc wokół stołu. Amelia, która z każdym zdaniem kurczyła się coraz bardziej, za kolejnym okrążeniem opadła całkiem z sił, i posuwała się za nim na czworakach, zebrząc o gram alkoholu. Nie dał jej. Wylał kolejną butelkę. Zadzwoił po lekarza.

*

Zaczął się październik, a Szwendala nadal zachowywał się jak Sfinks. Nie wspominało się o żadnym przyspieszeniu, chociaż najbliżsi wiedzieli, że coś się szykuje. Na prywatnych spotkaniach premier przyjmował dziwnych ludzi – to przegadał całą noc ze znanym felietonistą Stefanem Budyniowskim zwanym „Budyniem”, to znów zaprosił do siebie kilku przybyłych z Ameryki profesorów na czele z Rafałem Szewczykiem i radził z nimi zawzięcie. W rozmowach ekonomicznych brał przeważnie udział Jan Krzysztof Czerniak – libertyn z Gdańska. Jak często – trudno ustalić. Obserwatorzy kancelarii premiera mylili go ze względu na brodę i wzrost z rzecznikiem Drzymałko.

– Szwendala potrzebuje specjalisty od makroekonomii. Kogoś, kto ogarnia całość spraw państwa z lotu ptaka – ironizował Pysznik. – Ale co z tym wspólnego ma Jan Krzysztof Czerniak?

– Jak to co, wespół z innymi libertynami zajmował się malowaniem kominów. I radził sobie z tym znakomicie.

Częstym gościem w warszawskim mieszkaniu Szwendaly był poseł z Krakowa Piotr Magda Boruta, szef komisji powołanej do wyjaśnienia zbrodni stanu obłączenia. Za każdym razem przychodził z naręczem papierzyk. Co zawierały? Przeszłość czy przyszłość? Pytany o cel swoich pielgrzymek do premiera odpowiadał tajemniczo: „Kadry decydują o wszystkim”.

I coś w tym było. Drzymałko wiedział, że na stary personel URM-u nie ma co liczyć. Nawet odcinając telefony łączące kancelarie premiera z rosyjską ambasadą wygrzebując liczne pluskwy podsłuchowe ze ścian i podłóg, byli zdani na ekipy dawnej Służby Bezpieczeństwa. I nawet trudno się dziwić, że ludzie Kiszonki z departamentu techniki dobrze przyłożyli się do roboty – likwidując jedne podsłuchy, nałożyli aparaty nowszej generacji. Nie na długo.

Po jakiejś kolacji w ambasadzie izraelskiej Drzymałko dłuższą chwilę rozmawiał z ambasadorem Izraela. Ten słuchał uważnie i ze zrozumieniem kiwał głową. Efekt nastąpił w połowie miesiąca. Pewnego październikowego dnia Szwendala jednym ruchem wymienił wszystkie swoje sekretarki, ochroniarzy i personel łącznie ze sprzątaczkami – wprowadzając kilkunastu ludzi z Gdańska, Krakowa i Warszawy niezwiązanych w żaden sposób z poprzednim reżimem. Przy okazji miał serdeczny zamiar rozstać się z Wachmistrzowskim, ale ten w ostatnim momencie, tak jakby też się do tego przygotowywał, dostarczył „wodzowi” bogate *dossier* na temat ludzi, których ten miał zamiar zatrudnić.

Kilku z nich było podejrzanych o kontakty ze Służbą Bezpieczeństwa. Szwendala podziękował Mietkowi i wykreślił go z listy do zwolnienia. Wraz z sekretarkami wymieniono też tapety i dywany. Zajęła się tym firma zagraniczna kierowana przez osobistego kuzyna szefa Mosadu. Od tego dnia Szwendala mógł mieć pewność, że jeśli nawet jest podsłuchiwany, to już wyłącznie przez Tel Awiw.

Poza jednak taką kosmetyką polityczną nadal czekał z poważniejszymi posunięciami. Zarówno intuicja, jak i rozmowa z papieżem przekonywały go, że zbliża się wielkie tąpnięcie w skali międzynarodowej. Grając na zwłokę, zachowywał się w sposób, który tu i ówdzie zaczęto krytykować. Kurtuazyjne spotkanie z Karuzelem. Kolacyjki z ambasadorem Sromotnikowem. Spacerzy za miastem z Mieczysławem Krabikiem. Wywiady dla „Boliwtyki” czy „Ambony Ludu” i sympatyczne przekomarzanki z Adasiem Pyszniakiem dowodziły, że nic dramatycznego się nie dzieje i dzieć się nie będzie. „Wpasowuje się w układ” – burczeli starzy towarzysze z WZZ-tu na czele z towarzyszem Krzyszkowskim.

„Czerwoni ciągną sznurki TW »Ciulka«” – protestowała była suwnicowa Anna Makuszyńska.

Na drobne prztyczki pod adresem premiera pozwalał sobie nawet Piotr Bazicki w „Tygodniku Solidność”. Choć on jako jeden z nielicznych wiedział, dokąd ten okręt zmierza. Prztyczki odgrywały więc rolę maskującą.

A Małopolski nadal spał w klinice rządowej bez kontaktu z rzeczywistością.

*

Przez dwa tygodnie Kamil daremnie oczekiwał na list od Kasi. Zajęty pracą odmawiał zaproszeń na prywatki u Andrzeja, choć wedle ocen wspólnych znajomych robiły się coraz bardziej interesujące, a miejsce studentek ASP zajęły początkujące redaktorki radia czy wolontariuszki pchające się drzwiami i oknami do telewizji. Jakoś nie korciły go łatwe przygody, a jego niepokój o Kasandrę rósł. Owszem, już po paru dniach dostał podobnie jak pan Mateusz pocztówkę z widokiem Bolkowa (stempel na znaczku pochodził z Nysy), ale z tekstu: „Bądź cierpliwy” naprawdę niewiele można było wywnioskować.

Cierpliwość zakochanego młodzieńca skończyła się z początkiem października. W niedzielę 1-go zadzwonił do domu Boguckich. Kasandry nadal nie było. Nie zjawiała się na inauguracji roku 1 października ani na zajęciach 2-go.

Ani uczelnia, ani ojciec nie mieli od niej żadnego kontaktu. A przynajmniej tak twierdzili.

W ogóle w całej tej sprawie pan Mateusz zachowywał się dość dziwnie. Normalnie ojciec po zaginięciu najstarszej córki poruszyłby ziemię i niebo. A on...? Może po prostu wiedział, gdzie się znajduje, tylko nie chciał zdradzić tego Barczewskiemu. Pytany o grecką rodzinę twierdził, że nie dysponuje żadnym numerem telefonu, ponieważ notatnik zabrała jego córka ze sobą, i wyraźnie próbował splawić Kamila.

Ten korzystając, że matka po szpitalnym odtruciu trafiła do sanatorium, wziął jej samochód. Pojechał do Rychłowa, rodzinnego miasteczka Kasandry.

Okazało się, że w okolicy pozostało bardzo niewiele Greków i to głównie dość starych. Potwierdziło się też, że dwie siostry Olimpii wyjechały za granicę, brat lekarz pracował w Libii, a starsi członkowie rodziny już nie żyli.

Nikt nie słyszał o żadnej Imeldzie. Od miejscowego księdza dowiedział się, że Zofia przed laty wstąpiła do klasztoru, ale jakiego, nie miał pojęcia.

- To było, kiedy proboszczem był ojciec Mikołaj.
- Mógłbym z nim porozmawiać.
- Niestety nie żyje.

Co gorsza, nikt nie przypominał sobie, żeby Kasandra odwiedzała ostatnio rodzinne miasteczko.

- Gdyby tu była, na pewno by do mnie wpadła – twierdziła córka aptekarza.

Nie poddawał się, pytał w hotelach, restauracjach. Trafił na miejscową komendę i do szpitala. Tam przeważnie spotykał się z formułą:

- A pan w jakim charakterze występuje?
- Narzeczonego.
- Narzeczoną informacji się nie udziela.

Próbował inaczej, stawiał flaszkę szatniarzom i sanitariuszom, zaprzyjaźnił się z posterunkowym. Ten sam efekt. To znaczy – brak efektu. Nikt od co najmniej roku nie widział w okolicy Kasandry Boguckiej.

Jedyne, co uzyskał, to adres obu ciotek Kasi. Napisał do nich uprzejme listy, pytając o ostatni kontakt z Kasandrą, a także o zamiary na ciotkę Zofię i tajemniczą ciotkę Imelę.

To zrobiwszy, mógł już jedynie czekać.

*

W drugiej połowie października życie polityczne znów nabrało przyspieszenia. 18 października w Berlinie ustąpił towarzysz Erich, wieloletni dyktator Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Sam nie wiedział dlaczego to robi. Jeszcze 6 października wydawało mu się, że jest silny tak jak nigdy. Obchody 40-lecia DDR-u odbywały się z prawdziwie bizantyjskim przepychem. Toteż puścił między uszami ostrzeżenia Michaiła Korbaczowa, że wśród gorączkowych zmian na świecie żaden kraj nie może pozostać niezmienny i obojętny wobec problemów, z którymi borykają się jego obywatele. – Socjalizm jest u nas niewzruszony – odpowiadał „krwawy Erich”, w którego aktach mnóstwo było ptaszków oznaczających kolejne ofiary zastrzelone w czasie nielegalnego przekraczania muru berlińskiego.

– Należy wyjść naprzeciw potrzebom społeczeństwa, zanim będzie za późno – ostrzegł go na krótko przed swym odlotem sowiecki sekretarz generalny.

I towarzysz Erich wyszedł, wysyłając naprzeciw nielicznym garstkom warcholów i wichrzycieli zmotoryzowane odwody ludowej milicji. W Berlinie, w Lipsku, Dreźnie.

Odnosił sukces. Ciekawe jednak, że w parę dni potem ustąpił. Czy miał w tym jakiś udział młody oficer z KGB o ruchach karateki, który nocą przeniknął do silnie strzeżonej rezydencji pierwszego sekretarza i złożył mu propozycję nie do odrzucenia? A może w przekonaniu starego komunisty dopomógł towarzyszący czekaście mężczyzna w meloniku, którego nie zarejestrowała żadna kamera.

Niedługo później, 23 października w obecności Szweni, przewodniczący Zgromadzenia Narodowego Węgier proklamował z balkonu parlamentu w Budapeszcie odrodzenie Republiki Węgier, państwa demokratycznego i suwerennego.

– A kiedy zrobi to Polska? – dziennikarze dopadli Lwa Szwendagę, kiedy opuszczał gamach węgierskiego parlamentu. – Chcecie utracić wiodącą rolę w awangardzie przemian?

– Zaraz, zaraz, nie wszystko naraz! – odparł polski premier.

*

Nigdy chyba nie było większego ruchu między Moskwą a Warszawą. I nigdy ruch ten nie był bardziej spluralizowany. Latał do Warszawy minister spraw zagranicznych Rosji, budzący sporo sympatii Gruzin Eduard Nieporadze, któremu wybaczano nawet szczypanie stewardes. Kursował do Moskwy pełen staromodnego wdzięku jego polski odpowiednik Krzysztof Szczypaczewski, który jednak wolał szczypać stewardów.

Latali też przedstawiciele wszystkich rywalizujących skrzydeł partyjnych – Krabik, Słodzik, Killer czy Goryczko. Jastrzębie i gołębie, beton i ptasie mleczko. I każdy słyszał coś miłego. Jednym mówiono: „Trzymajcie się. Nie damy wam zginąć”. Innym: „Byle do wiosny!” Jeszcze innym: „Korbi wnet się otorbi”.

Najciekawsze, że tajne służby mniej myślały o jakichkolwiek prowokacjach, a więcej o wielkiej grabieży socjalistycznego majątku.

Na tajnych szkoleniach aktywu SB i WSI profesorowie z dyplomem zdobytym dzięki fundacji Cartwrighta wpajali specjalistom od rozganiania tłumów i zrywania paznokci podstawowe informacje na temat giełdy, prawa gospodarczego i kodeksu handlowego.

– Podstawowa różnica między kapitalizmem a socjalizmem jest taka, że w kapitalizmie kto ma pieniądze, ten ma władzę, a w socjalizmie ten kto ma władzę...

– Ma pieniądze! – wyrwał się jeden z zasłużonych pracowników, który już wkrótce stać się miał pionierem wolnych mediów.

– Głupiś! – zgromił go prelegent. – W socjalizmie sama władza musiała wystarczyć.

Oczywiście nie wszystko można było załatwić przy pomocy skostniałych aparatczyków. Pewnego dnia w pewnej z podwarszawskich osad miejscowy szef SB zwołał zbieraninę mętów, paserów, cinkciarzy i chuliganów, i wręczywszy każdemu pół litra, zagaił:

– Koledzy współpracownicy, wkraczamy w nowy etap z prymitywną dość łobuzerką. Musimy iść z duchem czasu.

– Czyli co? – zapytał bandzior o ksywce „Baba”, który rozpoczął swą karierę, rozwóżąc węgiel.

– Ano to, co jest nieodłącznym składnikiem kapitalizmu. Musimy założyć mafię.

– Ale jak? My zwykłe wory.

– Zrobimy wam szkolenia, dostaniecie samouczki.

– A nie można by tak na jaki kurs do USA albo choćby na Sycylię – wyrwało się jednemu z przyszłych gangsterów.

– Nie bądźcie taki „Tomahawk”, jak się dorobicie, to sami tam pojedziecie.

Zapewne jak kraj długi i szeroki, podobnych rozmów było wiele, a na pierwsze efekty nie trzeba było długo czekać.

Najciekawsze, iż na Zachodzie nikt właściwie nie rozumiał, co tak naprawdę dzieje się w demoludach. A im kto większym był fachowcem, tym wiedział mniej. Profesor Zbigniew Olszyna, największy amerykański specjalista od geopolityki i doradca kilku prezydentów USA, twierdził wręcz, że to, co się dzieje, nie może mieć miejsca, ponieważ przeczy jego wieloletnim prognozom. Z kolei wybitni ekonomiści zgodnie podkreślali, że próba zrobienia z socjalizmu na powrót kapitalizmu jest równie niemożliwa jak odzyskanie z jajecznicy jajka, z którego wykluje się pisklą. Nawet prezydent George Plush nie mógł uwierzyć, że bez jednego wystrzału wygrywa właśnie zimną wojnę, którą tyłu z jego poprzedników gotowych było poddać. Do wyjątków należał Szwendała, który na początku listopada rozprawiając z niemieckim ministrem spraw zagranicznych Hansem Dietrichem Gonschorkiem, zaczął snuć prognozy na temat możliwego upadku muru berlińskiego.

– Nie za naszego życia, nie za naszego życia! – wzdychał pesymistycznie Gonschorek.

– A ja bym mu dał góra tydzień – rzucił w proroczym natchnieniu Szwendała.

*

Wśród niewielu innowacji wprowadzonych przez premiera w budynku Urzędu Rady Ministrów było wykrojenie w podziemiach miejsca na niedużą kaplicę. Tradycją się stało rozpoczynanie przez Szwendałę każdego dnia krótką mszą odprawioną przez ściągniętego z Gdańska księdza Franciszka Szczypiórę. Premier twierdził, że przed dniem ciężkiej pracy potrzebny jest mu czas na skupienie. Czasami w nabożeństwie towarzyszyli mu niektórzy członkowie gabinetu, choć generał Kiszonka zaglądał tu nader rzadko i nigdy nie przystępował do komunii.

Drugą modyfikacją było zorganizowanie w pobliskim pomieszczeniu z inicjatywy Wachmistrzowskiego salonu biologicznej odnowy, w którym centralne miejsce zajmował stół do ping-ponga. Nawet w godzinach pracy Lew lubi wyrwać się na kwadransik relaksu, jako że nawykły do pracy fizycznej zdecydowanie bardziej męczył się przy umysłowej. Piętnaście minut znęcania się nad celuloidową piłeczką robiło mu bardzo dobrze.

Owego dnia, zaraz po święcie zmarłych w kaplicy znajdował się sam Mietek. Siedział przy fisharmonii, na której zazwyczaj akompaniował do mszy. Była to jedna z wielu niespodziewanych umiejętności, jakie przyswoił w trakcie swego burzliwego życia. Tym razem jednak będąc sam, zamiast grać „Kiedy ranne wstają zorze”, próbował swych zdolności wirtuozowskich w ragtimeach Scotta Joplina.

– Na mój gust to zakrawa na profanację – powiedział nagle, wychodząc ze ściany tajemniczy cudzoziemiec. Dziś nosił jeszcze inną twarz, którą bywalcy rautów w ambasadzie sowieckiej znali jako oblicze sympatycznego biznesmena i bankietowicza Saszy Gałganowa.

Każdy chwali Pana Boga, jak umie – odciął się Wachmistrzowski. W kaplicy jego strach wobec cudzoziemca był wyraźnie mniejszy.

Faktycznie przybysz czuł się niepewnie zwłaszcza ze względu na światełko palące się przed Najświętszym Sakramentem. Ale na to szybko zaradził. Znikąd w jego rękę pojawił się ulubiony melonik, który ciśnięty przed siebie zawisł w powietrzu, tak że zasłonił światełko, odcinając potencjalny strumień pozytywnej energii od obu rozmówców.

– Nie jesteśmy z was zadowoleni, Mieczysław – powiedział, zaciągając z ruska. – Niedługo miną dwa miesiące tego premierowania, a nasze możliwości oddziaływania wobec twego pryncypała nie zwiększyły się nawet o włos.

– A co ja mogę – wybuchnął Wachmistrzowski. – Jestem tylko kierowcą.

– I przyjacielem. Nawiasem mówiąc, Szwendala powinien cię awansować przynajmniej na doradcę.

– Ale nie chce. Obiecuje i nic nie robi. Odsyła mnie do Pulla, ten do Cyrkla, ów do „Indyka”. I kółko się zamyka.

– Doskonale wiecie, jakie mamy możliwości oddziaływania. „Korek, worek i rozporek...”

– Znam to abecadło. Sęk w tym, że Lew nigdy specjalnie nie gorzałkował, a ostatnio w ogóle przestał pić. Co do kasy, zajmuje się nią osobiście Pull.

– Ale przecież wiadomo, jakie wielkie są potrzeby. Żona, dorastający synowie, chciwa rodzina i powinowaci...

– Doskonale wiem, jaki „wódz” miał ciąg na szmalec. Ale ostatnio zrobił się sprytny. Nie dalej jak wczoraj przyszedłem z kilkoma propozycjami sponsorskimi, wszystko z rączki do rączki, bez świadków – to pogonił mnie do diabła... Przepraszam!

– Drobiazg. Takie sformułowania mi nie uwłaczają. Pozostaje trzecia opcja. Znasz Lilkę?

Naraz ściana kaplicy zmieniła się w ekran ciekłokrystaliczny, jaki w masowej produkcji miał pojawić się dopiero za kilkanaście lat, a na nim Mietek ujrzał bóstwo kroczące Nowym

Światem. Była to szatyneczka, lat najwyżej osiemnaście, szczupła, smągła i tak seksowna, że można by od niej zapalić ognisko harcerskie.

– Kto to jest? Kandydatka na miss Polonia?

– Moja kuzynka. Lilka Piekiełkiewicz. Biedactwo właśnie przyjechało z prowincji i szuka pracy.

– Umie coś?

– Wszystko, od mycia samochodu biustem po służenie trzem facetom naraz...

– Myślałem o przydatności w tym miejscu.

– Aha. No cóż dysponuje biegłą znajomością czterech języków nowożytnych, perfekcyjnie obsługuje komputer i ma 180 punktów IQ. Starczy?

– Ale studiów ukończonych nie ma?

– W wieku 18 lat? Ale jak trzeba, będzie miała.

Dziewczyna przeszła koło gmachu KC, wiatr zawiał, obraz zafalował. Obserwowana ślicznotka miała teraz co najmniej 25 lat, duże okulary i ostrą szminkę na wargach. Pod pachą miała wąską aktówkę, a na nogach szykowne pantofelki. – Wolisz taką? A może taką? – pstryknął palcami. – Wzorzec gminny dla użytku wewnątrzposelskiego – dziewczyna przemieniła się w utlenioną blondynę obfitych kształtów.

– A to co za bladź?

– Zamierzaliśmy wprowadzić ją do akcji w przyszłym roku. Fałszywa dziennikarka, która będzie się podawać za arystokratkę Anastazję Romanow.

– Anastazję Romanow? Córkę cara? Przecież tamta miałaby dziś 90 lat!!!

– Raszyńską. Z tych Raszyńskich od biblioteki w Chlewiku!

– Mnie osobiście podoba się model drugi. Mówi pan, że zna się na komputerach.

– Jak sam Bill Cakes! A w dodatku przyda się ze względu na korzonki pańskiego szefa. Oprócz innych zalet jest również dyplomowaną masażystką. Jeśli wyjdiesz teraz z budynku i pójdziesz naprzeciw, to powinniście spotkać się na wysokości ambasady amerykańskiej. Lilith... Chciałem rzec, Lilka, nie odmówi waszej propozycji. Ani nawet jeździe próbnej. Ma niekrępującą garsonierę na Wilczej. Niedaleko komisariatu.

VI

Gończy listopad

„Listopad, niebezpieczna dla Polaków pora” – stwierdził poeta. Ale czy poeci zawsze i na każdy temat muszą mieć rację? Mickiewicz był znakomitym poetą, ale kiepskim dowódcą wojskowym, Słowacki nie wiedział, jak obchodzić się z kobietami, za to świetnie grał na giełdzie.

Od 1918 roku nie było dla nas równie korzystnego listopada. Zaraz po Wszystkich Świętych ustalono trzy najważniejsze wizyty nowego premiera. W Niemczech, w USA i Moskwie. Trudno powiedzieć, która z nich miała być ważniejsza, choć Szwendala w gronie swych najbliższych stwierdził, że o ile w pierwszej chodzi o polską teraźniejszość, w drugiej o przyszłość, to w trzeciej wreszcie o uregulowanie przeszłości.

Wiadomo, że w tych dniach premier spotykał się z różnymi ludźmi – sporo rozmawiał o różnych koncepcjach władzy z Piotrem Magdą Borutą, zaprosił też do swego domu w willi przy Klonowej Leszka Sikawskiego – przywódcę Centralizacji Polski Niepodległej, którego bojówki pod przewodem Krzysztofa Kniazia, prywatnie zięcia szefa, toczyły nieustępliwe boje o lokale partyjne – i rozmawiał z nim o dziwo nie o doraźnej polityce, ale o koncepcjach marszałka Piłsudskiego, teorii Międzymorza czy ideach prometejskich... Starał się przy tym nie zdradzać własnej wiedzy w tej materii, a pozwolić Sikawskiemu gadać, co zasłużony opozycjonista lubił przecież najbardziej.

A jednak Sikawski relacjonując to spotkanie w zaciszu domowym, nie ukrywał, że parę zdań, które wyrwało się Szwendale, zrobiło na nim wrażenie – a zwłaszcza sformułowanie: „Jeśli mówią, że Polską ciągle rządzą trumny Piłsudskiego i Dmowskiego, to najwyższa pora złożyć je w jednym sarkofagu”. Jeszcze bardziej zdumiony był Boruta, kiedy w trakcie wywodu na temat selektywnego stosowania siły podpartej stosownym cytatem z „Księcia” Machiavellego Szwendala zauważył mimochodem, że owszem, zna ten cytat, wszelako pochodzi on z „Rozważań nad historią Rzymu wg Tytusa Liwiusza”. I Borucie opadła szczęka.

Intelektualne zajęcia i codzienny kołowrót nie przeszkodziły Szwendale zauważyć w sekretariacie nowej urzędniczki, na której widok goście dostawali oczopląsu, a inne sekretarki zżerała tępa nienawiść.

– Kto to taki? – zapytał swego sekretarza.

– Nowa pracownica – odparł Pull.

– To widzę! Ale skąd ją wytrzasnąłeś?

– Mietek polecił, to jakaś jego kuzynka. Ale pod każdym względem świetna. Języki, stenografia, stenotypia...

– Ale chyba pełnoletnia?

– Oczywiście, Wachmistrzowski osobiście dostarczył jej świadectwo dojrzałości.

Tymczasem w planach niemieckich doszło do zmiany. Termin, który odpowiadał kanclerzowi Schnapsowi, pomiędzy 9 a 11 listopada, kolidował z pierwszymi od drugiej wojny obchodami Polskiego Święta Narodowego. Szwendale nie mieściło się w głowie, aby w Dniu Niepodległości nie był obecny w kraju. Powstały pat rozwiązała propozycja samego Schnapsa:

– A gdybym to ja przyleciał do Warszawy?

Polski premier skwapliwie podjął tę inicjatywę.

9 września samolot niemieckiego kanclerza wylądował na Okęciu. Były powitania, wieńce w historycznych miejscach, rozmowy, wreszcie uroczysta kolacja u prezydenta Karuzelskiego, w Belwederze. Nie odbyło się bez małego lapsusu. Szwendała witając się na lotnisku ze Schnapsem, nie potrafił powstrzymać się przed stwierdzeniem, w dodatku po niemiecku, „Ale pan gruby”. Zorientowawszy się w swym nietakcie, poprawił błyskawicznie na „Ale pan wielki!”. Ale Schnaps tylko się roześmiał.

Najważniejsze, że nastrój spotkania okazał się więcej niż przyjacielski, a kanclerza Niemiec nie trzeba było namawiać ani do pochwał dla polskich reform, ani do podkreślenia nienaruszalności obecnych granic w Europie.

„Łącznie z tą na Łabie dzielącą Niemcy?” – chciał zapytać Szwendała, ale w porę ugryzł się w język.

Tymczasem wkrótce po dwudziestej pierwszej ktoś wywołał z sali ministra Gonschorka. Nie było go dłuży czas, a kiedy powrócił, mienił się na twarzy. Lew zauważył to natychmiast.

– Coś się stało? – zapytał głośno.

– Nic szczególnego – odparł niemiecki dyplomata. – Jednak na podstawie napływających informacji odnoszę wrażenie, że właśnie zaczął walić się mur berliński.

– A nie mówiłem! – wypalił Szwendała.

Zauważono, że prezydent Karuzelski wstaje i chyłkiem wymyka się z sali. Z nadmiaru wrażeń jego żołądek odmówił posłuszeństwa.

*

Jak wiele wielkich wydarzeń historii upadek muru berlińskiego był wynikiem przypadku i przejęzyczenia.

Winowajcą był niejaki Gunter Polendwitzow, członek biura politycznego komunistów niemieckich, który 9 listopada, tuż przed godziną dziewiętnastą w trakcie konferencji prasowej zapytany, od kiedy wejdą w życie nowe zasady ruchu międzynarodowego, zamiast zachachnąć temat, urzeczony widokiem pośród dziennikarzy kobiety przecudnej urody w błękitnej sukni balowej krzyknął:

– Od zaraz!

Nigdy dotąd dwa słowa nie wywołały tak natychmiastowej reakcji. Konferencję transmitowano w obu częściach podzielonego Berlina. A Niemcy mają to do siebie, że oświadczenia władzy, jakakolwiek by ta władza nie była, traktują dosłownie. Nie dziw więc, iż Berlińczycy z obu stron muru bezzwłocznie sięgnęli po paszporty i dowody osobiste, udając się sprawdzić nowo uzyskane dobrodziejstwo w praktyce. I ruszyły ku Bramie Brandenburskiej dwie rzeki potężne, z jednej strony płynęła zda się wezbrana Missisipi, a z drugiej poruszona z lodowych okowów Wołga, zmiatając przed sobą wszystko, łącznie ze strażą graniczną, tresowanymi psami, a także królikami zamieszkałymi na ziemi niczyjej, *intra muros*.

Nikt nie spał w Berlinie tej nocy, włączając kanclerza Schnapsa, który nie dokończywszy kolacji w Belwederze, a biorąc jedynie wałówkę na drogę, śpiesznie powrócił do Berlina.

– Niech pan nie zapomina, że pierwszy kamień tego muru przewróciłem osobiście dziewięć lat temu w Stoczni Gdańskiej – wołał za nim Szwendała.

Kanclerz Schnaps nie zapomniał i wygłosiwszy parę okolicznościowych przemówień, po dwóch dniach powrócił do Polski.

Tym razem na miejsce spotkania wybrano dawny majątek hrabiów von Poldke w Kalwarii, niedaleko Legnicy. Rodzina von Poldke odgrywała ponoć wiodącą rolę w antynazistowskiej opozycji. Była to zresztą opozycja tak głęboko zakamuflowana, że nikt w Niemczech o niej nie wiedział, łącznie z gronem arystokratów, którzy dopiero w okresie powojennym zaczęli chętnie przyznawać się do współuczestnictwa. Nawiasem mówiąc, grono spiskowców z biegiem lat rosło odwrotnie proporcjonalnie do liczby członków NSDAP, do której nie należał prawie żaden ojciec czy dziadek współczesnych obywateli obu państw niemieckich.

Samego pomysłu spotkania w Kalwarii Legnickiej nie wymyślił sam Szwendała. Pochodził on od senatora Andrzeja Cebulaka, znanego autora powieści „Nieszpory Brabanckie” i „Czy śliczna pani Rosengold”, który ostatnio dość natrętnie antyszambrował w kancelarii premiera, wpychając się na stanowisko doradcy do spraw niemieckich. Do tej funkcji predestynował go fakt, iż właśnie z RFN-u otrzymywał największe honoraria za swe książki, których bohaterami bywali przeważnie biedni Żydzi, dobrzy Niemcy i paskudni Polacy.

Mietek dużo dałby, aby w delegacji do Kalwarii znalazła się także jego protegowana (w końcu najwyższej punktowane są gole strzelane na wyjeździe), ale Jarek Indykiewicz osobiście wykreślił pannę Piekiełkiewicz z listy.

– Ale dlaczego, dziewczyna ocieplałaby wizerunek „wodza” – odwoływał się kierowca.

– Za młoda! – odparł sucho wicepremier, który w życiu wyznawał nader purytańskie ideały.

„I tak pojedzie tam, choćby autostopem” – postanowił w myśli Wachmistrzowski.

*

W pierwszych dniach listopada nadeszły do Kamila prawie równocześnie listy od obu ciotek Kasandry.

Ani jedna nie miała w ostatnim czasie kontaktu z siostrzenicą. Obie jednak podały zamiary na swoją siostrę Zofię. Helena zamieściła nadto niezwykle cenną informację, że jej imię przyjęte podczas ślubów zakonnych brzmiało po prostu Maria Imelda.

Siostra Imelda od dziesięciu lat przebywała w klasztorze klauzurowym pod Legnicą. Co nie było najlepszą informacją. Ze względu na regułę zakonną ściśle przestrzegającą milczenia kontakt z zakonnica mógł być poważnie utrudniony.

Kamil nie miał jednak żadnego innego wyjścia, niż próbować do niej dotrzeć. Bogucki, do którego telefon zaryzykował, nie miał żadnych wiadomości od Kasi. Twierdził, że nawet policja nie natrafiła na żaden ślad.

– I mówi to pan tak spokojnie? – zdenerwował się Kamil.

– Tak, bo czuję, że nic złego jej się nie dzieje – odparł pan Mateusz. – A intuicja nie omyliła mnie nigdy.

Barczewski nie miał jednak zaufania do czyjejś intuicji. Znowu pożyczył samochód matki, która po powrocie z sanatorium zachowywała dziwną uległość, i pojechał na Dolny Śląsk.

Zważywszy, że dzień był świąteczny (11 Listopada), przejechał Polskę stosunkowo szybko, za Wrocławiem wpadając na starą niemiecką autostradę z betonowych płyt, dość o tej porze pustawą. Ze względu na krótkość dnia na wysokości Legnicy zaczęło się już zmierzchać. Widoczność robiła się coraz gorsza, mimo to natychmiast dostrzegł jakąś dziewczynę stojącą na poboczu i próbującą go zatrzymać. W tym czasie nie był to widok częsty, tirówki miały stać się ozdobą polskich dróg i zagrożeniem dla publicznej moralności dopiero za kilka lat. Dlatego zahamował ostro. I nie żałował. Do urody najwyżej dwudziestoletniej autostopowiczki pasowało określenie „skończona piękność” Rysy miała niezwykle regularne, ale jakaś orientalna domieszka sprawiała, że czuło się w niej coś niepokojącego.

– Skąd się pani wzięła na tym pustkowiu? – zapytał Kamil, zapraszając ją do środka.

– Kierowca, który mnie podwoził, nie okazał się dżentelmenem, dlatego zdecydowałam się wysiąść – wyjaśniła.

– A dokąd pani chciałaby się udać?

– Do Kalwarii, to stosunkowo niedaleko stąd. Jutro ma się tam odbyć uroczysta msza, w której chciałabym uczestniczyć.

– Słyszałem, mają być premierzy Polski i Niemiec. Przypadkowo jadę w pobliże tego miejsca. Mogę panią zabrać.

– Ach tak – zwinnie zajęła miejsce pasażera. – Cóż za wspaniały zbieg okoliczności! Też na mszę?

– Niezupełnie. Muszę odwiedzić pewien klasztor w tamtej okolicy.

– Żeby wstąpić do zakonu?

– Nie – roześmiał się – tym bardziej że jest to żeńskie zgromadzenie. Jestem początkującym historykiem i po prostu piszę pracę o zgromadzeniach zakonnych na Ziemiach Odzyskanych.

Dlaczego skłamał, czemu nie powiedział wprost, że jedzie szukać ukochanej?

Czy dlatego że od pierwszego wejrzenia pasażerka podnieciła go? Pomimo jesiennego chłodu, którym winna przesiąknąć, stojąc przy drodze, bił od niej dziwny, zmysłowy żar. Prowokacyjne spojrzenia, specyficzne zakładanie nogi na nogę, podniecający zapach perfum... Cholera, a twoja wielka miłość?...

W trakcie rozmowy dowiedział się, że autostopowiczka nazywa się Lilia. Nie widział powodu, żeby również się nie przedstawić.

– „Mam ochotę na troszeczkę zapomnienia” – zanuciła nagle. A gdy stęzał, nie wiedząc, jak zareagować, zaśmiała się gardłowo.

„A może to prostytutka?” – przemknęło mu. Nie wyglądała na profesjonalistkę. Była taka świeża, delikatna, tylko jakaś taka cygańska...

– Rozstałam się z chłopakiem – powiedziała nagle. – Zresztą jaki to chłopak. Stary facet po trzydziestce. Okłamywał mnie przez pół roku, obiecując ślub. A potem okazało się, że jest żonaty i dzieciaty. Nigdy więcej nie wpakuję się w taką kabałę...

Przysiągłby, że w jej oczach zakreśliły się łzy. Poczul ogromny wstyd, że zleją ocenił.

– Gdzie chcesz się zatrzymać na noc? – zapytała nieoczekiwanie.

– Jeszcze nie myślałem o tym. Może mają jakieś pokoje do wynajęcia...

– Jakbyś miał kłopoty ze znalezieniem noclegu, mam zarezerwowany dwuosobowy pokój w hotelu w Bolesławcu. Moja koleżanka w ostatniej chwili zrezygnowała z wyjazdu...

Znów zaatakowała go fala erotycznych fluidów. Oczyma wyobraźni zobaczył jej nagie ciało wijące się pod nim w skurczach orgazmu, poczuł smak jej warg, a także jej ostre paznokcie orzące jego plecy. Aż zabolalo...

– Cholera! – zahamował w ostatniej chwili. Ktoś, a może coś przebiegło przez drogę, tak że nieomal musnęła go maska auta. Kto? Nie widział dokładnie. Ale patrząc w boczne lustro, dostrzegł burzę jasnych włosów i błękitną sukienkę. Jeszcze jedna kobieta. „W dodatku kandydatka na samobójczynię!?”

Kątem oka zerknął na swoją pasażerkę. I zdrętwiał. Obok niego siedziało monstrum. Widział potwornie pomarszczoną twarz, szopę siwych włosów, bezzębne usta, tak jakby autostopowiczka liczyła sobie nie dwadzieścia lat, a co najmniej dwadzieścia wieków. Zapach perfum ustąpił przerażającej stęchliźnie. Jednocześnie przeszło go dojmujące tchnienie chłodu, zupełnie jakby ktoś nagle otworzył lodówkę.

Przed samochodem zamajaczył napis wskazujący skręt na Bolesławiec. Miętko zahamował przy krzyżówce.

– Będę musiał tu panią wysadzić – powiedział. – Niestety muszę zdążyć do klasztoru przed zmrokiem – przemógł się i znów popatrzył na nią. Wrócił wprawdzie dawny wygląd, ale magnetyczny urok prysnął bez śladu.

Pasażerka nie wyglądała na szczególnie zaskoczoną jego decyzją. Czyżby coś takiego nie zdarzało się jej po raz pierwszy?

– Nic nie szkodzi – odparła. – Zaraz ktoś się zatrzyma. Na pewno.

Odjechał z piskiem opon. Najzabawniejsze, że nie wiedział, co właściwie mu się przydarzyło i jakich kłopotów był uniknął.

Odnalezienie klasztoru nie należało do zadań łatwych, a dostanie się do niego okazało się całkowicie niemożliwe. Przydała się za to legitymacja „Ekspresu Wyborczego”, która doprowadziła Kamila do miejscowego proboszcza będącego spowiednikiem klauzurowych zakonnic. Ksiądz nie tylko podjął młodego dziennikarza kolacją, poczęstował nalewką i zaproponował mu nocleg w gościnnym pokoiku na plebanii, ale jeszcze zgodził się zanieść list do siostry Imeldy.

– Myśli ksiądz, że przeczyta i odpowie? – zapytał, pokazując mu tekst:

„Droga siostrze Imeldo, pozwalam sobie zwrócić się do siostry z prawdziwym błaganiem o informację. Od ponad miesiąca moja ukochana Kasandra Bogucka zniknęła. Szukam jej wszędzie. Bez rezultatu. Wiem, że pojechała zobaczyć się z siostrą. Proszę mi dać jedynie znać, czy nic jej nie grozi, ewentualnie wskazać sposób, w jaki mogę się z nią skontaktować. Bardzo ją kocham i gotów jestem na wszystko. Jeśli każe, bym jej nie szukał, posłucham, ale nigdy jej nie zapomnę.

Kamil Barczewski”.

– Mam nadzieję, że odpowie – powiedział kapłan. – Ślub milczenia nie musi być interpretowany jako zakaz korespondencji.

I rzeczywiście rano pojawiła się odpowiedź od siostry Imeldy:

„Kasia jest w bezpiecznym miejscu. Kocha Pana. I jeśli z pańskiej strony miłość przetrwa próbę rozłąki, za rok jest gotowa Pana poślubić”.

– Ale dlaczego? – jęknął Kamil – dlaczego nie teraz?

Ksiądz wyglądał na dużo mądrzejszego niż zazwyczaj standardowy wiejski proboszcz.

– Nie znam sprawy – rzekł, przepaszając Boga za to drobne kłamstewko, ale przecież przestrzeganie tajemnicy spowiedzi, a spowiadał Kasandrę wielokrotnie, miało wyższą rangę niż obowiązek mówienia prawdy i tylko prawdy. – Mogę jednak powiedzieć, jeśli w grę wchodzi walka dobra ze złem, że musimy być gotowi na poniesienie największych nawet ofiar.

– Nie bardzo rozumiem. Jeśli nawet owa walka, o której mówi ksiądz, nie jest tylko metaforą, jaka rolę możemy odgrywać w niej Kasia i ja, dwie marne istoty na tle całego kosmosu.

– Nie ma osób nieważnych na tym świecie. Mówi się: „Kto ratuje jedno życie, to jakby ratował cały świat”, podobnie jest z każdą duszą w obliczu światowych zmagania. W dodatku nie można wykluczyć, że z jakiegoś szczególnego powodu właśnie wy możecie przechylić szalę.

– Dobrze, będę więc czekał. Rok nie wyrok.

– To może nie wystarczyć. Zło nie śpi. Będziesz wystawiony na liczne próby, będziesz kuszony.

„Już byłem” – chciał powiedzieć, ale zobaczył, że proboszcz przygląda mu się dziwnie. – Co się stało?

– Zastanawiam się, gdzie się pan tak upaskudził. Tu na plecach!

Kamil dotknął flanelowej koszuli, której nie zdejmował nawet podczas snu, i poczuł, że się po prostu lepi. Ściągnął ją przez głowę i stanąwszy przed lustrem, ujrzał, że plecy ma porane do krwi, tak jakby stoczył bój z lampartem.

– Ich ślady! – mruknął ksiądz.

– Ale nikt mnie nawet nie dotknął.

– Czasem nie trzeba dotknąć, aby zranić. Pomódlmy się lepiej. Zło krąży wokół ciebie.

– Nie jestem w tym dobry – wyznał.

– Ja cię poprowadzę. Klęknij, synu.

Okna plebanii widoczne były doskonale z wieży klasztoru. Kasandra dzięki mocnej lornetce doskonale widziała obu rozmówców, mimo że oczy miała pełne łez. Tak bardzo chciałyby zbiec na dół, minąć furkę i paść w ramiona Kamila. Niestety nie mogła. Nie lekceważyła przestróg ani znaków. Przecież od ponad miesiąca nie było nocy, by demony nie krążyły wokół klasztoru, nie mając przystępu na uświęcony teren. Mieszkańcy mówili, że po raz pierwszy od dziesięcioleci słyszano w okolicy wycie wilka. Ona sama widziała wielkie nietoperze szybujące wokół wieży. A całkiem niedawno zobaczyła mężczyznę w meloniku, który odbił od grupy turystów, gdy ich autokar zatrzymał się przed klasztorem.

– A spróbuj tylko wyjść, moja złota – informował szydarczy grymas na jego wargach. – tylko spróbuj.

*

Istnieje mnóstwo świetnych relacji z polsko-niemieckiego spotkania w Kalwarii. Wszystkie agencje obiegiło zdjęcie, jak po słowach celebransa: „Przekażcie sobie znak pokoju” Lew Szwendała praktycznie utonął w objęciach kanclerza Schnapsa.

– I tak dobrze, że mnie nie całuje – pomyślał polski premier. – W końcu taki Krwawy Erich, jak głosiły wszystkie opowieści, mało że całował towarzyszy bratnich partii w usta – on jeszcze wtykał im język...

– To musiało być okropne – współczująco wzdychał Wachmistrzowski po zakończonym nabożeństwie. – Ścisnąć się ze Szwabem!

– Polityka, Mietku, polityka! – tłumaczył z wyrozumiałością Szwendala.

– A jak przyjdzie robić takiego samego niedźwiedzia z Ruskiem?

– Dla dobra Polski będę musiał.

– A z Żydem?

– Stanowisko premiera wymaga poświęceń.

– A z pedałem? Wie wódz, ilu jest takich w światowej dyplomacji?

Przy tej ostatniej propozycji Wachmistrzowskiego Szwendala jednak się zawahał.

– Zawsze mogę udawać, że nie wiem o jego skłonnościach. Byle mnie za tyłek nie łapał.

Ciekawe, ale mimo intelektualnego natłoku w głowie rozmowy z Mietkiem działały na niego relaksująco. Dlatego ciągle go trzymał. A nawet podniósł mu uposażenie.

*

Tymczasem zaledwie w dzień po spotkaniu w Kalwarii Legnickiej nasz premier wyruszył za Wielką Wodę do Kanady i USA, a 15 listopada przemówił w Kongresie Stanów Zjednoczonych. W historii tylko paru przywódców obcych krajów dostąpiło tego zaszczytu.

Wprawdzie z początkowego tekstu napisanego przez profesora Hajduka ostał się jedynie wstępny akapit, a resztę przeredagował sam Lew z Indykiewiczem, jednak był to bardzo wymowny akapit. Wrażenie, jakie przemówienie wywoływało na słuchających, spotęgował wspaniały radiogeniczny głos redaktora Jacka Falabińskiego odczytującego amerykańskie tłumaczenie.

– My, Naród – zaczął premier pierwszym słowem konstytucji amerykańskiej, wywołując żywiołową reakcję sali. – Oto słowa, od których chcę zacząć swoje przemówienie. Nikomu na tej sali nie muszę przypominać, skąd pochodzą. Nie muszę również tłumaczyć, że ja, elektryk z Gdańska, a dziś polski premier, mam prawo się na nie powoływać. Stoję przed wami, by w imieniu mego narodu mówić do Ameryki. Do obywateli państwa i kontynentu, u którego wrót czuwa Statua Wolności. Tej wolności, do której mój naród dążył przez dwa stulecia, a której smak mógł przeżywać jedynie podczas narodowych zrywów i krótkiego międzywojnia lat 1918 -1939.

Polacy wiedzą, co oznacza brak własnego państwa, ale pamiętają również o doświadczeniach bycia mocarstwem i ponoszenia odpowiedzialności za innych przynajmniej w skali kontynentu. Cztery lata temu byliśmy europejską potęgą. Rzeczpospolitą wielu narodów zażywających u nas wolności i religijnej tolerancji. Nasz upadek w wyniku zmywy trzech zaborczych potęg wtrącił Europę w czas konfliktów i destabilizacji. Nasze ziemie stały się głównym teatrem dwóch straszliwych wojen. Zapominano o nas, a my co pokolenie jak ożywający wulkan przypominaliśmy się światu... Dziś wychodzimy z mroku zniewolenia. Bez polskiej determinacji nie widzielibyście niedawnych obrazów z Berlina, który dziś już może być miejscem spotkania Niemców ze Wschodu i Zachodu. Miejscem spotkania podzielonej Żelazną kurtyną Europy...

Jednak nie przemówienie w Kongresie, choć na nim skupiła się główna uwaga mediów, było najważniejszym elementem wizyty. O wiele poważniejsze konsekwencje miała przynieść wizyta w Białym Domu i rozmowa z prezydentem Plushem.

Praktycznie jeśli nie liczyć Brenta Snowboarda, doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, rozmowa odbyła się bez świadków. Nie zaproszono ani ministra Szcypaczewskiego, co ten ostatni przyjął jako afront, ani Bronisława Hajduka, który wręcz się obraził. W rozmowach nie wziął udziału nawet Jarosław Indykiewicz ani rzecznik Drzymałko.

– Nie umiecie po angielsku! – zgasił ich nieśmiało protesty Lew.

– Pan też nie umie! – odciął ambitny bliźniak.

– Ostatnio trochę się poduczyłem.

W efekcie spotkanie odbyło się nawet bez tłumacza polskiej strony. I bardzo słusznie, bo ten lubo doskonały fachowiec miał dodatkowy etat w KGB.

Tak więc o czym rozmawiano, a rozmowy przedłużyły się długo w noc, nie wiadomo. Drzymałko wspomina, że po powrocie z Białego Domu jego pryncypał był bardzo zmęczony, ale zadowolony z siebie jak nigdy.

– O czym tak długo rozmawialiście? – pytał z pewną nieśmiałością rzecznik.

– O wszystkim. Poznajemy się dopiero. George to fajny facet, choć z historii i geografii matury by u nas nie zdał. Wszystko musiałem mu tłumaczyć. Ale sporo zrozumiał, w końcu pracował kiedyś w CIA. Tak. Chyba da się coś wspólnie zrobić na tym świecie...

Drzymałko uznał to wówczas za przejaw megalomanii Szwendaty. Może przedwcześnie.

Jeśli idzie o wizytę w Związku Radzieckim, to parokrotnie wisiała na włosku. Zaczęło się od krótkiej rozmowy z Szczypaczewskim, podczas której dyskutując o przygotowaniach, premier zapytał, kto się zajmie szczegółowymi uzgodnieniami programu w Moskwie.

– Oczywiście nasz nowy ambasador? – odparł z wrodzoną sobie uprzejmością minister.

– Czyli kto?

– No... Razik! Pan Stanisław Razik.

– Kto? Ten sam tłusty towarzysz Razik, komuch, który nas próbował wykołegować w 1981 i kręcił Graniastym Stołem?

– To wybitny fachowiec, który znakomicie zna sprawy radzieckie – podkreślił Szczypaczewski.

– Dlatego byłby świetnym ambasadorem sowieckim w Polsce, a nie na odwrót. Poza tym, co to znaczy znakomicie, jeśli zawsze był komunistycznym czynownikiem i poruszał się wyłącznie wśród sobie podobnych aparaczyków? Mam tu inną kandydaturę: profesor, który właśnie wrócił z emigracji, tłumacz Sołżenicyna i Pasternaka...

– Ależ panie premierze – dystygowany pan Krzysztof miał minę, jakby musiał spożyć karalucha na surowo. – Obawiam się, że to niemożliwe. Wniosek w sprawie Stanisława Razika poszedł już do pana prezydenta.

– To się go cofnie!

– Obawiam się... – Szczypaczewski gorączkowo zastanawiał się, czy to własna inicjatywa Szwendąły, czy którejś z walczących o jego względy frakcji. Hajduk by tego nie zrobił. Może Indykiewicz...? – Sprawa jest do rozważenia – powiedział swym skrzypiącym głosem jakby z przedwojennego filmu wykopiowanym. – Ale teraz, na chybcika, się nie da.

Szwendąła odwrócił się tyłem i rzucił przez ramię:

– Jutro chcę od pana, panie ministrze, ten wniosek albo pańską dymisję.

*

Tym razem do oficjalnej delegacji udało się wstawić Wachmistrzowskiemu Lidkę Piekiełkiewicz. Krzysztofa Pulla przekonała jej znajomość rosyjskiego, którym posługiwała się tak, jakby całe życie spędziła w okolicach Arbatu.

Do tej pory agentka nie miała sukcesów na swym koncie. W Kalwarii pozostała widzem, pokpiła zleconą przez swego szefa w meloniku sprawę z Kamilem Barczewskim. Uwiedzenie chłopaczka miało być istotnym elementem większego planu. Ale z jakiegoś powodu nie wyszło. Lidka czuła w tym sprawkę konkurencji...

Jednak taka porażka nie miałyby znaczenia w ogólnym rozrachunku, gdyby udało jej się omotać samego Szwendalę... Parę lat temu byłyby to drobnostka. Za czasów karnawału „Solidności” Lew znany był jako łamacz serc niewieścich, a działaczki związkowe z całego kraju przebierały nogami, aby tylko złożyć swe patriotyczne wdzięki na ołtarzu ojczyzny.

Niestety przez ostatnie lata, a szczególnie przez ostatnie tygodnie Szwendala dorósł, dojrzał. I zmienił priorytety. Jeśli nawet miał dwie dusze, z których jedna chciała władzy, a druga dobra Polski, to obie doskonale zdawały sobie sprawę, jak bardzo jeden błahy romans mógłby te plany pokrzyżować.

„A gdyby tak wkraść się do serca wicepremiera?” – w trakcie lotu popatrzyła na drzemiącego parę foteli dalej Jarosława Indykiewicza. Na jego temat krążyły różne plotki, a Wachmistrzowski podsuwał nawet szefowi ordynarny żart, żeby zaprosić na grilla w ogrodzie „Lecha z żoną, a Jarosława z mężem”, za co został ostro skarcony. Lilka wiedziała, że to kpina niecelna. Wicepremier lubił kobiety, ale wrodzona nieśmiałość i kompleksy na tle swego wzrostu nie pozwalały mu na podjęcie zdecydowanej akcji. „Gdyby jednak jakoś go ośmielić...?”

W Moskwie naturalnym partnerem do rozmów był dla Szwendalę premier Nikołaj Rudin, ale rozmowami z nim, poświęconymi głównie kwestiom ekonomicznym, zajęli się Indykiewicz i Walutowicz, zaś polski lider skoncentrował się na rozmowie z Korbaczowem, który przyjął go na Kremlu.

– Może to komuś wyda się dziwne, ale osobiście życzę panu sukcesu – powiedział na wstępie twórca pieriestrojki.

– Ja się wcale nie dziwię – odpalił Szwendala. – Jedziemy przecież na jednym wózku.

– Naprawdę? – tym razem zaskoczony wydawał się być gensek KPZR.

– Oczywiście, jeśli mnie się nie powiedzie, wasze siłowniki i cały beton dobiorą się do pana.

„Korbi” pokraśniał na twarzy, a plamy na jego czaszce, wedle jednych układające się w mapę Nowej Zelandii, a wedle innych w Związek Sowiecki po III wojnie światowej, pociemniały.

Nikt dotąd nie rozmawiał z nim tak bezpośrednio. Może jedynie prezydent Roald Regon na Islandii. Ale tamten był szefem supermocarstwa, a ten... Mimo że był premierem tylko niewielkiej prowincji imperium, Michaił Siergiejewicz odczuwał do niego szacunek, a nawet – respekt. Dotąd wezwani do niego zarządcy półsuwerennych satrapii albo prężyli się służyć jak generał Karuzelski, powtarzając: „Tak jest” albo wili się u jego stóp jak Mieczysław Krabik. Natomiast ten elektryk rozmawiał z nim jak równy z równym.

Owszem, był grzeczny, twierdził, że w stosunkach między oboma państwami należy postawić na „plusy dodatnie”, współpracę gospodarczą i kulturalną, a nade wszystko zbliżenie społeczeństw, ale równocześnie pozbawiony był owego genu niewolnika od pół wieku wpajanego elitom państw ościennych.

– Polska w swej masie nie jest antyrosyjska – tłumaczył Szwendala – przeciwnie, istnieje u nas sporo możliwości do porozumienia się na bazie słowiańskich korzeni i bliskiego sąsiedztwa. Poza tym mamy mnóstwo wspólnych interesów ekonomicznych. Wy macie surowce energetyczne, my nadwyżki żywnościowe. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby sztuczną przyjaźń narzucaną nam przez lata zastąpiło autentyczne partnerstwo.

– A bezczeszczone groby? Co chwila dochodzą nas głosy z Polski o kolejnych aktach wandalizmu na cmentarzach bohaterów Armii Czerwonej...

– Niech pan poprosi swoje służby o listy płac dla „nieznanych sprawców” – odparował Szwendala. I ciągnął dalej: – Polska była w przeszłości krwawym polem starć między Rosją a Zachodem. Nie uważa pan, że to powinno się zmienić? Powinniśmy raczej stać się pomostem w nowym świecie współpracy i zaufania.

– To prawda – „Korbi” pokiwał głową. – Jednakże cały czas mówi pan o Rosji, ja reprezentuję tu cały Związek Radziecki. Pańscy rodacy być może nie są antyrosyjscy, ale antyradzieccy są bezsprzecznie...

– Sądzę, że powinien pan postawić kropkę nad „i”. I skończyć to, co pan zapoczątkował – odparł Szwendala.

– To znaczy? – sekretarz generalny poczuł na plecach dreszcz podobny do tego, który przebiegł go nie tak dawno, gdy prezydent Regon wołał w Berlinie z drugiej strony: „Zburz pan ten mur, panie Korbaczow, zburz pan ten mur!”.

– Niech pan uwolni wszystkie narody kiedyś zmuszone do wejścia w skład imperium. Niech pan pozwoli im decydować o własnym losie. A wówczas przekona się pan, jak wiele wspólnych interesów i sentymentów pozwoli zawiązać waszą wspólnotę na nowo. „Z niewolnika nie ma współnika”.

Mówiąc to, zauważył, że jego rozmówca zmienił się na twarzy.

– Obawiam się, że mówimy o bardzo dalekiej przyszłości – stwierdził zimno Michaił.

– Czasem opłaca się wybiec myślą w przód, aby nie obudzić się z ręką... – Lew chciał powiedzieć „w nocniku”, ale intelektualna część jego umysłu zreflektowała się i zastopowała język. Dopiero po dłuższej pauzie zakończył zdanie sformułowaniem „z ręką na temblaku”.

Ani tłumacz, ani tym bardziej gensek nie znali takiego przysłowia.

Dwa jeszcze wydarzenia z tej podróży przykuły uwagę mediów. Po pierwsze, nocny wypad Szwendały do moskiewskiej restauracji. Pomysł, aby poznać nocne życie sowieckiej stolicy, wprowadził w panikę miejscowe służby, spowodował blokadę części Arbatu, a także wyrzucenie klientów z najlepszej miejscowej restauracji celem zastąpienia ich sprawdzonymi funkcjonariuszami dla niepoznaki przebranymi w stroje wyższych urzędników, cinkciarzy i prostytutek. Jak Wachmistrzowskiemu udało się doprosić do ich grupki Lidkę? Zapewne przeważał argument „Bez żadnej kobity będzie nam głupio, poza tym dziewczyna świetnie zna język!”

Szwendała bawił się niezłe, a nawet po dwóch czy trzech kieliszkach zaprosił Lidkę do tańca.

Wirując w tańcu i trzymając ją w ramionach, przeniósł się naraz myślą do młodzińskich lat, gdy podczas zabaw w remizie nie miał sobie równych. Dziewczyny lgnęły do niego, piszcząc, dawały się obmacywać, śmielsze szły na siano albo w cień zagajnika... Być może i dziś poniósłby go temperament, gdyby nie świadomość, że znajduje się pod okiem wszechobecnych sowieckich służb oraz czujnym wzrokiem Andrzeja Drzymalki tańczącego obok nich z jakąś chudą, wyższą od niego o głowę baletnicą w niebieskiej sukni.

. Prawie natychmiast przypomniało mu się, że obiecał zadzwonić przed snem do Hanki. Poza tym skoro świt czekała go eskapada do lasu pod Smoleńskiem, gdzie znajdowały się groby polskich oficerów rozstrzelanych przez NKWD w 1940 roku. Premier Rudin oferował mu wprawdzie transport lotniczy albo helikopterowy, ale Szwendała wolał wybrać się samochodem.

Mimo okazywanej mu oficjalnie zyczliwości nie ufał gospodarzom. Jego moskiewscy rozmówcy, zarówno słynny laureat Nagrody Mebla profesor Andriej Cukrow, jak i lider partyjnych odnowicieli Borys Bielcyn twierdzili, że istnieją potężne siły gotowe zatrzymać proces przemian. Wielu z tych, którzy początkowo popierali Korbaczowa, dziś uważało, że poszedł zbyt daleko, tym bardziej że wieści z Czech dowodziły, że „zaraza wolności” rozszerza się dalej.

Podziękował więc za taniec i odsunął się od swej asystentki.

– Z kim ty tańczyłeś? Z jakąś solistką z Teatru Bolszoi? – zapytał Drzymalkę, który zdążył już zająć miejsce przy stoliku.

– Ja? – zdumiał się brodaty rzecznik. – Ani na chwilę nie ruszałem się z tego miejsca.

Kolejna porażka rozwścieczyła Lidkę. Jakże chętnie ukazałaby całą gamę swoich możliwości. Jednak cielesne ograniczenia aktualnej postaci oraz categoryczne wytyczne zwierzchnika nie pozwalały rozwinąć jej skrzydeł. Bezczelność, z jaką „Błękitnopióra” wchodziła jej w paradę, doprowadzała ją do furii. Miała jednak zbyt niską rangę, by móc podejmować samodzielne operacje.

– Przez rok możemy jedynie minimalizować straty – słyszała od swego szefa. – Mamy niekorzystny układ planet, a poza tym zawarłem z konkurencją swoiste porozumienie. Ale jak minie termin, wtedy tak się odwinie...

Lilka miała dwie natury. Jedną wielowiekową, sięgającą czasów Sumeru, na co dzień wyłączaną, i zwykłą, należącą do osiemnastoletniej dziewczyny, która dokonując rok temu aborcji, stała się wyjątkowo podatna na zawarcie paktu z diabłem. W zamian za oddanie duszy otrzymała urodę, wiedzę i perspektywę kariery, a także zredukowane do zera wyrzuty sumienia.

Indykiewicz? Myślała o nim, lecąc do Moskwy. Stary kawaler i współstrateg nowych koncepcji Szwendawy wydawał się łatwym celem. Gdyby jej uległ...

Ponieważ tradycyjne metody, których naturalnie próbowała, niby przypadkowo ocierając się o niego biustem, zaglądając w oczy i komplementując, jedynie go spłoszyły, postanowiła odwołać się do farmakologii. Sporządziła wyjątkowo silną porcję lubczyku i odwróciwszy uwagę przystojnej stewardesy, wlała ją do wina, które zamówił wicepremier.

Potem wróciła na miejsce. Sęk w tym, że drobna turbulencja sprawiła, że wino częściowo się rozlało. Jego niezwykły zapach sprawił, że Ewa poczuła ogromną chęć skosztowania. Pociągnęła łyk. Potem resztę. Dla Indykiewicza naląła zupełnie inny kieliszek. Ale Lidka tego nie wiedziała, pragnąc być przy Jarosławie, w chwili kiedy napój zadziałał. Podeszła do niego z garścią tekstów wybranych z pracy rosyjskiej...

– Czy można, panie premierze? Przygotowałam kilka tłumaczeń...

Tymczasem nadeszła Ewa. Podała wino Indykiewiczowi i w tym momencie uderzyła ją fala gorąca, a dziwna słabość omal nie zbiła z nóg. Co gorsza, nagła dziura powietrzna sprawiła, że poleciała do przodu, rozcinając sobie czoło o kant fotela. Szarmancki Jarosław podbiegł do niej i podniósł. Stewardesa była półprzytomna i chyba tylko dlatego, kiedy próbował ją posadzić na fotelu, objęła go swymi długimi ramionami i pocałowała.

Lilka pojęła, że popełniła kolejny błąd, choć nie do końca rozumiała, jak mogło dojść do tego, że zjawiskowa stewardesa zakochała się w niepozornym Indykiewiczem.

VII

Niezwykły grudzień

Po gorącym listopadzie nastął jeszcze gorętszy grudzień. Według synoptyków był to najcieplejszy grudzień w całym stuleciu. Niektórzy posuwali się nawet do stwierdzenia, że może to oznaczać radykalną zmianę klimatu wywołaną ciągłym wzrostem emisji dwutlenku węgla, a także rozwojem przemysłu pornograficznego, który podniósł temperaturę człowieka w skali globalnej o jedną dziesiątą stopnia.

W Czechosłowacji dokonywała się „atłasowa rewolucja”, nasi bracia z południa lubili wówczas podkreślać, że o ile walka z komunistycznym reżimem zabrała Polakom dziesięć lat, Węgrom dziesięć miesięcy, to im wystarczyło dziesięć dni. Nie wiedzieli jeszcze, że pod koniec grudnia przebiją ich Rumuni, załatwiając sprawę w dziesięć godzin. Faktycznie, od 17 listopada, od demonstracji studentów na placu Św. Wacława brutalnie spacyfikowanej przez policję, do 27 listopada, kiedy odbył się w całym kraju strajk generalny, Czechy wkroczyły na ścieżkę szybkich zmian. Znikło widmo okrażenia Polski przez „chętnych do pomocy przyjaciół”.

Nic dziwnego, że polski Sejm rozpoczął debaty nad usunięciem przewodniej roli partii z konstytucji. Niektórzy z posłów przebąkiwali, że przy okazji można by zmienić całą konstytucję, ową zbiorową pracę Bolesława Bieruta i Józefa Stalina z roku 1952, której głównym pozytywem było to, że przez cały okres PRL-u była kompletnie nieużywana.

Pełną parą szły przygotowania do kolejnego zjazdu PZPR-u, choć zdecydowana większość członków zdychającej partii rozglądała się, jak wywabić wstydlivy epizod ze swojego życiorysu.

Wbrew przewidywaniom społeczeństwo dość cierpliwie czekało na pierwsze efekty reform. Szwendala ciągle cieszył się wielką popularnością mimo coraz częstszych uszczypliwości ze strony organu Adasia Pysznika drobiazgowo wyłapującego każdy lapsus i potknięcie, choć we wstępniakach zapewniającego o niezmiennej życzliwości dla „pierwszego niekomunistycznego rządu”.

Przejawem tej życzliwości była inicjatywa koncertów pod hasłem „Artyści na rzecz Rzeczypospolitej” mająca odwracać uwagę społeczeństwa od problemów inflacji, indeksacji i tym podobnych. Ale nie trudna sytuacja ekonomiczna stanowiła największe zmartwienie

Pyszniaka. Mimo prób lania oliwy na wzburzone fale coraz głośniej dawały znać o sobie oddolne nastroje rewindykacyjne. Pojawiało się coraz więcej publikacji na temat zbrodni lat komunizmu, i dopytywano się o rezultaty działań powołanej jeszcze latem tego roku komisji Piotra Magdy Boruty do zbadania zbrodni stanu oblężenia, których liczba z czasem przekroczyła setkę...

Niejeden ubek, obawiając się rozliczenia swoich ciemnych sprawek, pakował manatki, myśląc o prysnięciu za granicę, niejeden szykował *dossier*, z którym mógłby zjawić się u nowej władzy i uzyskać „okoliczności łagodzące”. Tyle że na tym odcinku „nową władzę” po starym reprezentował generał Czesław Kiszonka, więc trudno było u niego składać donos na niego.

Z początkiem miesiąca niepokoje czołowych tajnych współpracowników „imperium zła” były tak znaczne, że radca Gałganow musiał powziąć kroki uspakajające znerwicowaną trzódkę. Dysponując możliwościami bilokacji, spotkał się z najważniejszą trójką swoich współpracowników i z „Olinem” w saunie, „Minimem” na siłowni i „Katem” na basenie w hotelu Victoria. Wbrew obiegowym opiniom talentem pojawiania się w paru miejscach naraz dysponują nie tylko niektórzy święci. W dużo większym stopniu potrafią się nim posługiwać demony.

Czy Gałganow był demonem, czy tylko czasowo używał swego cielesnego skafandra diabelskiemu gościowi, sam nie mając o tym pojęcia, trudno orzec. W każdym razie prezentował się swym rozmówcom jako osoba spokojna i zdecydowana.

– Bez paniki, towarzysze! – powiedział – sytuacja jest pod kontrolą.

– Pod kontrolą? – sarknął „Minim”. – Wywożą nas na taczkach z zakładów, lżą z trybuny sejmowej. Niektórym roją się rozliczenia przed sądem.

– I niech się roją. Niech mają wrażenie, że oni i ich elektryk prowadzą defiladę. Dostali pełne garście blotek. Wszelako w naszych rękach pozostają wszystkie liczące się atuty. Wojsko, milicja i pieniądze.

– To się może zmienić – zauważył półgłosem jowialny zazwyczaj „Olin”.

– Na co zmienić, na kogo? Wyłącznie na was. Centrala podejmując operacje wielkiej wymiany kadr, przewidziała wszelkie plusy i minusy sytuacji. I mimo pozorów bałaganu nie jest ona wcale taka zła. Z jednej strony mamy opozycyjnych poczciwców, z których wielu uwikłanych jest we współpracę z SB, co w odpowiedniej chwili zawsze możemy ujawnić, z drugiej stoją zawodowcy drugiego i trzeciego szeregu. Mogą wrzucić Kiszonkę i Łysickiego, ale na ich miejsce przyjdą nasi kolejni generałowie po „worożyłowce” czy akademii imienia Frunzego. Oni też będą kształcić kolejne pokolenia. Żadnego ryzyka.

Jeszcze lepsze mamy perspektywy w ekonomii – nasi przeciwnicy nie mają kasy, a plan Walutowicza jej im nie doda, a przeciwnie – wysuszy rynek ze zbędnego grosza. W efekcie to wy będziecie beneficjentami transformacji ustrojowej. Dyrektorzy socjalistycznych zakładów pracy staną się ich właścicielami.

Prezesa państwowej telewizji można zmienić, ale na właścicieli prywatnej stacji, którymi zostaną nasi ludzie, nie będzie sposobu. Proste, towarzysze?

– Sądziś, Sasza, że oni o tym nie wiedzą? – odezwał się „Kat”.

– Nawet jeśli wiedzą, mają za krótkie łapki. A lada moment zaczną się kłócić między sobą na całego.

– A jak nie?

– No to – dodał z szatańskim uśmiechem – jak trzeba będzie, „znajdziemy pałę również na Szwendale”.

*

Że nie wszystkim było wystarczająco ciepło, dowodził wylot Michaiła Korbaczowa na południe. Celem jego podróży była Malta, gdzie miało się odbyć spotkanie z prezydentem Plushem. Po drodze sekretarz generalny odwiedził Watykan, gdzie po raz pierwszy przedstawiciel „imperium zła” miał się spotkać z namiestnikiem Chrystusa. – Na szczęście obyczaj całowania w pantofel został już zniesiony, bo naprawdę nie wiem, jak byśmy z tego wybrnęli – cieszył się szef watykańskiego protokołu.

Krążą opinie, że to właśnie na Malcie dokonał się nowy podział świata, a kraje demokracji ludowej ostatecznie przypadły Ameryce, jednak nie ma na to dostatecznych dowodów. Na pewno był to z jednej strony ważny krok na drodze do światowego odprężenia, a z drugiej strony prezydent USA mógł osobiście upewnić się, jak bardzo osłabł niedawny rywal w globalnej hegemonii.

– Wytrzyma jedną, góra dwie rundy – twierdził sekretarz obrony Dick Chimney, który obok wszelkich innych umiejętności znał się również na zasadach rządzących boksem zawodowym.

Może właśnie w skutek tych rozmów amerykańska delegacja zmieniła marszrutę podróży i poleciała do Warszawy.

Po skróconej do minimum części oficjalnej – nie udało się bowiem uniknąć składania wieńców, a także po spotkaniu w Sejmie i uroczystym obiedzie w Belwederze, na którym ku

zdumieniu znawców protokołu dyplomatycznego zabrakło gospodarza, Szwendala zwrócił się do prezydenta USA z nietypowym postulatem.

– Czy mógłbym mieć do pana prośbę? Chciałbym zwiedzić Air Force One.

– Ależ naturalnie – odparł George Plush. – Z przyjemnością będę pańskim przewodnikiem. Interesuje się pan lotnictwem?

– Trochę, ale to jedyne miejsce, w którym mam pewność, że nas nie podsłuchają.

I tak ku zgrozie doradców, a także samego profesora Hajduka, który twierdził, że rozmowy na pokładzie samolotu stanowiącego część obcego państwa to w jakimś stopniu utrata suwerenności własnego, Szwendala i Plush konferowali na pokładzie Boeinga bite pięć godzin.

Komunikat wydany po spotkaniu był tak ogólny, że nawet najbieglejsi badacze sceny politycznej potrafiący wróżyć z gestów, kolejności ustawienia prominentów na pamiątkowej fotografii czy z ilości wypalonych papierosów, nie mieli najmniejszego pojęcia, o czym tam była mowa.

Ciekawe, że prezydent USA nie zanocował w Warszawie. Może chodziło o to, aby nie spotkać się z Karuzelskim? Zresztą istnieją powody, dla których nieobecność generała w Warszawie tego popołudnia nie była wyłącznie dziełem przypadku.

*

Od pewnego czasu Kamil dostawał coraz poważniejsze zadania reporterskie. Okazało się, że posiada duży dar obserwacji i lekkie pióro pozwalające tchnąć życie w opis nawet banalnych oficjałek. Poza tym był kawalerem gotowym do pracy o każdej porze, i nic nie wskazywało, żeby jego w życiu osobistym miało dojść do jakiegoś przełomu. Nadal wspomnienie Kasandry było wystarczająco silne, aby immunizować go na inne uczucia, a także naturalne potrzeby ciała, zrozumiałe u dwudziestodwuletniego mężczyzny. Zresztą pozostawała Lucyna.

Zawsze wierna, zawsze chętna i cierpliwa. O każdej porze gotowa odgrzać dla Kamila śniadanie-obiado-kolację lub zaprosić do ciepłego łóżeczka.

Co gorsza, spotkania z nią nie wywoływały w Barczewskim jakichś szczególnych wyrzutów sumienia. Kasia była daleko, a redaktorka techniczna nie wymagała niczego. I z pewnością było to zdrowsze niż masturbacja.

To, że ktoś oddalony o kilkaset kilometrów może przypatrywać się ich erotycznej akrobatyce i zalewać rzewnymi łzami, nie przychodziło mu do głowy.

Na korzyść Lucyny przemawiała również jej postawa polityczna. Należała do nielicznych osób w redakcji, z którymi mógł normalnie porozmawiać. W „Ekspresie Wyborczym” trwała znamienna ewolucja – dawną radosną, rozbałaganą atmosferę przypominającą harcerski biwak zastąpiła zaostrzająca się dyscyplina. Zespół podzielił się na krąg „wtajemniczonych” mających dostęp do naczelnego i „wyrobników”. Podobnie zresztą kształtowały się zarobki. Coraz mniej było pierwotnego pluralizmu, a także spontanicznej koleżeńskości. Wypierała ją ideowa czujność, pojawiło się donosicielstwo, kopanie dołków jednych pod drugimi. Coraz częściej odchodzili dobrzy dziennikarze. Przeważnie ci, którzy mieli ochotę mieć własne zdanie, zwłaszcza jeśli nie pochodzili z określonego środowiska. Ku zdumieniu Kamila fakt, że matka zatrudniona była w „Sołdacie Swobody”, nie był wcale czynnikiem obciążającym. Przeciwnie. W środowisku, w którym aż roiło się od dzieci funkcjonariuszy UB, cenzury, informacji wojskowej czy tylko KC, jej rodowód robił korzystne wrażenie.

Poza tym jak dotąd nie zajmował się *stricte* polityką. A jeśli nawet, to ograniczoną do prostej relacji. Pod tym względem zazdrościł Andrzejowi, który dorobił się już własnej audycji radiowej, w której przepytывał polityków na rozmaite tematy. A że nigdy nie demonstrował własnych, poglądów (jeśli w ogóle je posiadał), przyłgnęło do niego przezwisko „Transparentny”. I wydawał się dziennikarzem idealnym. Na tym tle ukrywanie proszwendałowych sympatii przychodziło Barczewskiemu coraz ciężiej. Jednak zlecenie mu dziennikarskiej obsługi wypadu prezydenta Karuzelskiego na Śląsk z okazji Barbórki młody redaktor potraktował jako wyróżnienie. W podróży tej (co jeszcze bardziej podnosiło jej rangę) miał uczestniczyć również sam naczelny „Ekspresu Wyborczego” – Pysznik.

Kamil miał do towarzysza generała stosunek ambiwalentny – uwielbienie matki mieszało się z żarliwą nienawiścią dziadka przy byle okazjach recytującego słynny „bluzg” („Przebrzydła szumowino, pachółku moskiewski...”) złożony z samych epitetów. Prywatnie uważał, że prezydentowi należy się szacunek ze względu na zajmowaną funkcję i nic więcej.

Dlatego nieomal z bólem skonstatował w samolocie, że „Adaś” i „Wojtuś” są po imieniu.

Jednym z planowanych punktów tej wizyty miało być złożenie kwiatów pod krzyżem w kopalni Stryjek, gdzie w pierwszych dniach stanu oblężenia ludzie generała Ślepowrona strzelali do górników. Następnie przewidywano wręczenie jak co roku wysokich odznaczeń państwowych. W redakcji wymyślono nawet nazwę dla tej imprezy – „Święto Pojednania”.

Że może być ciężko, Barczewski zorientował się po przybyciu na miejsce.

Karuzelskiego przywitał milczący tłum górników, pikiety Centralizacji Polski Niepodległej i „Solidności Walczącej”. W głuchej ciszy przyjęto złożenie kwiatów. Ogromne

napięcie można było porównać jedynie ze stężeniem metanu w kopalni. Dlatego delegacja skróciła minutę refleksji do paru sekund i przeszła do świetlicy, w której wręczano odznaczenia.

Szło niezłe, aż do momentu kiedy jeden z odznaczanych, siwowłosy weteran, być może rówieśnik przodownika pracy Pstrokowskiego, pokryty medalami jak rosyjski marszałek, zawołał:

– A kiedy ukarze się winnych strzelania?

Zrobiło się cicho.

– Kiedy ukarze się winnych strzelania?! – zawołał powtórnie górnik..

Karuzelski otworzył usta, ale nim coś powiedział, weteran sięgnął po swe ordery, szarpnął je i rzucił na ziemię. Upadły z brzękiem. Błyskawicznie dopadli go BOR-owcy i próbowali obezwładnić. Stracił ich niczym niedźwiedź opędzający się przed gromadą psów.

– Precz z komuną! – wołał górnik.

Ceremonia transmitowana była przez głośniki na zewnątrz i ludzie natychmiast zorientowali się w incydencie. Tłum dotąd cichy zaczął skandować: „Masz krew na rękach”.

Zrobiło się nieprzyjemnie, zwłaszcza gdy okrzyki podchwyciła również tylnia część sali. BOR-owcy otoczyli ciasnym kordonem prezydenta, próbując wyprowadzić go bocznym wyjściem z budynku. Jednak zbity tłum stał wszędzie. Zawrócili. Okrzyki stawały się coraz natarczywsze, zaś pojawienie się oddziałów milicji wywołało tylko ludzką wściekłość. Zresztą w chłopakach, którzy przybyli, nie było walki. Nie minął kwadrans, a cały ich bojowy rynsztunek znalazł się w rękach tłumu, który milcząco zacieśniał krąg wokół budynku.

Naraz ktoś wrzasnął: – Karuzel pod sąd! – i już po chwili wołali tak wszyscy.

Próżno przed budynek z mikrofonem w ręku wychodził dyrektor kopalni, wojewoda i szef górnośląskiej „Solidności”. Zdeterminowani ludzie pozostawali głusi na ich coraz bardziej błagalne apele. Wreszcie w oknie na piętrze ukazał się sam Adam Pyszniak.

– Ludzie – zawołał przez ręczny megafon – to ja. Czołowy element antysocjalistyczny! Aadam Pyysznik. Waszpoposeł!

Po raz pierwszy od początku incydentu odezwały się nawet brawa. Adaś zrozumiał je chyba dość opacznie.

– Nie pozwólcie się manipulować prowokatorom – zawołał. – Wojciech Karuzelski to przecież prezydent nas wszystkich.

– Nie! – odpowiedzieli chórem zgromadzeni. I w tym momencie Pyszniak mógł się jeszcze wycofać. Jednak chyba nie miał takiego zamiaru.

– Budujemy państwo prawa – zawołał. – Nie chcecie przecież linczu?

- Chcemy! – odpowiedział mu wielotysięczny ryk.
- Ależ ludzie! Miejcie Boga w sercu! – krzyknął naczelny „Ekspresu Wyborczego”.
- A ty go masz? – padło od strony górników.

Coraz gorętszy dialog trwał parę minut, aż wreszcie pecyna błota ugodziła w twarz Adasia. Wrzasnąwszy: „Odpieprzcie się od generała!”, opuścił megafon i schronił się w głębi budynku.

Sytuacja z każdą chwilą robiła się gorętsza. Tłum nie miał zamiaru zdobywać swojej kopalni szturmem, ale nie ustępował, jeśli idzie o wypuszczenie prezydenta, domagając się jego samokrytyki i potępienia stanu oblężenia z 1981 roku.

W tym samym czasie w Warszawie generał Kiszonka rozważał wszelkie możliwe rozwiązania, skłaniając się do powtórki z historii, kiedy do jego centrum dowodzenia zadzwonił Lew Szwendała.

– Nie zamierzacie chyba użyć siły? – zapytał z niedowierzaniem.

– Tylko w wypadku skrajnej konieczności. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że życie prezydenta Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest w niebezpieczeństwie i musimy go wydostać.

– Ale nie za cenę ofiar! Jeśli dojdzie do użycia siły, jeśli po raz wtóry kopalnia Stryjek spłynie krwią, porozumienie Graniastego Stołu przestanie istnieć. I ja was nie uratuję.

– Co więc mamy zrobić. Jak mamy wydostać prezydenta?

– Użyjcie helikoptera! – poradził premier.

Jeszcze tego wieczora zdjęcie Jaruzelskiego wciąganego do helikoptera w nosidełku, które opuszczono na dach, obiegło wszystkie światowe agencje. Asystujący temu zabiegowi ludzie gwizdali i klaskali, a potem spokojnie rozeszli się do domów.

Kamil szybko wrócił do hotelu i napisał na maszynie relację o zdarzeniach pod Strykiem. Pobiegł do recepcji, chcąc ją wysłać faksem do redakcji, kiedy nagle wpadł na niego sam naczelny. Twarz miał opuchniętą, oczy przekrwione.

– Pokaż! I wyszarpnął mu tekst z ręki. Czytając, wydawał się puchnąć jeszcze bardziej niczym bojownik batalion w okresie godowym.

– Co to, kurwa, jest? – ryknął.

– Relacja – odparł spokojnie Kamil – minuta po minucie.

– Jaka relacja?! Dochodzi do ordynarnej prowokacji, ruchawki zorganizowanej przez ogarniętych nienawiścią warcholów, kto wie, czy nie inspirowanych przez zauszników Szwendały, a ty głupku, opisujesz to beznamiętnie jak wystawę gołębi pocztowych.

– Słyszałem, że na pierwszej stronie pójdzie pański komentarz, więc ograniczyłem się do faktów.

– Jakich, kurwa, faktów? Chcesz pokazywać ordynarną awanturę jako słuszny gniew ludu. Podważać porozumienie narodowe, pochwalać próbę samosądu? Rozdrapywać trudne zabliznione rany w imię brudnych interesów nacjonalistycznego ciemnogrodu?! Napisz to jeszcze raz... Pokaż mechanizm prowokacji, oczywiście bez tego ciskania orderami.

– Chyba nie potrafię – Kamil wiedział, że stawianie się naczelnemu grozi poważnymi konsekwencjami, ale nie miał wyjścia.

– Nie potrafisz? To kurwa, zrezygnuj z tej roboty!

– Właśnie to robię – sam dziwił się swojemu spokojowi. Wyjął z rąk Pysznika tekst i złożony na czworo, schował do kieszeni, po czym nie oglądając się, wyszedł w noc goniony przez wściekły wrzask:

– Zniszczę cię, zniszczę! Już cię nie ma!

*

Oczywiście zdjęcia z Karuzelskim w uprząży próżno było szukać w organie Adama Pysznika. Widać było za to zbliżenie się małej pikiety z obelżywym transparentem, a przez całą stronę biegł tytuł „Uwaga, prowokacja!”.

Tezy naczelnego były jasne. Linia porozumienia została zagrożona z dwóch stron, przez bliżej nieokreślony beton partyjny oraz przez skrajne żywioły nacjonalistyczne, których plugawą twarz można było zobaczyć przed Strykiem. Postawione też zostały mocne pytania wobec Szwendąły pod znamienym śródtytułem „Słabość państwa”.

„W tych dramatycznych chwilach zabrakło mi głosu polskiego premiera – pisał Pysznik – głosu, w którym odcinałby się od pałkarskiej mentalności ciemnogrodzkiej dziczy. Zabrakło mi odpowiedzialnej przestrogi przed budzeniem nastrojów odwetu i rewanzu. Od kilkunastu miesięcy nasz kraj stanowi natchnienie świata. Nasza pokojowa rewolucja obudziła kraje wschodniego bloku. Po latach zniewolenia i ukrywanej wrogości możliwe staje się polsko-rosyjskie pojednanie. Komu to przeszkadza, jakie demony kryją się za plecami ludzi, którym jest ciężko i którzy naturalną rzeczą koleją chcieliby łatwych recept i szybkich rozwiązań?”

Czy zadyma pod Strykiem była rzeczywiście prowokacją? Istnieją spore dowody, że mogło tak być, choć nie wiadomo, kto ją sprokurował. Sędziwy górnik, który wywołał całe zamieszanie, zapadł się jak kamień w wodę. Później okazało się, że nikt go nie znał. Nie było go wśród przeznaczonych do odznaczeń. Co więcej, nikt nie wiedział, jak się nazywał.

Szwendała oczywiście zdystansował się od działań chuligańskich, ale jednocześnie powiedział w wywiadzie dla TVP:

„Nie sposób nie słyszeć pytań, które zostały przy tej smutnej okazji zadane. Pytań o niezrekompensowane cierpienia ludzi, o nierozliczone zbrodnie. Budujemy szerokie porozumienie na gruncie prawa. Ale przez prawo należy rozumieć również elementarną sprawiedliwość wymagającą nazwania dobra dobrem, a zła złem”.

Tymczasem niepokoje zażegnane w jednym miejscu zaczęły odzywać się w innych, nasuwając myśl o jakiejś skoordynowanej akcji sił starego porządku. Uchwalenie z inicjatywy Wacka Turonia amnestii przez Sejm 7 grudnia zaowocowało w dniach następnych falą wystąpień i buntów, które na kształt pożogi przeszły przez mnóstwo polskich zakładów karnych. Dla wicepremiera Kiszonki stanowiło to w rozmowach ze Szwendałą świetny argument przeciw jakiemukolwiek majstrowaniu przy służbach.

Generał, który dotąd zgadzał się z potrzebą wprowadzenia do resortu jakiegoś cywilnego ministra, obecnie przekonywał, że jest na to za wcześnie, podobnie jak na jakiegokolwiek mocniejsze ruchy kadrowe.

„Groziłoby to kompletną destabilizacją państwa” – tłumaczył. Podobnie zachowywał się szef MON-u Florian Łysicki. Twierdził, że ze wszystkich garnizonów sygnalizowano mu niezadowolenie szerzące się w wojsku. Tylko on i jego ekipa byli zdolni panować nad nastrojami.

– Nie możemy wykluczyć próby jakiegoś puczu – niepokoił się Jarosław Indykiewicz.

– Nie możemy – zgadzał się z jego obawami Szwendała. – Dlatego musimy być na każdą ewentualność przygotowani.

W tych gorących dniach jeszcze bardziej wzrosła rola szwendałowych bliźniaków uzupełniających się nawzajem.

Lech umiejętnie kanalizował nastroje związkowców, wspierając tezę, że tylko dekomunizacja może doprowadzić do istotnej reformy państwa. Z kolei Jarosławowi mimo wielkich trudności personalnych udało się wymienić wszystkich wojewodów. Jego determinacji nie umniejszały wielkie zmiany, jakie zaszły w jego życiu osobistym. Po powrocie z Moskwy dopilnował przewiezienia rannej stewardesy do szpitala, potem odwiedził ją w lecznicy. A potem...

Zostawmy to kronikarzom z pism bulwarowych. Ku zaskoczeniu wszystkich ten zatwardziały stary kawaler pod wpływem zakochanej w nim dziewczyny zmienił się nie do poznania. A Ewa?... Zauroczenie lubczykiem nie trwało długo, ale dało czas na docenienie walorów niezauważalnych dotąd na pierwszy rzut oka. Sytuacja budząca zdumienie brata

i niepokój matki bliźniaków rozwijała się z szybkością lawiny, czego efektem było danie na zapowiedzi... Lawina polityczna też wydawała się ruszać.

Okazji do prawdziwej manifestacji nastrojów dostarczyła ósma rocznica wprowadzenia stanu oblężenia. 13 grudnia doszło w całym kraju do gigantycznej mobilizacji społecznej. Przez moment mogło się wydawać, że wrócił czas pamiętnego karnawału. Masowo wywieszano flagi, a mury pokryły się hasłami i transparentami. Związek Zawodowy „Solidność”, komitety obywatelskie, straż kościelna zorganizowały pokojowe marsze i nocne czuwania. W wystąpieniach Lwa słowo „pamiętamy” pobrzmiwało równie często jak zdanie „Wyciągnijmy wnioski”.

Praktycznym efektem było powołanie oddziałów Obywatelskiej Samoobrony, które miały przejąć część funkcji rozwiązanej właśnie ORMO. Jego komendantem głównym w drodze szerokiego konsensusu został były działacz CPN-u Romuald Szaromiotłow. Na próżno „Ekspres Wyborczy” ostrzegał przed ciagotami totalitarnymi. Wiele wskórać nie mógł. Nie miał już monopolu na rząd dusz. Tym bardziej że codzienna „Gazeta Obywatelska” powołana w połowie grudnia na bazie redakcji „Tygodnika Solidność” od razu zaczęła stanowić poważną alternatywę dla organu Pysznika. Który, jak doniosła Kamilowi Lucyna, coraz częściej wpadał w furję. Miał ku temu jeszcze dodatkowe powody – malały jego wpływy w rządzie. Kilka dni wcześniej po dramatycznej kłótni z grupy doradców premiera wycofał się Waldemar Kluczyński, a stanowisko to przejął kierujący się zupełnie inną logiką w ekonomii Jan Krzysztof Czerniak.

Z jego inicjatywy jako uzupełnienie „Planu Walutowicza” wszedł pod obrady Sejmu projekt powszechnej reprivatyzacji pozwalający oddać obywatelom mienie zagrabione przez komunistów, reforma rolna i pośpieszna, często absolutnie zbójcka nacjonalizacja.

– Gdyby się to udało – twierdził Pyza – mielibyśmy doskonały punkt startowy do odrodzenia polskiej klasy średniej.

Ale na razie udać się nie mogło. Zarówno Partia Słusznych Ludowców, która właśnie wróciła do dawnej nazwy, jak i postkomuniści twardo stawali okoniem.

Szwendała nie nalegał. Grał zręcznie, dociskając tam, gdzie mógł, i ustępując w punktach, w których powinien. Nawet korespondenci zagraniczni podziwiali elastyczność niedawnego robotnika. Nie wiedzieli naturalnie o dwóch znakomicie uzupełniających się duszach – tej odpowiadającej za koncepcję i tej niebojącej się czynu. Wśród tych rozsad i zwodów wiele wskazywało, że do łask premiera powrócił profesor Hajduk. W spotkaniach w cztery oczy Lew coraz częściej zwierzał mu się, jak bardzo męczy go urządowanie i nie marzy o niczym innym jak przekazaniu władzy w godniejsze ręce. I Hajduk, u którego

inteligencja szła w parze z zarozumiałością, łykał to i bez szemrania spełniał polecenia premiera, kierując klubem parlamentarnym.

Również towarzysz Mieczysław Krabik wierzył, kiedy premier przekonywał go, że do zachowania ładu w Polsce niezbędna jest lewa noga. „Polska wyłącznie prawicowa byłaby państwem zwichniętym” – zwierzał mu się Szwendala. „Bez was znalazłbym się na łasce tych prawicowych oszołomów” – powtarzał.

Najbardziej zaskoczony postawą Lwa był jednak Karuzelski. Kiedy zdenerwowany masowością akcji przeprowadzonych wieczorem 13 grudnia – szczególnie ulica przed jego willą zmieniła się w prawdziwe morze płonących zniczów – napomknął o możliwości swej dymisji, oczywiście za jakiś czas, ale na pewno przed końcem pięcioletniej kadencji. Szwendala zawołał:

– Ależ panie Wojciechu, niech pan tego nie robi, jest pan zwornikiem ładu i porządku.

– W takim razie dlaczego tolerowane są przez pański rząd te wszystkie ataki na mnie? – żalił się były dyktator. – Te pikiety pod moim domem. Bojówki atakujące lokale PZPR, artykuły w „tygodniku Solidność”, no i te gadzinowe reportaże w telewizji..

– To są wyłącznie zagrania symboliczne. Muszę pozwalać masom co nieco pohłasować, aby miały poczucie swej aktywności, ale równocześnie pozostawały pod moją kontrolą. –

– A te wszystkie żądania dotyczące sądzenia i rozliczania kierowane pod moim adresem?!

– Jako chrześcijaninowi obcy jest mi duch odwetu. A mając wybór, zamiast zemsty zawsze wybiorę miłosierdzie.

*

Nieco inne preferencje objawili w Rumunii. Dyktatura Ciałpopiesku padła, w momencie kiedy zorganizowany przez przydupasów dyktatora wiec poparcia na oczach kamer zmienił się w demonstrację protestu. Czy „Geniusz Karpat” padł ofiarą intrygi własnych służb? Czy może wmieszał się w to diabeł, wedle ludowych podań z Wołoszczyzny z zębami wampira i bladą twarzą psychopaty? Czy to on przekonał Nikolae i Elenę Ciałpopiesku do wyjazdu do Targoviste – miasta otoczonego wątpliwą sławą miejsca śmierci księcia Draculi?

W każdym razie pięćset lat po śmierci Vlada Palownika, 25 grudnia 1989, dyktator i jego małżonka, dwójka przerażonych starych ludzi, zginęła tam od kul plutonu egzekucyjnego. Jedynie Kasandra na małym telewizorku dostarczonym jej przez proboszcza widziała wśród członków rady rewolucyjnej charakterystyczną postać mężczyzny w meloniku.

– Cóż za potworna zbrodnia!! – szeptał zbielełymi ustami generał Karuzelski, rozmawiając na ten temat z Kiszconką. – Czy u nas byłoby to możliwe?

– Niemożliwe. Nikolae nie posłuchał Kremla i skonfliktował się z organami. No i nie wyhodował konstruktywnej opozycji... A u nas w nastroju pogody i pojednania wszyscy obchodzimy święta Bożego Narodzenia. A przy okazji ślub Jarosława Indykiewicza. Alleluja!

– Obyś się nie mylił, Czesiu.

– Ja się nigdy nie mylę, Wojtusiu. Wbrew pozorom posiadam dosyć środków zdolnych zdyscyplinować Szwendagę.

*

A jednak ostatnie dni roku również w Polsce przebiegły w tempie, jakiego nie znały dzieje. Normalnie czas między świętami a Nowym Rokiem to okres niekontrolowanego nieróbstwa i przedłużonego wypoczynku. W tym roku było inaczej. 27 grudnia – pod wrażeniem wydarzeń w Rumunii – generał Kiszconka zaproponował w Sejmie uzgodniony ze Szwendagę projekt nadzwyczajnych uprawnień dla rządu, w tym wydawania dekretów z mocą ustaw. Przyjęto je w obu Izbach po krótkich targach, zastrzegając, że obowiązywać mają najwyżej dwieście dni i każdorazowo będą wymagały akceptacji urzędującego prezydenta. Mimo zastrzeżeń wysuwanych przeciwko nim nawet w klubie OKP przyjęto je znaczną większością głosu.

28 grudnia Sejm przyjął „Plan Walutowicza”. Do sprawy reprivatyzacji nawiązywało zaledwie kilku mówców. Ale autopoprawki w tej sprawie zostały wycofane. Nazajutrz w atmosferze radosnego uniesienia rozpoczęto wprowadzanie kolejnych zmian do konstytucji, zmieniając nazwę kraju na Rzeczpospolita Polska i usuwając raz na zawsze kierowniczą rolę partii. Herbowy orzeł odzyskał koronę, co większość zebranych skwitowała odśpiewaniem hymnu narodowego. Kwadrans przed północą zmęczony marszałek Tatarowicz ogłosił przerwę, po czym mogło się wydawać, że obrady zostaną przerwane aż do przyszłego tygodnia, choć nikt formalnie nie zakończył sesji. Cześć posłów z prowincji niewtajemniczonych w spisek bezzwłocznie ruszyła do swych pieleszy.

Trudno o większą pomyłkę. Trzy kwadranse później wicemarszałek Olga Perzanowska wznowiła obrady. Na sali zabrakło kilkudziesięciu posłów głównie z PZPR-u i PSL-u, którzy rozjechali się do domów. Pozostało jednak quorum. Perzanowska, lekarka i działaczka „Solidności”, córka legendarnego dowódcy AK z Wileńszczyzny, zgłosiła dwa uzupełnienia

do porządku dziennego – wysłuchanie wystąpienia prezesa Rady Ministrów i podjęcie uchwały specjalnej.

Powszechnie sądzono, że będzie to jakiś akt o charakterze symbolicznym. Tak więc owo rozszerzenie przeszło bez głosów sprzeciwu.

Jednocześnie obradujący pod przewodnictwem marszałka Andrzeja Stelmaszczyka Senat, który zatwierdził dotychczasowe uchwały Sejmu, tak aby mogły wejść w życie z początkiem Nowego Roku, w komplecie pojawił się na sali plenarnej. Ci z wytrwałych telewidzów, którzy pozostali jeszcze przy odbiornikach, ze zdumieniem zorientowali się, że zwyczajna sesja przekształciła się w obrady Zgromadzenia Narodowego.

Szwendała, który wypił dwie kawy, mimo że była to dla niego, rannego ptaszka, pora niezwykle późna, robił zdumiewająco świeże wrażenie.

– Szanowni państwo, rodacy – zagaił – dobiega końca ten dramatyczny rok, w którym nasz naród odzyskał upragnioną wolność utraconą w wyniku agresji zbrojnej dwóch złowrogich potęg we wrześniu 1939 roku. Utraciliśmy wtedy suwerenność, ale nie utraciliśmy woli walki. Nie utraciliśmy też symbolu, którym byli urzędujący w Londynie prezydent i rząd Rzeczypospolitej.

W ostatnich dniach podejmowaliśmy wspólnie rozliczne wysiłki celem poprawienia Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Dziś możemy stwierdzić, że były to zabiegi dosyć jałowe, jako że ilość wad przeważała w niej nad zaletami. Jednak dzięki waszej decyzji od wczoraj Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej już nie ma. Jest Rzeczpospolita Polska. Ta sama, która odrodziła się w 1918 roku.

Rozmawiałem z prawnikami, z doradcami, wreszcie z przedstawicielami społeczeństwa. I jedna nasuwająca się wykładnia w świetle prawa międzynarodowego i krajowego jest oczywista. Druga Rzeczpospolita nigdy nie przestała istnieć i w sensie prawnym trwa nadal mimo komunistycznej uzurpacji pozbawionej jakiegokolwiek legalizmu. Jednak dla uniknięcia nieporozumień i chaosu zwracam się do Zgromadzenia Narodowego o podjęcie stosownej uchwały uznającej twój nazwie PRL, narzucony nam przez obce mocarstwo oparty na sowieckich bagnetach, za od początku nieważny, i ogłoszenie restytucji II RP wraz z obowiązującą konstytucją z kwietnia 1935 roku. Proponuję przegłosowanie tej kwestii niezwłocznie, tak abyśmy Nowy Rok powitali w całkowicie wolnym państwie.

Podniosła się radosna wrzawa wśród nielicznych głosów protestujących. Do mównicy rwał się bezskutecznie Adaś Pysznik, jeden z niewielu obecnych który przejrzał zamysł Szwendwały ucichły w ogólnym radosnym tumulcie... Najpierw przegłosowano większością

trzystu pięćdziesięciu głosów przy obecności czterystu piętnastu posłów i senatorów propozycję, że wniosek zostanie przyjęty bez dyskusji.

Później odbyło się głosowanie właściwe. Większość z czterystu jeden posłów była „za”, reszta wstrzymała się od głosu.

– Właśnie pomogliśmy Szwendale zabić demokrację – powiedział Pysznik do Wacka Turonia. Ten jednak zmożony herbatą z termosu już od kilku minut chrapał na pulpicie. Naczelnym „Ekspresu Wyborczego” rozejrzał się dookoła. Z czego cieszyli się ci wszyscy ludzie, rozpromieniony Cebulak, uśmiechnięty od ucha do ucha reżyser Łajda, aktor Andrzej Łempicki, którego głos dla wielu kojarzył się z kronikami filmowymi lat stalinowskich. Z tego, że nawet o tym nie wiedząc, właśnie przestali być posłami i senatorami?

*

Niewiarygodne, ale prezydent PRL-u Wojciech Karuzelski przespał ów dziejowy moment. W sensie dosłownym. Sądząc jak wielu obecnych w Sejmie tego dnia, że sesja dobiegła końca, wrócił do domu i położył się spać.

Koło pierwszej obudził go dzwonek do drzwi. Ze zdumieniem zorientował się, że przed domem stoją jedna kobieta i dwóch mężczyzn. Kobieta była Olga Perzanowska, wicemarszałek Sejmu. Oprócz niej weszli do środka Piotr Kpina Nowotka odkomenderowany przez Szwendalę do jego kancelarii i zastępca szefa Biura Ochrony Rządu, mianowany ledwie przed tygodniem pułkownik Mirosław Rozgowor. Przed laty z ramienia UB opiekun Szwendali.

– Co się dzieje? – wymamrotał rozespany generał. – Wybuchła wojna?

– Jestem zobowiązana do przekazania panu prezydentowi nadzwyczajnej uchwały Zgromadzenia Narodowego – powiedziała Perzanowska.

– To nie może poczekać? – w głosie Karuzelskiego zabrzmiała irytacja.

– Nie może – wtrącił Kpina Nowotka, a pani wicemarszałek ciągnęła dalej:

– Zgromadzenie Narodowe podjęło uchwałę o restytucji Rzeczypospolitej Polskiej...

– To wiem.

– Łączy się to ze zmianą regulacji prawnych. Wszystkie akty konstytucyjne wydane w kraju po roku 1944 straciły moc. I aktualnie naszą podstawą ustrojową jest konstytucja z 1935 roku.

– Ale co to oznacza dla mnie? – coś zaczęło świtać w głowie generałowi. – Jestem prawnie wybranym prezydentem.

– Prezydentem PRL-u. Państwa, które w dniu wczorajszym przestało istnieć.

– A co jest w zamian? Próżnia polityczna? Idąc waszym rozumowaniem, to Zgromadzenie też nie ma racji bytu – podobnie jak premier Szwendała generał powoli odzyskiwał zdolność argumentacji.

– Jest prezydent na uchodźstwie – powiedział Kpina Nowotka – prawny dziedzic Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Pan Ryszard Gęsiarowski. Odpowiedzialny wyłącznie przed Bogiem i Historią.

Wojciechowi Karuzelskiemu przypomniał się sympatyczny starszy pan mówiący przedwojenną kresową polszczyzną, którego miał przyjemność spotykać przy paru okazjach i traktować jak zabytek, a nie podmiot polityki.

– To jakieś szaleństwo – wyksztusił. – Staniemy się pośmiewiskiem świata. Nie mogę tego przyjąć do wiadomości!

– Bardzo mi przykro, panie generale, ale jesteśmy jedynie posłańcami. I to wszystko, co mieliśmy panu do zakomunikowania – powiedział Kpina Nowotka.

Potem wyszli, pozostawiając jedynie pułkownika Rozgowora.

Tymczasem Karuzelski podbiegł do telefonu. Parę słów do Kiszunki i wszystko się wyjaśni. Niestety w słuchawce dzwoniła głucha cisza.

– W trosce o bezpieczeństwo państwowe pańska linia została odłączona – poinformował Rozgowor.

„Czegoś jednak się ode mnie nauczyli” – przemknęło zdymisjonowanemu prezydentowi. Tymczasem Rozgowor podszedł bliżej.

– Wyjmie pan spluwę i mnie zastrzeli?

– Ależ nie, panie generale... Chciałem jedynie przekazać prywatną sugestię premiera Szwendały. W obawie o pańskie bezpieczeństwo, nie mogąc zapewnić należytej ochrony każdej osobie prywatnej, sugeruję, żeby czasowo pan opuścił kraj. Wzburzenie społeczne jest duże, a samosąd byłby ostatnią rzeczą, na której by mu zależało.

Zimny strach ucapił za gardło generała.

– Co chcecie ze mną zrobić? – wyksztusił.

– Poniżej pałacu Królikarni czeka helikopter. Pan generał zostanie bezzwłocznie wywieziony za granicę. Ma pan pięć minut na zabranie żony i córki.

– Chcecie mnie wysłać do Rosji?

– Ze względów prestiżowych premier Szwendała sugeruje neutralną Szwecję. A gdzie zechce się pan udać dalej... Pański wybór.

– Rozumiem, że innego wyboru nie mam – suchość w gardle jeszcze się pogłębiła.

– O ile wiem, posiada pan jeszcze służbową broń w nocnej szafce.

*

Tylko „Gazeta Obywatelska” zdołała w swym nadzwyczajnym sobotnim wydaniu poinformować, co się stało. „WITAJCIE W II RZECZYPOSPOLITEJ!” – głosił wstępniak napisany przez Jarosława Indykiewicza. Drugi tekst głosił: „Prezydent RP Ryszard Gęsiarowski zwrócił się do Lwa Szwendaty o kontynuowanie misji jego rządu aż do wyborów parlamentarnych, które winny odbyć się nie dalej jak w ciągu trzech miesięcy”.

Obok znalazło się zdjęcie i życiorys prezydenta Gęsiarowskiego oraz odesłania do konstytucji kwietniowej, której tekst można było przeczytać wewnątrz numeru. Na samym dole znajdował się wytłuszczony komunikat: „Były prezydent Wojciech Karuzelski opuścił kraj”. Dopiero z materiałów wewnątrz numeru posłowie X kadencji i senatorowie I Senatu zorientowali się, że likwidując PRL, równocześnie sami siebie pozbawili roboty.

*

Krótko przed północą w sylwestra Kamil z butelką szampana zajrzał do dziadka. Ignacy Barczewski powitał go w mundurze, przy orderach. Jego twarz porwana bruzdami, w których można było zauważyć wszystkie nieszczęścia spadające na Rzeczpospolitą w dwudziestym wieku, promieniała.

– Dożyłem – powiedział krótko. – Teraz mogę spokojnie umrzeć!

– Ależ dziadku – zaprotestował wnuk – przy dziadka kondycji czeka dziadka co najmniej dziesięć świetnych lat.

– Nie wiem, czy tak bardzo tego chcę – odparł starszy pan. – Za dobrze znam swoich rodaków, a poza tym obawiam się, że przydział cudów na bieżące stulecie właśnie się kończy. Chcę odejść, widząc, że sprawy idą w dobrym kierunku, niż gryźć się, widząc, jak znowu wszystko marnujemy.

Czekając na wybicie godziny dwunastej, pociągnął go do okna z widokiem. – Wiesz, czasami kiedy w nocy nie mogę spać, wyobrażam sobie przyszłość. Widzę tę ulicę – wskazał za okno – pełną wieżowców i kolorowych neonów. I wiesz, że w moich snach nosi ona nazwę Jana Pawła II. A kiedy indziej... – urwał, i stary zegar na komodzie, a po nim wszystkie inne zaczęły bić godzinę dwunastą. – Za ten nowy rok 1990, za Polskę! – wznosił kieliszek Ignacy.

– Za twoje zdrowie – Kamil objął go serdecznie, a w myśli dorzucił: „Za mnie i za Kasandrę”.

Nie mógł przepuszczać, że jego ukochana była z nimi. A ściślej mówiąc, doskonale widziała ich w myślach. I płakała, ponieważ знаła przyszłość.

*

Fajerwerki za oknem obudziły Tadeusza Małopolskiego z czteromiesięcznego snu. „Rozstrzeliwują mnie?” – pomyślał. „Wiedziałem, że tak to się skończy” – nie czuł jednak bólu, a jedynie ogólne osłabienie. Z najwyższym trudem otworzył oczy. Wzrok powoli przyzwyczajał się do przygaszonego światła.

– Wody! – wymamrotał. Dyżurna pielęgniarka poderwała się na równe nogi.

– Obudził się pan, panie premierze. Dzięki Bogu.

Tytuł, którym go powitała, błyskawicznie przywrócił mu pamięć. Choć niezupełnie.

– Co się ze mną stało? – zamruczał.

– Stracił pan przytomność podczas wygłaszania *exposé* w Sejmie – wyjaśniła kobieta.

– W takim razie muszę natychmiast wracać na salę – próbował się podnieść na łóżku. – Tam na mnie czekają.

– Oczywiście, że czekają, ale wcześniej musi pan całkowicie wydobrzeć. Trzeba najpierw zrehabilitować mięśnie.

– Długo spałem? – zapytał półprzytomnie.

– Prawie cztery miesiące.

– Jezus Maria! – westchnął pacjent, po czym w nastroju obywatelskiej troski zapytał: – Co się dzieje w kraju?

– Wszystko idzie ku dobremu – odpowiedziała kobieta.

– Ale kto mnie zastępuje na stanowisku prezesa Rady Ministrów?

– Jak to kto? Lew Szwendała.

„Tylko nie to” – Małopolski przymknął oczy. Wizja chłopka roztropka rządzącego blisko czterdziestomilionowym krajem była zbyt przerażająca, aby mogła być prawdziwa. Może więc nadal śnił?

Uchylił ostrożnie oko. Pielęgniarka pochylająca się nad nim nie przypominała postaci wirtualnej.

– Wszystko w porządku? – upewniała się.

– Ze mną tak. Ale co z krajem? Jak układają się stosunki pomiędzy premierem a prezydentem?

– Trudno powiedzieć. Prezydenta mamy dopiero od wczoraj.

„Od wczoraj. Czyżby Karuzelski umarł?” – różne pomysły krążyły mu pod czaszką.

– Kto nim jest? – zapytał.

– Ryszard Gęsiarowski. Przywrócono II Rzeczpospolitą.

I w tym momencie Małopolskiemu przemknęła przez głowę straszna myśl: „Że może lepiej było się nie budzić”.

VIII

Przewrót styczniowy

W nowym roku 1990 Polacy otworzyli oczy w innym kraju. Na razie tylko z nazwy. Jeśli idzie o resztę elementów składowych, był to ten sam kraj. Brudny, zaniedbany, zdewastowany i zadłużony po uszy. Do nielicznych pozytywów zaliczyć można było wolne, pluralistyczne media, możliwość swobodnej działalności gospodarczej (jeśli ktoś miał pieniądze) i wymienialną walutę. Dolar został wprowadzony wywindowany na niebotyczny poziom 10 000 złotych, ale każdy mógł go sobie kupić i wywieźć. Gdyby chciał.

Co więcej? Od dwóch dni mieliśmy prezydenta, którego większość po raz pierwszy zobaczyła na oczy w sobotnie południe, podczas wręczania Szwendale ponownej nominacji na premiera. Prezydenta o władzy nieomal absolutnej, gdyby tylko zechciał z niej korzystać. Władnego powoływać rząd, odwoływać Sejm, mianować sędziów, a nade wszystko rządzić za pomocą dekretów. Nawet nadzwyczajne uprawnienia przyznane przez Sejm premierowi przeszły teraz na prezydenta, a premier posiadał jedynie prawo do kontrasygnaty.

Dla Kamila najważniejsza zmiana polegała na podjęciu nowej pracy. Dziadek przez jakieś swoje konspiracyjne kontakty poznał go z panią Teresą, która właśnie organizowała dział reportażu w „Gazecie Obywatelskiej”. Kobieta rzuciła okiem na parę tekstów i stwierdziła:

- Chyba się nadasz!
- Ale ja byłem w „Ekspresie Wyborczym” – wyznał z lekkim zawstydzeniem.
- Wielu z nas przechodziło tę kłopotliwą chorobę. Ważne, żeby nie było recydywy.

Faktycznie już po paru dniach pracy zorientował się, że w redakcji „GO” jest co najmniej kilku wyrzutków, którzy w ostatnich miesiącach w mniej lub bardziej dramatycznych okolicznościach rozstali się z Adamem Pysznikiem. Jednak najbardziej zdumiał go młody stażysta, na którego wpadł pierwszego dnia swojej pracy.

- Jurek?
- Kamil?! Kurczę blade, co za przypadek!

„Gazeta Obywatelska” była ostatnim miejscem, w którym spodziewał się spotkać Jurka Jarząbka. Nie widzieli się od co najmniej czterech lat. I trudno powiedzieć, żeby Kamil przeżywający swoją metamorfozę tęsknił za dawnym przyjacielem. Trochę zaskoczyło go, że

syn oficera SB należy teraz do czołówki młodych dziennikarzy prawicowego dziennika, ale Jerzy wyjaśnił mu po pierwsze, że ojciec dobry rok temu odszedł ze służby i rozpoczął pracę w firmie ochroniarskiej, a poza tym są mocno skłóceni.

– Parę lat spędzonych w rewolucyjnym klimacie polskiego Wybrzeża sprawiło, że patrzę na ten świat zupełnie innymi oczami – twierdził.

I faktycznie w jego materiałach było mnóstwo żaru prawdziwego neofity. Wkrótce okazało się, że Jarząbek udziela się w duszpasterstwie akademickim, należy do „Strzelca”, a w czasie dyskusji przy piwie potrafi antagoniście zdrowo przyładować piąchą.

Nie minęło kilka dni, a ich szkolna trójka wróciła do tradycji wspólnych spotkań i długich dyskusji, w których Jurek odgrywał rolę prawicowego hunwejbina, Kamil rzecznika umiaru i postępu w ramach prawa, a Andrzej przeważnie milczał i płacił za wszystkich.

Amelia, która właśnie powróciła z sanatorium, przyjęła wiadomość o nowej pracy syna z rezygnacją.

– Chcesz skończyć jak ojciec! – powiedziała z głębokim westchnieniem.

– Czyli jak?

– Zmarnować sobie życie.

Nie wytrzymał:

– Jeśli mama uważa, że praca w wolnej, stuprocentowo polskiej gazecie, to marnowanie sobie życia a wysługiwanie się ruskiej agenturze w „Sóldacie Spokoju” to szlachetny przykład samorealizacji, mogę tylko pogratulować mamie samopoczucia.

Wbrew pozorom jego rodzicielka nie poszła na wymianę ciosów. Zaczęła płakać. Zrobiło mu się okropnie przykro. Podeszedł i próbował ją przytulić.

– Przepraszam, mamó, przeszarżowałem!

Nie odtrąciła go. Płakała coraz bardziej. A potem ni z tego, ni z owego zaczęła mówić:

– I co ja mam teraz zrobić? Nie potrafię zacząć życia na nowo w innym miejscu. Co gorsza, część naszego zespołu domaga się zmiany tytułu na „Oręż Polski” oraz kompletnej reorientacji pisma. I pewnie wygrają!

– No i co z tego, że wygrają? Nie rozumiem, czym się mama tak martwi? Z orłem w koronie podobnie jak bez zawsze istnieć będą „zielone garnizony”.

Zauważył, że to ostatnie sformułowanie trochę ją uspokoiło.

*

Nie tylko Amelii Barczewskiej zawałił się świat.

Adam Pysznik po wydarzeniach z końca roku pozostawał w stanie dziwnego rozdwojenia. Uchyliwszy się od oficjalnego komentarza na łamach gazety, w prywatnych rozmowach nazywał przeprowadzoną operację „parlamentarnym zamachem stanu”. Z tego, co opowiadała Kamilowi Lucyna, wynikało, że rzadko bywał w redakcji i praktycznie nikt nie wiedział, co robi całymi dniami i nocami. Jeśli już się pojawiał, bywał wściekły, niedospany i niedomyty. Pracował nad jakąś nową strategią, postanowił napisać fundamentalne dzieło? W każdym razie tolerował zastanawiający pluralizm na swych łamach. Nawet jego ulubiony autor Andrzej Cebulak przywołał w swym komentarzu przykład Konstytucji 3 Maja, też ogłoszonej pod nieobecność znacznej liczby przeciwnych jej posłów.

Nikt zresztą nie wiedział, co z tego wyniknie. Przez łamy gazet i studia telewizyjne przewalały się tabuny konstytucjonalistów, a każdy zabierał głos z absolutnym przekonaniem co do własnych racji. Stanowiska prezentowano skrajne. Przeciwnicy przywrócenia konstytucji kwietniowej twierdzili, że unieważnienie PRL-u anuluje wszystkie wydane w jego dobie akty, łącznie ze ślubami cywilnymi, tytułami profesorskimi czy dokumentami kupna sprzedaży. Inni znawcy prawa uważali, że dotyczy to jedynie sfery władzy, a i to w granicach rozsądku.

A byli posłowie i senatorowie do niedawna zasiadający w ławach parlamentu? Bardziej niż jałowy protest pociągała ich perspektywa rozpoczynającej się kampanii. W końcu za trzy miesiące wyznaczono pierwsze wolne wybory. Wcześniej miała rozegrać się pierwsza naprawdą konkurencyjna kampania wyborcza.

Tymczasem jak grzyby po deszczu powstawały partie polityczne. Wicepremier Indykiewicz patronował nowej formacji o nazwie PCV (Porozumienie Centryistów Victoria), którym zamierzał pokryć cały kraj, elementy katolicko-narodowe pod wodzą Antoniego Macierenki i mecenasa Wiesława Musztardowego skupiły się w Chrześcijańskiej Unii Jedności. Jednak ze względu na nieobyczajny skrót szybko zmieniono nazwę na Partię Chrześcijańsko-Narodową. Młodzież masowo garnęła się do Centralizacji Powszechnej Narodu Leszka Sikulskiego i Krzysztofa Kniazia. Z dużym impetem wystartowali liberałowie z Trójmiasta tworzący Polską Partią Liberalną, dowodzeni przez Jana Krzysztofa Czerniaka i młodego sympatycznego człowieka o oryginalnie brzmiącym nazwisku Ronald Duck. Szwendająca kokietowany przez wszystkie nowopowstające siły nie angażował się w żadną. Choć lubił się pokazywać w Unii na Rzecz Postępu, gdzie liderowali Turoń, Pysznik i Hajduk.

– Najbardziej odpowiada mi stanowisko arbitra – twierdził. – Uporządkuję kraj, a potem pojedę na ryby.

Tymczasem prezydent Gęsiarowski mocą swego urzędu przedłużył żywot gabinetowi Szwendąły, a ten o dziwo nie wystąpił o żadne zmiany na stanowiskach ministerialnych. Może zdawał sobie sprawę, że próba eliminacji Kiszonki czy Łysickiego groziła natychmiastowym puczem. A kogo w razie próby sił mógłby im przeciwstawić, ochotników z Obywatelskiej Samoobrony, kilkudziesięciu BOR-owców?

Owszem, pojawili się nowi wiceministrowie Antoni Macierenko w MSW czy Wronisław Gomorrowski w MON-ie, ale otrzymali stosunkowo mniej ważne pionki i dopiero poznawali resorty niedopuszczani do poważniejszych tajemnic.

A jednak już po paru dniach Macierenko zgłosił premierowi fakt niszczenia akt w jego resorcie. Proceder selekcji rozpoczął się jesienią i trwał w najlepsze. Szwendąła bezzwłocznie zwrócił się w tej sprawie do generała Kiszonki.

– Rozmawialiśmy na ten temat jeszcze w listopadzie... – zaczął Lew – miał pan powstrzymać ten proces.

– Rutynowe brakowanie dotyczyło tylko przeterminowanej makulatury – zaręczył generał.

Szwendąła przyjął jego tłumaczenie do wiadomości, ale poprosił Macierenkę o wnikliwsze zainteresowanie się sprawą, do czego tego w czasach młodości miłośnika „tupamaros” i Che Guevary nie trzeba było namawiać.

Na obstrukcję w resorcie skarżył się również Piotr Magda Boruta, którego próby wyjaśnienia tajemnic zbrodni PRL-u natrafiały na zмовę milczenia.

– Odrobinę cierpliwości – uspokajał go Szwendąła – wyłapiemy ich wszystkich.

Boruta nie mógł pojąć źródeł tego optymizmu.

Tymczasem wieści o wybudzeniu Małopolskiego spowodowały całkiem nową sytuację. „Kto właściwie jest naszym premierem?” – zapytał w swym komentarzu Pysznik, przypominając, że we wrześniu Szwendąła zgodził się jedynie na zastępstwo na czas choroby pana Tadeusza. 4 stycznia razem z Wackiem Turoniem i profesorem Hajdukiem zjawił się w klinice rządowej.

Zastali Małopolskiego w niezłej formie. Może nie tryskał szczególną energią, ale tryskanie nigdy nie było jego specjalnością.

– Musimy zdecydować – mówił Turoń – obalamy Szwendąłę już teraz czy zrobimy to w wyniku ogłoszonych na 25 marca wyborów.

– Ja bym poczekał – powiedział Małopolski, który w ciągu paru dni przeczytał wszystkie możliwe gazety i całkiem nieźle orientował się w sytuacji. – Występując już dziś,

musielibyśmy połączyć swe siły z postkomunistami i to jeszcze przed ich przekształceniem w demokratyczną lewicę.

– To prawda – zachrypiał Turoń. – Poza tym chwilowo Szwendąła ma za sobą ulicę i te wszystkie rozmaite bojówki. Ale za trzy miesiące przy dalszym zaciskaniu pasa nastroje się zmienią i nasza Unia na Rzecz Postępu bez trudu wygra wybory. Wtedy wspólnie z odrodzoną lewicą pozbędziemy się Szwendąły.

– Nie będzie to łatwe na gruncie tej konstytucji – powiedział, skubiąc brodę, Hajduk.

– Tym większa rola naszego mistrza uwodzenia – Turoń trącił łokciem Pysznika. – Już dziś powinien zacząć zaprzyjaźniać się z prezydentem Gęsiarowskim. Hej, coś ty taki markotny?

– Dużo pracuję – odparł redaktor. – A co do Gęsiarowskiego. Zapewne odnotowaliście, że udzielił mi wyjątkowo ciepłego wywiadu. Zauważyłem, że nie jest specjalnie pazerny na władzę i wydaje się mocno przytłoczony tym ogromem odpowiedzialności przed Bogiem i Historią... Zwłaszcza że – tu zaśmiał się – połowa ministrów nie wierzy w Boga.

– No więc kiedy jeszcze dotrze do niego, że Szwendąła traktuje go jak kolejny zderzak, aby samemu wcisnąć się na jego miejsce, może znajdzie w sobie z naszą pomocą instynkt wojownika – zatarł ręce Turoń.

– Może tak, może nie – powiedział Hajduk, który starał się w ostatnich dniach zachowywać dystans między poszczególnymi ośrodkami politycznymi. – O wiele bardziej martwi mnie możliwość przewrotu. Kierownictwo wojska i SB wygląda na mocno spanikowane, a nie ma gorszego doradcy niż strach...

– Bez wsparcia Moskwy nie dadzą rady dokonać puczu – odezwał się Małopolski – a Michaił Siergiejewicz chyba definitywnie postawił na naszego Lwa.

– Tyle że Michaił sam ma pozycję zagrożoną. Pribałtyka się burzy. Bielcyn chce odgrywać coraz bardziej samodzielną rolę. A siłowniki tylko czekają, aby zawrócić Rosję w stare sprawdzone koleiny. Pewnego dnia pieriestrojka może się skończyć. A wtedy biada nam wszystkim, niezależnie od naszego stopnia zaangażowania – podsumował Hajduk.

*

Dziwne zmiany zachodzące u redaktora naczelnego „Ekspresu Wyborczego” miały swoje głębokie uzasadnienie. Nie tylko Adaś był mistrzem uwodzenia, można stwierdzić, że generał Kiszonka był w te klocki lepszy.

Od negocjacji w willi MSW w podwarszawskiej Małgorzatce, przez obrady Graniastego Stołu, po coraz częstsze spotkania jesienią 1989 roku stosunki dwóch wielkich antagonistów stały się wręcz przyjacielskie. Pysznika zawsze fascynowały kulisy dziejów, poza tym był jednym z najtrwalszych kolekcjonerów bruderszaftów, i jak twierdzono, nie był „na ty” wyłącznie z polskim papieżem i królową angielską, choć co do królowej nikt głowy by nie dał.

Kiszonka, od pewnego czasu Czesiek, miał dla Adasia afrodyzjak, który dozował w niewielkich dawkach, które z czasem powoli zwiększał – wiedzę tajemną o ludziach i mechanizmach. Zaczęło się od niedyskrecji. Później w trakcie popijawy pokazał mu „kronikę rodzinną” – wyciąg dokumentów na Pysznika, jego ojca i brata, ongiś stalinowskiego oprawcę przebywającego na emigracji w Szwecji.

Jeszcze przed Bożym Narodzeniem chyba w charakterze prezentu zaproponował mu prywatną kwerendę w archiwach bezpieki.

– Przyda ci się, kiedy będziesz chciał spisywać kronikę naszych czasów – powiedział.

I Pysznik wsiąkł po uszy, które z każdym dniem stawały się większe i bardziej czerwone. Dokumenty okazały się porażające. Liczba prominentnych postaci uwikłanych w tajną współpracę szła w setki. Byli tam zasłużeni działacze opozycji, wybitni publicyści i literaci, księża, a nawet weterani bojów z komuną.

Jakże bolesne było znajdować wśród kapusiów i krytyka Krwawicza, i pisarza Cebulaka, i tylu ludzi bliskich, zaprzyjaźnionych, współpracujących. A przecież nie miał złudzeń, Czesio pokazywał mu tylko starannie wybraną część swych archiwów.

– Tto jajjakaś paranoja! Łajdackie konfabulacje twoich agentów – zaczął wołać na kolejnym spotkaniu.

– Gdyby tto wypłynęło na światło dzienne, mmołoch zacząłby gadać, że przy Graniastym Stole spotykali się wyłącznie tatajni współpracownicy i ich oficerowie prowadzący.

– Z chlubnymi wyjątkami – uśmiechnął się Kiszonka. – Ale czego się spodziewałeś? Że moje służby, które od chwili dojścia do władzy Korbaczowa brały pod uwagę obecny wariant, nie poczyniły elementarnych przygotowań? Byliśmy co prawda łajdakami. Ale nie durniami.

– To nie może ujrzyć światła dziennego, trzeba to zniszczyć, spalić lub przynajmniej zabetonować.

– Zadziwia mnie, że mówi to historyk!

– Historycy mogą się tym zajmować za sto lat. Dziś gdyby trafiło to w ręce prawicowych oszołomów pokroju Macierenki czy Indykiewiczów, oddałoby im władzę nad tym krajem na długie lata.

– „Spoko” – jak mawia nasz przyjaciel Turoń. Część już istnieje wyłącznie w postaci mikrofilmów. A reszta przestanie istnieć najpóźniej do wyborów. Oczywiście jeśli zdążymy.

– A dlaczego mielibyście nie zdążyć? Czego się obawiasz, Czesiu? Nie mają środków na szybkie przejęcie instrumentów władzy.

– Cóż, może zbyt długo pracowałem w służbach, by dać się zwieść pojedynczym gestom Szwendały – odparł generał. – Ani mnie, ani moim ludziom nie odpowiada status bezbronnych karpki czekających na wigilijną wieczerzę.

*

Oczywiście jakie środki mogłyby zostać podjęte, generał Pysznikowi nie mówił. W kręgach jego doradców analizowano możliwości rozmaitych działań, które o ból głowy mogłyby przyprowadzić tak zwolenników, jak i przeciwników spiskowych teorii dziejów. Do Moskwy pielgrzymowali rozliczni działacze Postępowego Związku polskich Rewolucjonistów z różnych frakcji. Swoją robotę odwalali „Olin”, „Minim” i „Kat”, brylując w partyjnych strukturach, które miały zastąpić zużytą PZPR. Nikt jednak nie był gotów do akcji na pełny regulator.

Tymczasem już w piątym czy szóstym dniu urzędowania w gmachu na Rakowieckiej zgłosił się do wiceministra Macierenki zasuszony pracownik archiwum, wspominając o pewnych zasobach, które próbowano usunąć z magazynu. Przedstawiał się jako szczerzy polski patriota i błagał, aby nie wydać go przed zwierzchnikami, którzy nie mieli pojęcia o jego inicjatywie.

Antoni Macierenko zrazu bardzo nieufny, postanowił jednak osobiście zaznajomić się z dokumentami. I bardzo szybko, w tajemnicy, jak sądził, przed własnym szefem, prowadzony przez zasuszonego archiwistę dotarł do teczek „Ciulka”. Co tam znalazł, przejęło go grozą.

Legendarny przywódca „Solidności” i obecny charyzmatyczny premier już w 1970 roku jako młody robotnik dał się zwerbować Służbie Bezceństwa.

Macierenko studiował dokumenty dwa dni i dwie noce, lekko posiwiali wyłysiał, za to wzrok mu się dziwnie wyostrzył.

– Jakie mam gwarancje, że to nie są sfabrykowane materiały? – zapytał ostro esbeka przypominającego pomięty pergamin.

– Bo materiały sfabrykowane, mające udaremnić przyznanie Szwendale Pokojowej Nagrody Mebla mam w drugim zestawie teczek – odpowiedział archiwista.

Nie było to jedyne niebezpieczeństwo, jakie zagroziło Szwendale. Zaraz z początkiem stycznia odezwały mu się korzonki i dość mocno go połamało. Leki przeciwbólowe skutkowały tylko w minimalnym stopniu.

A w dodatku wywoływały pewne otępienie. „Tylko masaże wodzu, tylko masaże!” – powtarzał Wachmistrzowski doskonale sprawdzający się w roli majordomusa zawsze gotowego nosić za swym panem teczkę czy podsunąć kaptcie.

Pull był gotów wezwać kogoś z Konstancina, ale Mietek utrzymywał, że po co brać masażystę z zewnątrz, zdradzając światu zdrowotne kłopoty premiera, kiedy mają w kancelarii znakomitą siłę fachową – Lidkę Piekielekiewiczównę.

Od czasu powrotu z Moskwy Szwendała spotykał swoją piękną pracownicę tylko przelotnie. Pull ze względu na umiejętności językowe przeniósł ją do biura rzecznika, ale po paru tygodniach Drzymałko, prywatnie jak każdy mężczyzna zauroczony panną Lidzią, zorientował się, że jej obecność na konferencjach prasowych skutecznie odwraca uwagę dziennikarzy od merytorycznej zawartości jego wystąpień, kierując ją ku pozamerytorycznej zawartości jej stanika. Dodatkowo zbrzydziło go, kiedy przypadkowo stał się świadkiem, jak Wachmistrzowski rznął jego pracownicę na stole pingpongowym, nic nie robiąc sobie z bezpośredniego sąsiedztwa kaplicy. W efekcie pannica trafiła do nudnej sekcji gospodarczej zajmującej się taborem samochodowym, koordynacją wizyt itp. Teraz pojawiła się szansa na jej powrót w bezpośrednie pobliże premiera. Szwendała początkowo patrzył na tę propozycję dość sceptycznie, ale przekonywany przez Mietka argumentami, że dziewczyna masuje jak anioł, postanowił dać jej szansę.

Pierwsze wrażenie było korzystne. Lidia pojawiła się w schludnym dresiku, ze skromną minką, bez makijażu, ze spiętymi włosami. Kazała rozebrać się premierowi do gatek i ułożyła na leżance.

Już pierwszy dotyk jej dłoni sprawił mu ulgę, następny kompletnie pozbawił bólu, a kolejne przynosiły wyłącznie rozkosz. Nigdy nie doświadczał czegoś podobnego. Jej dłonie sprawiały, że stał się lekki, nieomal uniósł się nad ziemią, płynął. Popatrzył przed siebie, na wielkie lustro wiszące na ścianie.

Widział tam swoją zaczerwienioną twarz i dziewczynę w akcji. Praca musiała trochę ją zmęczyć, bo spociła się trochę, wszelako plamy potu dodały jej tylko podniecającego uroku.

Sutki nabrzmiały, dowodząc, że pod dressem nie nosi żadnego stanika. Oczy płonęły, w lekko uchylonych ustach lśniły drapieżne ząbki przywodzące na myśl dziką kotkę w trakcie rui. Co rusz oblizywała swe wydatne wargi ślicznym języczkiem.

Jeszcze chwila, a tafla zwierciadła zafalowała. Premier ciągle leżał na brzuchu, ale w lustrze widział obraz zgoła asynchroniczny. Według tego, co widać było na odbiciu, które odbiciem być przestało, zmieniając się raczej w projekcję marzeń, dziewczyna ściągnęła górę dresu, potem pozbyła się dołu, następnie obróciła premiera na wznak, zrywając mu gatki... Zamrugał oczami. Obraz uspokoił się, wracając do przyzwoitej rzeczywistości.

Pozostało jednak ogromne podniecenie.

– Proszę się obrócić – powiedziała łagodnie masażystka.

– Jeszcze nie – wybelkotał.

– Proszę się obrócić – powtórzyła bardziej kategorycznie.

Niestety nie mógł się odwrócić. Miał gigantyczną erekcję, a jego katolickie sumienie wzbraniało się przed pójściem na całość. Jak długo jednak mógł się bronić, kiedy jej dłonie stawały się coraz śmielsze...

Naraz ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – rzucił i w myśli dodał: „Dzięki Bogu”, widząc w lustrze habit księdza Szczypióry.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? – zapytał ugrzecznionym głosem spowiednik.

– Ależ nie, ojcze Franciszku. W czym sprawa?

Ksiądz rzucił okiem na Lidkę, której ruchy stały się bardziej energiczne, a masaż dotarł do granicy bólu.

– Pomyślałem sobie – jeszcze raz łypnął na zapracowaną „asystentkę” – pomyślałem sobie – powtórzył – że w związku z moimi problemami z kręgosłupem też powinienem poprosić o pomoc masażysty.

– Znakomicie, niech się ksiądz rozbiera. Jak tylko skończę z panem premierem, to zaraz się księdzem zajmę – powiedziała Lidka.

– Obawiam się, że biorąc pod uwagę naszą pozycję i nasz stan... Nie byłoby to dobre zajęcie dla kobiety – mruknął Szczypióra. – Jeden znajomy kanonik ma dla nas doskonałą kandydaturę młodego terapeuty...

– To nie jest najgorszy pomysł – sapnął Lew.

Przez moment Lidia miała serdeczną ochotę skrócić Szwendale kark. Ale pohamowała się.

– Skończone! – powiedziała i wyszła.

Stan błogości utrzymywał się u premiera może minutę. Później zaczęły boleć go wszystkie mięśnie, kości i głowa.

*

Początkowo rozpoczęcie XI Zjazdu Postępowego Zjednoczenia Polskich Rewolucjonistów, na którym PZPR miało ulec rozwiązaniu, a nowa partia lewicy miała przejąć wszystkie aktywa i pasywa starej (z przewagą aktywów), planowano na sobotę 27 stycznia. Obawy, że do owego przepoczwarczenia może w ogóle nie dojść, skłoniły organizatorów z Mieczysławem Krabikiem na czele do nadzwyczajnego przyśpieszenia. Niestety przewidywana na ten konwentykił Sala Kongresowa była w weekendy zajęta i pierwszym możliwym terminem był poniedziałek 15 stycznia.

– Lepiej jeśli zacznie się piętnastego niż trzynastego – pocieszał Krabika jego przyjaciel Jerzy Turban. – Zobaczysz, znowu ruszymy z posad bryłę świata.

Krabik nie był tego taki pewien, najchętniej nie czekając na zjazd, rzuciłby wszystko w diabli i wyjechał za granicę, gdzie od pewnego czasu mieszkali jego synowie.

Tymczasem 14 stycznia w niedzielę po południu pracę nad poniedziałkowym numerem „Gazety Obywatelskiej” szły pełną parą. Kamil wrócił właśnie z miasta z naręczem tematów, z których jednak żaden nie nadawał się na czołówkę. Z zamyśleniem czytał faks ze Szczecina o dwóch wielkich transatlantykach wycieczkowych, które weszły na redę portu w Świnoujściu.

– Wycieczki o tej porze roku? Jak to się komuś może opłacać...?

Do pokoju zajrzał młody stażysta Rafał.

– Był telefon do ciebie. Dziewczyna – powiedział – sądząc po głosie, piękna.

– Przedstawiła się? – ożywił się Barczewski

– Nie. I nie była to też pani Lucyna, bo jej głos znam. Bardzo prosiła, abym przekazał trzy zdania: „Papiernia w Konstancinie. Trzeba sprawdzić, co tam się dzieje! Bardzo pilne”.

Półroczne doświadczenie dziennikarskie sprawiało, że nie lekcewał sygnałów od społeczeństwa. Czasem błahostka potrafiła się zmienić w sprawę wielce rozwojową. Ponieważ nie udało mu się dodzwonić do Konstancina, pojechał na miejsce. Oszczędności i odprawa z „Ekspresu” pozwoliły mu na kupienie dziesięcioletniego malucha. Wolałby wprawdzie wybrać się razem z Jurkiem Jarząbkiem, ten jednak gdzieś przepadł.

Na miejscu wyglądało, że fabryka zamknięta jest na głucho, gdy jednak usiłował zaparkować, podszedł do niego jakiś mężczyzna w kozuchu i poprosił o ogień. A kiedy Kamil uchylił drzwi, bezceremonialnie władował się do wnętrza.

– Jedź pan – rzucił – szybko!

– Dokąd?

– Przed siebie.

Pośpiech okazał się uzasadniony. Jeszcze chwila, a zapaliły się światła niewidocznego dotąd samochodu zaparkowanego w bocznej uliczce. Wystartował z piskiem opon, tymczasem na wprost nich właśnie zaczęły opadać zapory przejazdu kolejowego.

– Gazu! – wrzasnął futrzak.

Przemknęli jak wichur nad torami, omal nie zawadzając dachem o szlaban. Samochód za nimi musiał się zatrzymać, nie chcąc ryzykować zderzenia z nadjeżdżającym pociągiem. Oni tymczasem już wypadli na pustawą dwupasmówkę.

– Pan Barczewski? – upewnił się pasażer, przedstawiając się jako działacz miejscowej „Solidności”. Kamil skinął głową. – Powiedziano mi, że pan przyjedzie. I opisano pański samochód.

– Kto pana poinformował?

– Jakaś dziewczyna. Nie podała nazwiska. Ale skądś wiedziała, że koniecznie chcę się skontaktować z kimś takim jak pan.

– O co chodzi?

– O dokumenty. Tony dokumentów. Gliniarze zwożą od soboty całe ciężarówki papierów przeznaczonych do zniszczenia. Ludzie mówią, że są tam protokoły z posiedzeń biura politycznego, wykazy kapusiów, teczki pracy tajnych współpracowników z MSW...

– Ale dlaczego zwraca się pan do mnie? Jestem tylko początkującym reportażystą.

– A do kogo? Kierownictwo zakładu to ubek na ubeku. Zastępcę przewodniczącego podejrzewamy od stanu obłączenia o sypanie.

– A wasz przewodniczący?

– Godzinę temu pojechał do regionu, żeby zainteresować „Solidność” tym, co się u nas dzieje, i zderzył się z pługiem śnieżnym... Dzwonili ze szpitala, ledwie żyje...

– Z pługiem śnieżnym? Przecież praktycznie nie ma śniegu.

– Tym bardziej podejrzanie wygląda cała sprawa.

Kamil zachował się jak typowy konspirator wychowany na powieściach szpiegowskich uzupełnionych dodatkowymi szkoleniami dziadka. Zaparkował wóz opodal pałacu

w Wilanowie, gdzie wypatrzył kilka taksówek. Wsiadł do trzeciej w kolejności, wywołując protesty dwóch pierwszych kierowców, które jednak zgasił okrzykiem:

– Jest chyba wolność wyboru! – po czym kazał się wieźć do Śródmieścia.

Od paru dni siedziba regionu „Solidności” mieściła się ponownie w dawnym gmachu „Mazowsza” na Mokotowskiej.

Nim minęła godzina, powstało tam prawdziwe centrum operacyjne, do którego ściągnął również Piotr Magda Boruta i kilku prominentnych działaczy opozycji. Mimo niedzieli postawiono na nogi kilkuset robotników z Polkoloru, z paru zakładów na Służewcu, z elektrociepłowni na Siekierkach... Pierwsze grupy w pół do ósmej dotarły do Konstancina wraz z ekipą dziennika telewizyjnego. – Nie pozwólmy na niszczenie naszej narodowej pamięci – wołał mężczyzna w futrze.

Doszło do przepychanek z dyrekcją, która zagroziła drogę do magazynów z makulaturą. Zaraz w charakterze wsparcia włączyli się smutni panowie, którzy pojawili się, nie wiadomo skąd. Tymczasem ludzi przybywało, łącznie z grupą starych aktorów ze Skolimowa. Nastroje robiły się coraz bardziej radykalne.

Zwłaszcza gdy okazało się, że na tyłach magazynów jakieś elementy próbowały podpalić zakład. Dwaj menele zagrożeni natychmiastowym linczem ujawnili swą prawdziwą proveniencję, dobywając broń i otwierając ogień. Padło kilku rannych robotników, a agenci uciekli.

I tak rozpoczęła się druga faza polskiej rewolucji. W emitowanym przez cały wieczór otwartym studio Leszek Sikawski rzucił hasło: „Zabezpieczyć archiwa”. Do rana wszystkie wojewódzkie urzędy spraw wewnętrznych w całym kraju zostały otoczone przez ochotników z Obywatelskiej Samoobrony, „Strzelca” i „Solidności Walczącej”. Społeczne oddziały zachowywały się spokojnie, unikając rękoczynów, ale żaden samochód ciężarowy nie mógł niepostrzeżenie wyjechać z materiałami.

W poniedziałek około dziewiątej rano w bunkrze dowodzenia ukrytym w jednym z mokotowskich fortów generał Kiszonka bombardowany doniesieniami z całego kraju podjął decyzję.

– Trzeba skończyć ze Szwendałą. Mamy przygotowane różne warianty operacji „Muszla”, trzeba wybrać optymalny – stwierdził. – Najbliższe dwadzieścia cztery godziny zadecydują o wszystkim. Jeśli zabraknie premiera, ja obejmę w naturalny sposób jego funkcję. Indykiewicz jest na szczęście w podróży poślubnej...

– Sęk w tym, że Szwendały także nie ma w Warszawie – zauważył generał Perzyna, pierwszy zastępca ministra.

– Nie ma, jak to nie ma?

– Od wczoraj przebywa w Szczecinie. A teraz właśnie dotarł helikopterem do Świnoujścia.

– Zamierza uciec z kraju? Tym lepiej!

– Wręcz przeciwnie, wita grupę Polaków powracających z emigracji. Zresztą zdaje się, że idzie z tego na żywo transmisja telewizyjna.

– Pokażcie.

Stara przystań promowa udekorowana była odświętnie polskimi flagami i proporczykami, a dwa wielkie amerykańskie wycieczkowce połączone zostały trapami z lądem. Schodzili z nich młodzi mężczyźni w polskich mundurach. Byli tam starsi wiekiem weterani wojny koreańskiej, jednak przeważali ci, którzy zdobywali swe szlify w bojach na Półwyspie Indochińskim, na Grenadzie czy w Panamie. Byli wśród nich generałowie i pułkownicy, ale później wyroił się tłum młodszych oficerów.

– Kim są ci ludzie? – ryczał Kiszonka. – Amerykanie dokonują inwazji na naszym wybrzeżu?

– Bynajmniej – okazało się, że najświeższymi informacjami dysponuje generał Kudowa, szef Służby Bezpieczeństwa. – Ogłoszono właśnie w radiu, że prezydent Gęsiarowski przyznał lub po prostu przywrócił prawa obywatelskie dwu tysiącom amerykańskich oficerów polskiego pochodzenia. Podobnie postąpiono z dwoma tysiącami amerykańskich policjantów, pracowników FBI, CIA i NSA

– Kurwa! Chcą ich dać na nasze miejsce. Tylko dlaczego ja, wicepremier, nic o tym nie wiem?

– Nikt o tym nic nie wiedział, nawet najbliżsi ludzie Szwendały. Uzgodnił to potajemnie w bezpośrednich rozmowach z Plusem i ma przyzwolenie tego idioty Korbaczowa...

– Przecież takiej wielkiej operacji nie można było ukryć. Gdzie był nasz kontrwywiad...?

– Podejrzewam, że paru moich ludzi zwerbowali Amerykanie i Brytyjczycy – wycedził generał Mańkowski – Planowałem zmiany, ale nie zdążyliśmy...

Czesław Kiszonka opadł ciężko na krzesło. Czuł, że jeszcze chwila, a padnie rażony apopleksją. Gorączkowo zastanawiał się na jakimś możliwym do zrealizowania planem B.

– Co możemy zrobić? Czy Florek Łysicki może porwać choć jedną eskadrę bombowców...? Ogłosilibyśmy później, że to wypadek.

– Obawiam się, że wy wołalibyśmy w ten sposób trzecią wojnę światową. Szwendała załatwił transatlantykom ochronę U-boatów z Bundesmarine.

*

Nawet pogoda sprzyjała polskim patriotom. Gdyby w poniedziałek zaczęły się śnieżyce, wichury, a temperatura spadła do dwudziestu stopni poniżej zera, wyjście ludzi na ulice byłoby bardziej niż problematyczne. Tymczasem panowała wręcz wiosenna pogoda. Plus dziesięć stopni. Słoneczko. Jak nie można było przyłączyć się do ogólnokrajowej rewolty?

Okolo południa Kiszonka skapitulował. Widok Floriana Łysickiego ściskającego się z nowo przybyłymi „Polakami z odzysku” załamał go ostatecznie. Opuścił bunkier, z którego wcześniej znikła większość dowództwa. W drodze do domu usłyszał przez radio komunikat PAP-u o zdymisjonowaniu go przez Lwa Szwendalę i powierzeniu jego funkcji Antoniemu Macierence.

Mieszkanie zastał puste. Znacząco niepełnie. Siedział tam jeden gość, można powiedzieć częsty bywalec towarzysz Gałganow. Nawet niespecjalnie się zdziwił, mimo że nigdy nie dawał Rosjaninowi kluczy.

Na stole stała napoczęta butelka wódki. Gałganow nalał mu szklanekę po brzegi i wsunął do ręki.

– Pij, Czesiu! Pij! Bez wódki nie *razbieriosz*.

– Zostawiliście nas – generał łyknął zawartość jednym haustem i z rozmachem odstawił szkło na stół.

– Nie my, historia – odparł cudzoziemiec. – Trzeba było zacząć to wszystko wcześniej. Kiedy tylko drgnęło w Sajuzie.

– Ja chciałem, ale Wojtek się bał.

– Ale dziś to on lepi sobie bałwana w Sztokholmie, a ty stoisz tu, na łamiącej się krze.

– Przetrzymamy to.

– Nie sądzę. Macierenko ma przygotowany nakaz aresztowania.

– Mnie, za co?

– Nie rozśmieszaj mnie. Gdybyś mógł żyć tysiąc lat, nie starczyłoby czasu na odsiadkę.

– Tylko każdą winę trzeba będzie udowodnić. A nic na mnie nie mają.

– Nic? Ocalały protokoły politbiura i teczki twoich agentów. Twoi podwładni już wkrótce zaczną prześcigać się w zeznaniach, aby uratować własną skórę. Zapłacisz za tych wszystkich zamordowanych księży, za Pajdasa, za Promyka, za księdza Jerzego, za szwadron śmierci pod nazwą „grupa X”...

Do Kiszonki jakby dopiero teraz to dotarło. Zerwał się na równe nogi.

– Muszę wiać! Gdzie moja rodzina?

– Dwie godziny temu odleciała z dziećmi do Wiednia.

– Suka!

– Daj spokój. Postąpiła jak najbardziej logicznie. Nie miała z tobą kontaktu, a wiedziała, co się dzieje.

– Dobra, zawieziesz mnie do waszej ambasady.

– Cała ulica Sobieskiego jest obstawiona przez bojówki.

– Mnie to mówisz? Są tajne dojscia.

– Obawiam się, że byłbyś tam potraktowany jak *persona non grata*.

Kiszonka pobladł.

– Nie pogrywajcie ze mną. Wiecie doskonale, że wiem o takich sprawach, które pogrążą nie tylko mnie.

– Dlatego chcielibyśmy tego uniknąć – Gałganow nalał mu drugą szklankę. – Waszej rodzinie zapewnimy opiekę i dobrobyt.

– A ja? Co ze mną?

– Wydaje się, że macie dwie opcje. Kulę lub trutkę.

– Nie mam zamiaru. Mogę się z nimi ułożyć.

– Wątpię! Czy wiesz, kogo planują na szefa Wojskówek? Pułkownika Kuklinowskiego.

– Tego zdrajcę?!

– Oni uważają go za pierwszego polskiego oficera w NATO.

Z dworu doleciał dźwięk gwałtownie hamujących samochodów.

– Cóż, musimy kończyć to interesujące spotkanie. Koledzy przyjechali po ciebie.

W rękach Gałganowa odzianych w cienkie irchowe rękawiczki pojawiła się broń. Kiszonka stwierdził ze zdumieniem, że to jego własny pistolet. Ruszył ku Rosjaninowi, pragnąc mu ją odebrać. Ten jednak był szybszy. Najpierw strzelił mu w brzuch, a gdy generał zgiął się z bólu, wypalił, nieomal przykładając mu broń do ust.

– Dokonało się – stwierdził cudzoziemiec, który wyraźnie miał słabość do historycznych cytatów. Wcisnął w sztywniejącą dłoń Kiszonki pistolet i wypalił jeszcze raz w brzuch, pamiętając, aby na ręce generała pozostał ślad prochu.

Potem rozejrzał się dookoła, dopił wódkę ze szklanki, nie dotykając jej krawędzi ustami. Sprawdził, czy przypadkiem nie zamazał na szkle linii papilarnych denata, potem zamknął drzwi wejściowe, przekręcił klucz, pozostawiając go od wewnątrz. Rozejrzał się jeszcze raz dla pewności. I zniknął.

Jednak nawet samobójcza śmierć generała Kiszonki została przyćmiona przez wydarzenia, które rozegrały się na warszawskich ulicach.

Trudno wybrać gorszy moment niż ten, w którym odbywał się ostatni zjazd partii, ongiś wszechwładnej, dziś zdychającej w pałacu imienia Stalina, wokół którego już od rana gęstniał tłum demonstrantów. Redaktor Turban, który nie odmówił sobie przyjemności kręcenia się po korytarzach, z pewnym niepokojem obserwował wąły szpaler milicjantów oddzielający schody wokół sali od ludzkiego mrowia zgromadzonego wokół Pałacu Kultury.

– Dicz. Normalna polska dzicz – mrucał z obrzydzeniem, załując każdej chwili przeżytej w tym kraju, który tak nigdy do końca nie był jego krajem.

Chyba że krótko, zaraz po październiku, kiedy on sam był młodym zadziornym dziennikarzem tygodnika „Zwyczajnie”. A może tylko tak mu się wydawało. Brzydził się tym dewocyjnym katolicyzmem, parafiańską moralnością, narodową tromtadracją. Tylko dlaczego nie wyemigrował, choć mógł? To proste. Nie znał języków, a poza tym nigdzie jego osobliwe talenty sprawdzające się tak w roli felietonisty, jak i rzecznika generalskiej junty nie znalazłyby tak dobrego zastosowania.

Dziś w odróżnieniu od przybitego Krabika, który marzył tylko, żeby znaleźć się na swojej mazurskiej łajbie, Jerzy Turban miał mnóstwo planów. Wiedział, że przegrana bitwa nie oznacza przegranej wojny. W głowie pęczniał mu pomysł całego koncertu medialnego, którego forpocztą miało być sztandarowe pisemko „Niet” – pół skandalizujące, pół pornograficzne. Nienawidząc tego tłumu, znał jednak doskonale jego słabość i możliwe do wykorzystania kompleksy. Wiedział, jak na nich zagrać, jak uruchomić podskórny antyklerykalizm, jak podstawić wroga czarnego w miejsce czerwonego, a także jak odwołać się do wspólnoty strachu przed rozliczeniami, sprawić, by każdy, kto wyniósł choć rolkę papy z zakładu i przez tydzień należał do ZMS-u, czuł się równie odpowiedzialnym za system jak sekretarze KC. Oczyma wyobraźni widział już powracającą falę. W dodatku wywołaną przez ten sam tłum.

Z sali dobiegł go złamany głos Krabika: „Wyprowadzić sztandar”.

A potem gromki krzyk z dołu: – O Boże. Ktoś wycofał milicję! Znów wyjrzał przez okno. Niebieski szpaler zniknął. Tłum też to zauważył i ruszył przed siebie. Chwilę potem wyłamując drzwi bronione przez ledwie kilku portierów, wdarł się do wnętrza.

Na sali zapanowała panika. Ciśnięto sztandar i tratując się nawzajem, rzucono ku scenie w poszukiwaniu wyjścia przez kulisy. Inni po prostu rozpierzchli się po kątach, kryjąc po kiblach, zrywając czerwone krawaty i żując czerwone legitymacje, mimo że nikt nie próbował

ich legitymować. Tłum bowiem jak na razie nie zamierzał nikogo bić czy katować, wystarczyło mu, że szedł jak lawa doskonale świadomy, co ma zrobić. Nie pozwolić komunistom uformować się na nowo.

Jeszcze chwila, a ci, co się wdarli na salę, sprawnie pozajmowali miejsca opuszczone przez delegatów. Na mównicę ponownie przywróconą do pionu wszedł Krzysztof Książ, zapowiadając wystąpienie swego teścia, lidera Centralizacji Powszechnej Narodu.

– Płatni Zdrajcy, Pachołki Rosji odchodzą na śmietnik historii! – zawołał Leszek Sikulski, wzniesając powszechną euforię.

– I kto to mówi? Były członek PPR-u – przemknęło Turbanowi, który w szatni ukrył się wśród nieodebranych futer i palt.

Była to jedna z ostatnich złotych myśli, jakie przyszły mu do głowy.

Zaraz potem go znaleziono. Wywleczono go z szatni i pośród licznych śmiechów, szturchając i popychając, wypędzono na salę.

– Mamy kogoś, kto poprowadzi nam konferencję – skomentował jego pojawienie się kolejny mówca Romuald Szaromiotłó. – Panie rzeczniku, prosimy!

Jakiś diabeł wstąpił wtedy w Turbana. Naraz odwrócił się do sali, jęzor wywalił i zaczął wołać histerycznie: – Gównu mi zrobicie, durnie, gównu mi zrobicie!

Że przeholował, zorientował się, kiedy blisko dwumetrowy odlewnik z Huty ucapił go oburącz za uszy i cisnął na scenę. Zaraz sala poczęła zgodnie skandować hasło: „Powiesić go, powiesić!”

Groźba z każdą chwilą stawała się tak realna, że Turban z brawury na odmianę popadł w strach, posikał się w spodnie, później na dokładkę popuścił... Na dobitkę ktoś, kto wdarł się do pomieszczenia akustyków, uruchomił z płyty „Międzynarodówkę”. I bił aż pod złocenia zwieńczające scenę turbanowy smród, śmiech sali, splatając się z buńczuczным „Bój to jest nasz ostatni”...

Jeśli byli na tej sali gdzieś diabeł i anioł, zapewne obaj bawili się doskonale.

IX

Dekrety i konkrety

Dynamika zmian zaskoczyła samego Szwendalę, który wieczorem wrócił do Warszawy śmigłowcem marki Sikorsky stanowiącym osobisty dar prezydenta Plusha.

– Serdecznie dziękuję, George – powiedział w rozmowie telefonicznej polski premier wdzięczny za otrzymany prezent. – Chociaż ja osobiście nigdy nie nazwałbym śmigłowca imieniem generała, który spadł do morza.

Zaraz po powrocie jeszcze w nocy odbyło się posiedzenie Komitetu Obrony Kraju pod przewodnictwem prezydenta Gęsiarowskiego, na którym rozważono wszelkie potencjalne zagrożenia wynikłe ze styczniowej rewolucji. Dla wielu obecnych była to pierwsza szansa obejrzenia prezydenta w działaniu, choć mimo słów i gestów, a także czołobitności jaką premier okazywał prezydentowi, to Szwendala pozostawał głównym rozgrywającym. A grał sprytnie.

Dzięki nieobecności generała Kiszonki, który za sprawą trzech kul przeniósł się do wieczności, i obecnie zastępował go Antoni Macierenko, miał sporą przewagę nad pozostałymi uczestnikami spotkania. Generał Łysicki milczał, najwyraźniej obawiając się podzielenia losu kolegi wicepremiera. Wszelkie wątpliwości wicepremierów z ramienia ludowców i demokratów zgaszono szybciej niż papierosa.

– Decydują się losy Polski – powiedział Gęsiarowski. – Tylko w zgodzie i dzięki autorytetowi pana premiera jesteśmy w stanie wyprowadzić kraj na szerokie wody. Naszym pierwszorzędnym celem muszą być demokratyczne wybory, które będą legitymizować zmiany i wyłonią prawdziwą ekipę przywódczą.

– A poza tym – Szwendala rozejrzał się po sali – czy ktoś ma jakieś inne propozycje?

Pośpiech działał na jego korzyść. Ludzie z SB czy wojskówki byli zbyt zaskoczeni rozwojem wydarzeń, by móc przeciwdziałać. W ciągu nocy z poniedziałku na wtorek Macierenko mianowany przez prezydenta ministrem spraw wewnętrznych z piątką najbliższych współpracowników i dwudziestką polonusów, którzy zdążyli nadciągnąć z Wybrzeża, zajęli gmachy przy ulicy Rakowieckiej.

Nazajutrz 16 stycznia 1990 roku dekretem prezydenckim uległa rozwiązaniu Służba Bezpieczeństwa, a tworzeniem nowego Urzędu Ochrony Państwa mieli zająć się ludzie nowi

i nieskompromitowani pod dowództwem Piotra Podimskiego i jedyne go wysokiego oficera UB mającego w swym dorobku współpracę z podziemną „Solidnością” majora Adama Gładysza z Gdańska, który swą aktywność przypłacił wieloletnim więzieniem. W trybie pilnym powołano kilkunastoosobowy zespół, który miał dokonać weryfikacji kadr i naboru nowych pracowników. Do czasu objęcia komend przez ludzi nowych, wspomaganych przez polonusów, obiektów MSW miały strzec strażę obywatelskie.

– Czy nie poszło nam zbyt łatwo? – brzmiało pierwsze pytanie Jarosława Indykiewicza, który we wtorek po południu powrócił z podróży poślubnej i zameldował się w Urzędzie Rady Ministrów.

– Dość łatwo – przyznał Szwendała – ale to niech oni się martwią, nie my!

Miał rację, chociaż przeciwnik wcale nie skapitulował, jedynie walka o władzę przeniosła się do innych miejsc, przybierając formy znane bardziej z Chicago lat prohibicji niż z sennych krajów realnego socjalizmu.

W ciągu najbliższych paru dni doszło w kraju do serii nagłych wypadków, zabójstw i samobójstw. W tajemniczym pożarze willi w Aninie zginął były PRL-owski premier Piotr Mięśowicz. Samochodowa awaria wyeliminowała na zawsze byłego posła PZPR-u generała Kudowę. Przepadł bez wieści pułkownik MSW i propagandzista PZPR-u Jan Kuszyga. Pozostali silni ludzie zaplecza władzy wiali do Wiednia i Berlina, stosunkowo najrzadziej do Moskwy, gdzie nie lubiono towarzyszy, którzy zawiedli pokładane w nich zaufanie.

Wszystkie te budzące niezdrową ciekawość mediów wypadki ustały gdzieś po dwóch tygodniach, kiedy aresztowano kilkunastu oficerów SB zamieszanych w ponure sprawy okresu minionego, w tym dwóch członków „szwadronu śmierci”, prawdopodobnie odpowiedzialnych za mordy księży w roku poprzednim. Pozostali członkowie „komando X” zbiegli za granicę. Błyskawiczne działania to zasługa nowego prokuratora generalnego, którym został Bogusław Mizieński, działacz opozycji zwolniony w 1981 roku z aparatu sprawiedliwości.

W międzyczasie Szwendała nie dając wrogom czasu na przegrupowanie sił, dokonał przy pomocy prezydenta Gęsiarowskiego gruntownej rekonstrukcji rządu. Koalicja z ludowcami i demokratami nie miała sensu, choćby ze względu na rozłamy w pierwszym stronnictwie i pośpieszną agonię drugiego.

Jedynym wicepremierem pozostał Jarosław Indykiewicz. Resort spraw wewnętrznych przypadł praktycznie już nim kierującemu Antoniemu Macierence, cywilną kontrolę nad resortem obrony objął Romuald Szaromiotłów, ministrem spraw zagranicznych został Bronisław Hajduk, szefem finansów Pyza Koperczyński, pracą i płacą nadal miał zajmować

się Wacek Turoń. Powołano też Ministerstwo Reform i Przekształceń na czele z Piotrem Magda Borutą, a sprawiedliwością miał pokierować Wiesław Musztardowy.

Nie zapomniano o Tadeuszu Małopolskim. Jedną z pierwszych decyzji było wysłanie go na odpowiadającą jego temperamentowi placówkę w Watykanie.

Uchwalone pod koniec grudnia prawo o dekretach znakomicie ułatwiało rządzenie. Sprawy, które normalnie ciągnęłyby się latami, rozwiązywano od ręki metodą Aleksandra Macedońskiego wypróbowaną przy okazji węzła gordyjskiego.

Przepchnięcie reprivatyzacji przez Sejm byłoby zapewne niemożliwe. Tymczasem prezydencki dekret z 1 lutego określił precyzyjnie zasady zwrotu zagrabionego mienia wszystkim, którzy w ciągu roku się o nie upomną i udokumentują tytuł własności. Dotyczyło to jednak tylko obywateli RP. Emigrantom i ich dzieciom stworzono jednak szybką ścieżkę przywrócenia obywatelstwa. Mienie, gdzie tylko będzie to możliwe, miało być zwracane w naturze. W wypadku jeśli obiekty przestały istnieć, jak np. kamienice w miejscu Pałacu Kultury, czy też zostały przejęte na obiekty wyższej użyteczności publicznej, właściciele mogli otrzymać odszkodowanie w wysokości 20 procent obecnej wartości. Chcąc uniknąć nadmiernego drukowania pieniądza, co podkopałoby dotychczasową reformę gospodarczą, większość odszkodowań miała być wypłacana w bonach prywatyzacyjnych możliwych do zamiany na akcje prywatyzowanych przedsiębiorstw.

Byli ziemianie uzyskali prawo ubiegania się o tereny Państwowych Gospodarstw Rolnych, za wyjątkiem części przeznaczonych dla obecnych pracowników, gdyby ci zdecydowali się na wykup.

W całej Polsce powstały biura prywatyzacyjne, które zajęły się rejestracją roszczeń, decyzje jednak miały zacząć zapadać dopiero po wyłonieniu w wyborach nowych władz samorządowych. Wybory te na mocy kolejnego prezydenckiego dekretu miały zostać przeprowadzone 1 kwietnia razem z wyborami parlamentarnymi. Przy okazji biorąc pod uwagę zmianę realiów polityczno-społecznych, dokonano modyfikacji wyborczej ordynacji.

Konstytucja kwietniowa ograniczała liczbę posłów do dwustu ośmiu wybieranych po dwóch w stu czterech okręgach wyborczych. Dekret ustalał ich liczbę na czterystu i wprowadzał zasadę proporcjonalności. Senat miał liczyć stu członków.

Zrezygnowano z ograniczeń wyborczych – do obu Izb mogli głosować wszyscy pełnoletni, a prawo bierne ustalało dwadzieścia jeden lat dla posłów i trzydzieści pięć dla senatorów.

I znów uważano, że takie zmiany w konstytucji stanowią rażące złamanie prawa. Gęsjarowski i Szwendala odpowiadali, że jest to jedynie rozwiązanie jednorazowe, które

wyłonione w wyniku wyborów władze poddadzą ocenie i albo wprowadzą na stałe do konstytucji Polski, albo zmienią.

Warto zaznaczyć, że nie zmieniono najistotniejszych postanowień konstytucji 1935 roku dotyczących wyboru prezydenta RP. Miało go wybierać Zgromadzenie Elektorów złożone z pięciu virylistów (marszałka Sejmu, marszałka Senatu, premiera, pierwszego prezesa Sądu Najwyższego i generalnego inspektora sił zbrojnych, aktualnie szefa Sztabu Generalnego) wypełniających role mężów zaufania oraz siedemdziesięciu pięciu elektorów wybieranych przez najgodniejszych obywateli Rzeczypospolitej. W wypadku wyznaczenia następcy przez ustępującego prezydenta, wybór miał się odbyć w drodze głosowania powszechnego.

Dla nikogo nie ulegało kwestii, że będzie ciekawie.

*

Pod koniec stycznia, a może w pierwszych dniach lutego w redakcji „Gazety Obywatelskiej” umieszczonej w dawnym gmachu komitetu warszawskiego partii w Alejach Ujazdowskich pojawiła się nowa siła fachowa. Kamil zobaczył ją, jak wdzięcznie kręcąc tyłeczkiem, zagląda do pokoju naczelnego, a po paru minutach wychodzi bardzo zadowolona z siebie i zajmuje miejsce w pustym boksie pod oknem. Była naturalną, piersiastą blondynką, może trochę wulgarną, ale każdy mężczyzna przyznałby, że właśnie dzięki tej wulgarności jest pociągająca. Poza tym już po paru dniach nie było w redakcji nikogo, kto by nie przyznał, że jest inteligentna. A nawet umie pisać.

Przedstawiała się jako Anastazja Raszyńska (z tych Raszyńskich!), ale jeśli była w rzeczywistości potomkinią tego arystokratycznego (i od półwieku wymarłego) rodu, to jej aparycja dowodziła, że w opowieściach o tym, że znudzone hrabiny oddawały się swym fernalom, musiało tkwić jakieś racjonalne jądro, a może i dwa.

Skąd się wzięła? – Jurek, który znał ją wcześniej, opowiadał, że na Pomorzu pracowała w jakiejś gazecie zakładowej, miała zresztą rekomendacje szefa miejscowej „Solidności”, choć dużo później, w trakcie śledztwa okazało się, że tak naprawdę nikt jej tam nie widział, a biuletyny, które przywiozła ze swymi artykułami, wydrukowano chyba tylko w jednym egzemplarzu. Tuż przed przyjazdem kręciła się w środowisku gdańskich libertynów, twierdząc, że wychowywała się na sąsiednim podwórku Ronalda Ducka. Ten wprawdzie sobie tego epizodu nie przypominał, ale może dlatego, że wedle Anastazji spotykali się głównie, aby przypalać trawkę i robić inne rzeczy tyle brzydkie, co przyjemne. Ile mogła mieć lat?

Z jej CV wynikało, że dobiega trzydziestki, ale kiedy była w humorze, a przeważnie była, mogła uchodzić za nastolatkę. Rzadziej w chwilach zamyślenia, kiedy siedząc na parapecie zaciągała się papierosem tak mocno, jakby chciała wciągnąć do płuc cały zar skoncentrowany na jego krańcu, w jej oczach pojawiała się jakaś przepastna głębia, dojrzałość starego słonia czy pełnego smutku krokodyla. „Czy ja ją znam?” – w pierwszych dniach jej pobytu w redakcji podobna myśl dość często przychodziła Barczewskiemu do głowy, ale zawsze odganiał ją krótkim: „A skądby?”

Zresztą Anastazja wydawała się go ignorować. I jeśli pozwalała sobie na jakieś koleżeńskie poufałości, to ograniczała je do Jarząbka, który w chwili szczerości zwierzył się Kamilowi, że musi ją mieć.

– Na zawsze? – zapytał Barczewski.

– Na zawsze... Nie przesadzajmy z wielkimi słowami, właściwie będzie, jeśli powiem, że na jakiś czas.

Nie ulega wątpliwości, że emanowała jakąś dziwną mocą i Kamil znajdując się w jej pobliżu, zawsze doświadczał podejrzanego niepokoju.

Raz spoglądając na nią podczas kolegium, kiedy wychylona ku nacelnemu, ukazywała mu całą głębię swego dekoltu, uderzyło go jakieś nieuchwytnie podobieństwo do tajemniczej autostopowiczki spod Legnicy, ale sam się zganił za podobne skojarzenie. Tamta była młodsza, szczuplejsza, no i była zdecydowaną brunetką.

W każdym razie dla redakcji okazała się nabytkiem wyjątkowo cennym. Żadne drzwi nie stanowiły dla niej problemu. Jeśli potrzeba było wywiadu z jakimś kandydatem na posła czy z wysokim urzędnikiem, wystarczyło posłać Anastazję; a wracała z naręczem informacji okraszonych dodatkowo pikantną niedyskrecją czy anegdotą. Z tylko sobie znanego powodu nigdy nie starała się o wywiad u samego premiera, unikała też kontaktu z rzecznikiem Drzymałą, ale wówczas jakoś nikt nie zwrócił na to uwagi.

Wkrótce rozniosło się, że sypia z naczelnym, ale wydawało się to nieprawdopodobne. Szef, który przyszedł tu z „Tygodnika Solidność”, wydawał się poważnym konserwatystą, człowiekiem starej daty i można rzec przedwojennej kindersztuby. Jest faktem, że od czasu wejścia Anastazji do zespołu ten melancholijny mężczyzna częściej się uśmiechał, a w sądach politycznych pozwalał sobie na więcej optymizmu niż kiedykolwiek. Zresztą powodów do optymizmu nie brakowało.

10 lutego kolejny dekret Szwendawy postawił kropkę nad „i” w polskiej rewolucji. Wprowadzał on zakaz kandydowania do władz centralnych i terenowych funkcjonariuszy organizacji przestępczych takich jak SB czy informacja wojskowa, a także członków

kierowniczych gremiów Postępowego Zjednoczenia Polskich Rewolucjonistów. To eliminowało z grona kandydatów takich ludzi jak sekretarz z Białej Podlaskiej Józef Keksy, były sekretarz KC Leszek Killer czy dawny minister sportu Aleksander Goryczko. Zadawało też cios Polskiej Partii Socjaldemokratycznej, którą po rozpędzeniu zjazdu w Sali Kongresowej udało się ostatecznie założyć w prywatnym mieszkaniu Mietka Krabika (w międzyczasie cały majątek PZPR przejęło państwo). Resztki lewicy przepłynęły ostatecznie do PPS-u, w którym ton nadawał były poseł OKP Ryszard Buhaj, a rolę mentora odgrywał Tadeusz Fischer, chociaż sam jako były pierwszy sekretarz gdańskiej organizacji partyjnej kandydować nie mógł.

Oczywiście „Ambona Ludu” podniosła rejwach, zarzucając łamanie praw człowieka i wyrzucanie uczciwych socjaldemokratów ma śmietnik historii. Wsparły ją jakieś pisma lewackie na Zachodzie, ale Szwendala absolutnie się tym nie przejmował. Robił swoje.

Rozpoczęto przegląd kadr prokuratorskich i sędziowskich, odsyłając co bardziej skompromitowane kanale na emeryturę. W nastroju rewolucyjnych zmian senaty wyższych uczelni, nie czekając na polecenia z góry zaczęły oczyszczać się same.

Prasa dzielnie sekundowała tym zmianom, chociaż Kamil czasem odnosił wrażenie, że niekiedy zbyt dzielnie. Zaroilo się bowiem od dziennikarzy z kategorii „ludzi drugiej godziny”, takich, co nigdy nie działali w podziemiu, nigdy nie ponosili żadnego ryzyka, za to dziś beztrudno przelicytowywali w radykalizmie działaczy starej opozycji. Niejeden czynił to zapewne w duchu ekspiacji, pragnąc zatrzeć wspomnienia o latach serwilizmu i aby pozbyć się przykrego swędzenia, pozostałości po noszonej na piersi czerwonej legitymacji. Inni wyczuli po prostu nową koniunkturę.

Tak było z większością redaktorów „Sołdata Swobody” – niejeden pałkarz generała Bagiennego, weteran akcji przeciwko syjonistom, kosmopolitom, warchołom i elementom antysocjalistycznym odnajdywał w sobie patriotyczny żar i pisał natchnione artykuły do „Oreża Polskiego”, gorliwie wypełniając białe plamy i przywracając poharatany rodakom poczucie godności. I trzeba przyznać, że nierzadko robili to lepiej od poźółkłych od dymu tytoniowego i wyblakłych od długotrwałego przebywania w podziemiu konspiratorów. Ci brodaci i niedomyci idealisci nie mieli pojęcia, co to marketing, public relations, autopromocja, myślenie focusowe, uwzględnianie targetu lub rachunek ekonomiczny.

– Dlatego będą musieli wyginać się jak dinozaury! – twierdził Andrzej, który zaczął prowadzić własny program w telewizji i szybko zakolegował się z młodymi fajnymi gośćmi z Partii Libertyńskiej.

Drażniło to Kamila, ale nie sposób było nie przyznać racji opiniom kolegi. Kiedy redaktorem wydania „GO” był któryś z dziennikarzy PRL-owskich, można było być pewnym, że wszystko zostanie dopięte na czas. Nikt nie pomylił podpisów pod zdjęciami, nie zaginie ważna korespondencja z Paryża, a czołwkowy materiał nie trafi między nekrologi, co zdarzało się, gdy numerem zarządzał któryś z brodatych konspiratorów. Poza tym koledzy z opozycji w odróżnieniu od swoich, nieposiadających chlubnych kart kolegów, zawsze grzecznych, usłużnych i kompetentnych, charakteryzowali się kłótnością, skłonnością do sporów ideowych, i co tu kryć, awanturnictwa. W dodatku do ludzi młodych jak Jurek czy Kamil odnosili się z trudnym do zaakceptowania protekcjonalizmem. Początkowo nieliczni, w marcu 1990 roku, kiedy „Gazeta Obywatelska” wchłonęła dawne „Życie Stolicy” (sławny ongiś periodyk z nowym naczelnym Tomaszem Kołkiem stał się po prostu dodatkiem regionalnym), przeobrażili się we wpływową większość, zaczęli też dominować w mutacjach terenowych.

Rywalizację obu grup zastrzyło pod koniec kwietnia mianowanie Anastazji Raszyńskiej wicenaczelną. Tę decyzję szefa mało kto rozumiał, a dosłownie nikt jej nie akceptował.

– Jeśli tak bardzo zależy mi na dupsku Anastazji, może się z nią ożenić – syczał przez zęby redaktor Kołek.

Inna sprawa, że na jego ocenie ciążyło prywatne zainteresowanie piękną redaktorką, z którą zdarzyło mu się raz uprawiać seks podczas redagowania sobotnio-niedzielnych dodatków „Gazety Obywatelskiej”. Niestety drugiego razu już nie było.

Mówienie o Anastazji, że stała się zarzewiem konfliktów, byłoby daleko posuniętym eufemizmem. Ona była samym konfliktem. Kolegia z jej udziałem potrafiły przemienić się w tsunami, podczas którego nie oszczędzała naczelnego, robiąc aluzje do mężczyzn o miękkich członkach; choć trzeba przyznać, potrafiła być również miękka i uwodzicielska jak kotka. Jednego dnia wojująca antysemitka, drugiego okazywała się wielką admiratorką Żydów i Państwa Izraela. Drżeli przed nią młodszy dziennikarze, bo potrafiła wyrzucić każdego bez podania racji, a starsi na wszelki wypadek schodzili jej z drogi. Dzięki Bogu, że lubiąca się wyspać redaktorka bardzo rzadko zjawiała się na kolegiach. W przeciwnym wypadku „Gazeta Obywatelska” nie dotrwałaby nawet do maja. Jedyne, co łączyło wszystkich, to zastrzający się ostrzał pozycji zajmowanych przez „Ekspres Wyborczy”.

Mogło się wydawać, że pismo Pysznika wraz z sukcesem „Gazety Obywatelskiej” popadnie w spore tarapaty. Jednak takie opinie okazały się przedwczesne.

„Orient Ekspres”, jak nazywali go antysemita, świetnie redagowany, o inteligentnych nagłówkach, doskonałych relacjach z korespondentami zagranicznymi utrzymał pozycję

lidera. Tym bardziej że szeroką falą napływali do niego reklamodawcy. Co ważniejsze, Pysznik konsekwentnie kreował się na niezależnego. Nazywając „GO” prywatnym pisemkiem Szwendale, przedstawiał siebie jako bezpartyjnego rzecznika polskiej opinii publicznej i epatował rzeszą umysłów świątłych, umiarkowanych i docenianych w świecie.

Gościł więc na jego łamach i Masław Ciłosz, i Jerzy Domeyko z Paryża, i ksiądz Ciszner posługujący się łaciną góralską, i przesławny Sławomir Twarożek ze swymi prostą kreską szkicowanymi rysunkami. Chętnie zabierali też głos światowi intelektualiści, od wyłuskałych kombatantów pokolenia '68 po bardziej postępowych kardynałów ze Stolicy Piotrowej.

Swoje posłannictwo Pysznik zawarł w idei trzech M – myślenie, miłosierdzie i modernizacja. Złośliwcy z „Gazety” dopisywali jeszcze czwarte M – manipulacja. Wszelako Adaś pomijał ten zarzut wzniosłym milczeniem.

W całym tym pracowym zamieszaniu Kamil nie mógł odmówić konsekwencji swojej matce. Amelia Barczewska opuściła „Sołdata Swobody”, wkrótce po tym jak zmienił swoją linię generalną i zaczął ukazywać się pod tytułem „Oręż Polski”. Przeniosła się do niszowego tygodnika lewicy „No pasaran” redagowanego przez Jerzego Turbana, który nader szybko otrząsnął się po próbie linczu („Popelnili wielki błąd, że mnie nie powiesili!”). „Uszy Turbana” jak nazywano ów organ, lub jeszcze mniej elegancko „Nie posram!”, były pisemkiem o niewielkim nakładzie, słabych pensjach, i wydawały się niegroźną lewacką efemerydą skazaną na zagładę.

Wielu z doradców sugerowało Szwendale, aby zrobił porządek z tym szmatławcem, i byli chętni, aby dokonać tego własnymi rękami, jednak Lew tego zakazał.

– Budujemy pluralizm i nawet taka kanalia jak Turban ma prawo z niego korzystać, „tym bardziej że nie stanowi żadnego zagrożenia.

Tymczasem na jednej z narad poszerzonego prezydium rządu Jarosław Indykiewicz rzucił propozycję, aby zająć się jeszcze jedną pilną sprawą. Lustracją!

– Jeśli chcemy przetrącić komunie łeb raz na zawsze, nie wystarczy rozprawić się z byłymi funkcjonariuszami i komunistycznymi czynownikami, te ptaszki... – tu zorientowawszy się, że podobne słowo w ustach człowieka nagminnie przezywanego „Indykiem” może brzmieć niepoważnie, uśmiechnął się i poprawił: – ...te gady, pozostawiły za sobą zatrute jaja. Rzesze swoich tajnych współpracowników. Ludzi zdeprawowanych, czasem złamanych, w każdym razie podatnych na szantaż i zdradę...

Wszyscy popatrzyli na Szwendalę.

– To rzeczywiście jest problem... – powiedział powoli.

– Moim zdaniem – zabrał głos profesor Hajduk – podniesiona kwestia jest niezwykle ważna, choć w dzisiejszej sytuacji przedwczesna.

– Niby dlaczego przedwczesna? – łupnął w stronę szefa minister spraw wewnętrznych Antoni Macierenko.

– Obaj jako historycy doskonale wiemy, że największym z możliwych błędów w naszej pracy może być bezkrytyczny stosunek do źródeł – Hajduk pogładził się po brodzie. – Ewentualna lustracja musiałaby bazować głównie na dokumentach komunistycznych służb, a zatem przyjąć *a priori* ich wypaczoną optykę.

– Twierdzi pan, że bezpieka fałszowała dokumenty przed samą sobą? – zjeżył się Macierenko.

– Chcę powiedzieć tylko, że pośpiech dobry jest jedynie przy łapaniu pcheł. Lustracja oczywiście tak, ale nie na łapu-capu. Uważam, że tą kwestią powinny zająć się nowo wyłonione Sejm i Senat w atmosferze pokoju i rozwagi.

– Czy jednak będzie to możliwe, jeśli nie stworzymy odpowiedniego sita, i do nowego parlamentu wślizgną się ludzie z przyczyn osobistych, rodzinnych lub towarzyskich przeciwni lustracji? – oponował Indykiewicz.

– Jest na to sposób – odezwał się z końca stołu Szaromiotłow. – Zaufajmy ludziom, ale stwórzmy mechanizm kontroli.

– To znaczy? – Jacek Cyrkiel spojrzął na szefa MON-u uważnie.

– Wprowadźmy obowiązek oświadczeń lustracyjnych, które składaliby kandydaci na posłów, senatorów oraz członków władz państwowych.

– Prawo bez sankcji jest martwe – powiedział minister sprawiedliwości Wiesław Musztardowy. – Kto i w jakim trybie miałby orzekać o prawdziwości deklaracji? I czym groziłoby ujawnienie nieprawdy?

Szaromiotłow rozejrzał się trochę bezradnie, ale w sukurs przyszedł mu Indykiewicz.

– Ustalmy zatem, że w ciągu roku oświadczenia te ulegną sprawdzeniu, powiedzmy przez specjalnie powołany do tego celu trybunał. Ewentualni kłamcy lustracyjni opuszczają swoje stanowiska i przez pięć lat nie będą mogli nigdzie kandydować.

– Przez dziesięć! – twardo upierał się Macierenko. – To niezbędne minimum.

– A co w wypadku ludzi zmuszonych do współpracy groźbą lub szantażem albo tych, którzy nierzadko ryzykując życiem, zrywali taką współpracę? – zauważono, że w głosie Musztardowego pobrzmiwała nuta emocji.

– Nikt im nie każe kandydować! – huknął po żołniersku Szaromiotłow.

– A jeśli zostali zwerbowani wbrew ich woli? – nie poddawał się minister sprawiedliwości. – Kto wie, co SB pisała w swoich aktach. Może się przecież zdarzyć, że ktoś nie wiedząc o swym statusie, dopuści się czynu uznanego za kłamstwo lustracyjne.

– Trzeba będzie umożliwić im szansę odwołania się, powiedzmy do Sądu Najwyższego – powiedział Hajduk. – A wspomniany trybunał winien rozważyć wszystkie za i przeciw. Błądzić to rzecz ludzka, a wielu świętych, że wymienię świętego Pawła z Tarsu, świętego Augustyna i świętego Franciszka, zaczynało jako grzesznicy.

Zauważono, że od początku dyskusji Szwendala, zazwyczaj bardzo aktywny, milczy.

– Tak – powiedział na koniec – trzeba będzie wreszcie zmierzyć się z tym problemem, i sędzę, że propozycja zarysowana przez profesora Bronisława jest ze wszystkich najbardziej właściwa.

*

To nie było dobre przedwiośnie dla Gałganowa. Wprawdzie on sam korzystał z immunitetu dyplomatycznego, a facet, który zajmował się jego inwigilacją z ramienia nowo powstałego UOP-u, był na rosyjskiej pensji, to jednak trzódka jego współpracowników trzęsła się ze strachu.

Nie mogąc liczyć na immunitet parlamentarny – partia matka, do której od lat należeli, nie istniała a nowa nie mogła ich jako „funkcyjnych” wystawić w wyborach – śmiertelnie obawiali się ujawnienia.

– Nic wam nie zrobią moje myszki! – powtarzał Gałganow. – Wasze związki ze mną są nie do udowodnienia, a wasze polskie haki – jakieś kursy wojskowe „Olina”, deklaracja o współpracy „Kata” czy kontakt operacyjny „Minima” (zresztą zarejestrowane pod zupełnie innymi pseudonimami) to są po prostu śmieci. Jeśli nawet nowa władza zdecyduje się na lustrację, będą mieli dużo smakowitsze kąski we własnych szeregach.

– Towarzysz uważa, że się jednak zdecyduje? – wymamrotał „Olin”.

– Niewiele z tego dla was wyniknie. Najbardziej kompromitujące was akta zdążono zniszczyć jeszcze jesienią.

– Podobno były kopie!

– I są. Ale w Moskwie. Zresztą w najgorszym razie... Założyliśmy wam konta za granicą... Zawsze będziecie mogli zacząć nowe życie na zgniłym Zachodzie.

*

Im bliżej wyborów, tym mocniej zaostrzał się język politycznej debaty. Wprawdzie nie atakowano osobiście Szwendąły, który mimo natrętnych namów braci Indykiewiczów odmówił kandydowania do parlamentu, ani tym bardziej prezydenta Gęsiarowskiego, to jednak partie powstałe na gruzach OKP i poza nim ochoczo spuszczały sobie wzajemny łomot.

Piłsudczykowska Centralizacja Powszechna Narodu Leszka Sikulskiego ścierała się z neoendecką Partią Chrześcijańsko-Narodową Musztardowego i Macierenki. Na ich tle PCV Indykiewiczów czy Unia na Rzecz Postępu Małopolskiego i Hajduka wydawały się oazami spokoju i umiaru. Ku nim skłaniali się artyści, żurnaliści, a także ogół przestraszonych sympatyków upadłego ustroju. Jednak w ferworze telewizyjnych dyskusji głosy zwolenników umiaru i stopniowych zmian przegrywały z retoryką uprawianą przez gorące głowy. Wszystko jednak wskazywało, że radykałowie będą górą.

Sondaże na tydzień przed wyborami dowodziły że CPN z PCHN-em mogłyby rządzić po wyborach samodzielnie bez oglądania się na Szwendąłę.

I kiedy wyglądało, że wszystko jest ustalone, emigracyjna gazetka w Szwajcarii opublikowała tak zwaną „listę Leśniaka”. I zaczęło się pandemonium.

*

Podpułkownik SB Jan Leśniak, który w PRL-u dał się poznać jako odpowiedzialny oficer rozpracowujący czołowych opozycjonistów takich jak Turoń czy Szwendąła, jesienią „Roku Ludów” został przeniesiony przez generała Kiszonkę do działu archiwów. Okazał się pracownikiem nie tylko pracowitym, ale i sprytnym. W dniu, w którym jego pryncypał popełnił samobójstwo, opuścił kraj (do tej pory nie wiadomo jak), wywożąc zmikrofilmowany materiał dotyczący kilkuset ważnych osobistości, głównie działaczy opozycyjnych i uznanych autorytetów moralnych.

Czy był człowiekiem Gałganowa, czy grał na rzecz Szwendąły, Turonia, z którym się zakolegował, czy też prowadził grę tak skomplikowaną, że nawet sam nie do końca zdawał sobie sprawę, czemu to służy – to nigdy nie zostało ustalone. Zwłaszcza że jakiś czas później zginął, zderzając się swym jaguarem z cysterną na autostradzie pomiędzy Bernem a Zurichem.

W każdym razie lista opublikowana w poniedziałek 26 marca tego samego dnia pojawiła się w Wolnej Europie, a nazajutrz wraz z ukazaniem się w nadzwyczajnym wydaniu tygodnika „No pasaran” dudniły o niej wszystkie krajowe media elektroniczne.

Było o czym dudnić – na liście pomawiającej o współpracę z tajnymi służbami znaleźli się przywódcy największych partii – Wiesław Musztardowy i Leszek Sikulski, kilkunastu byłych posłów i senatorów, kilka autorytetów moralnych, paru doradców Lwa Szwendały.

„Obrzydliwość!” – skomentował z niesmakiem Adam Pysznik.

– Nigdy nie podzielałem opinii tych ludzi, ale gotów jestem ręczyć za ich uczciwość! – wołał w swojej telewizyjnej pogadance do społeczeństwa Turoń.

Wieczorem Szwendała zwrócił się do ministra Macierenki z prośbą o bezzwłoczne sprawdzenie danych, szczególnie w przypadku kandydatów do parlamentu.

– To musi być gotowe na piątek – żądał.

– Nie dam rady – wił się minister.

– W takim razie odwołujemy wybory!

Macierenko zrobił, co zdołał. W piątek po południu ukazało się jego oświadczenie, w którym potwierdził, że według zasobów archiwalnych MSW większość osób na „liście Leśniaka” miała w swej biografii tajną współpracę z SB. Poza tym co z tego, że telewizja udostępniła piątkowy wieczór pomówionym?

– Fałszywka esbecka – wołał na tle flagi Sikulski. – To spisek mający na celu odebranie naszej partii pewnego zwycięstwa.

– Gdyby nie byłoby to tak głupie, powiedziałbym, że jest śmieszne – skomentował swoją obecność na liście senator Cebulak, TW „Mirek”.

W podobnym duchu wypowiedział się niedoszły prezes TVP Andrzej Krwawicz, identycznie reagowała również niedoszła rzeczniczka Małopolskiego Małgorzata Niezabudkowska, która dodatkowo rozplakała się przed kamerami (co w ostatecznym rozrachunku przyniosło Unii ze dwa punkty procentowe). Głosu nie zabrał jedynie Wiesław Musztardowy. W stanie ciężkim zabrano go do szpitala.

„Mamy nową poważną jednostkę chorobową: trafieni tęczką” – skomentował całość wydarzeń dyżurny satyryk „Ekspresu Wyborczego” Michał Pomidor.

X

Wybory i amory

Jeśli ktoś tak naprawdę wygrał w wyborach do parlamentu, to głównie „lista Leśniaka”. Ocenia się, że dla partii do ostatniej chwili prowadzących w stawce przyniosła ona utratę połowy wyborców.

W efekcie głównymi wygranymi okazały się szwendałowe PCV (17%) i Unia na Rzecz Postępu (16%). CPN z 9 %, a PCHN z 8% znalazła się w środku stawki. Zamieszanie okazało się korzystne dla libertynów z PPL, uzyskali oni 6% mandatów, a barwni Monarchiści-Realisci Janusza Mordwina Kikke 4%. Głosy oddane na partie polskiej wsi, w sumie około 20%, rozłożyły się na trzy konkurencyjne ugrupowania.

Reszta padła na lewicę: PPS Buhaja i postkomunistów oraz mniejszości narodowe.

– Ułożyć z tego cokolwiek to będzie najtrudniejszy z pasjansów, z którym może poradziłby sobie Piłsudski – twierdził Szwendała.

Inna sprawa, że zagwarantowana konstytucyjnie rola prezydenta powodowała, że to akurat Ryszard Gęsiarowski posiadał w swym ręku większość kart owego pasjansa. Mógł dowolnie powoływać i odwoływać rząd, a w wypadku gdyby taki rząd nie uzyskał wotum zaufania w Izbie, mógł go zmienić albo rozwiązać Sejm. Tyle że aktualny prezydent najwyraźniej nie chciał pełnić swojej wyjątkowej roli, a władza większa niż uprawnienia prezydenta USA i Francji łącznie wyrażnie mu ciążyła. Dwa dni po wyborach, 3 kwietnia, nie czekając, aż zbierze się nowo wybrany Sejm, Ryszard Gęsiarowski złożył oświadczenie w telewizji, które zatrzęsło sceną polityczną.

– Po okresie prowizorium idzie pora na pełną demokrację – powiedział. – Świadom wagi swej decyzji postanowiłem podać się do dymisji, w momencie kiedy ukonstytuowane władze dadzą gwarancję trwałości Rzeczypospolitej.

Wszyscy zwrócili uwagę, że nie wymienił nazwiska ewentualnego następcy, choć to było jego konstytucyjnym uprawnieniem. Dla większości było oczywiste, że musi nim być Szwendała.

„A jeśli nie?” – pytał Pysznik w swoim wstępniaku. – „Jeśli aktualny prezydent rezygnuje i nie wyznacza następcy, czy przypadkiem nie może to oznaczać, że dość ma roli

marionetki i widzi tylko jedną drogę w niedopuszczeniu do autorytarnej dyktatury – oddać los państwa w ręce narodu”.

„To nieusprawiedliwiona konfabulacja przepelniona negatywnym chęćstwem!” – namiętnie odpowiedział mu Piotr Bazicki na łamach „GO”. „Gdyby pan prezydent miał jakiegolwiek zastrzeżenia do współpracy ze swoim premierem, to nie wydawaliby zgodnie dekretów i nie współpracowali w tak pięknym klimacie zaufania. W każdej chwili, w ciągu ostatnich trzech miesięcy Ryszard Gęsiarowski mógł zdymisjonować lub zdyscyplinować Szwendalę. Nigdy tego nie uczynił”.

– Dlaczego więc go wskazał?! – odszczeknął Pysznik.

Spekulacje uciał sam Gęsiarowski:

– Wskażę mego następcę, kiedy dowiem się, że jest on gotów podjąć się tej misji.

– A premier nie jest gotów? – cała hurma dziennikarzy rzuciła się w stronę Szwendalę.

– Nie wiem – odparł po prostu.

Polska wstrzymała oddech. Nie tylko ona Na Warszawę kierowały oczy zarówno kraje dawnego wschodniego bloku, jak i społeczeństwa krajów bałtyckich walczące na ulicach z sowieckim OMON-em. Zda się, budząca tyle nadziei „polska rewolucja” przystanęła w pół kroku. Przywódca „Solidności” pierwszy raz w swojej karierze wydawał się zagubiony. On, który od pół roku znakomicie pociągał za wszystkie nici, tym razem jakby wzbraniał się przed przyjęciem głównej roli i wejściem w snopy reflektorów.

Mnożyły się spekulacje – mówiono o ukrywanej miesiącami chorobie, która ujawniła się w ostatnich dniach z taką siłą, że dni Wielkiego Elektryka były policzone. Domniemywano również, że jakaś sprawa rodzinna, być może szantaż, powstrzymuje go przed kandydowaniem. Jeszcze inni sugerowali, że sytuacja ekonomiczna Polski jest tak zła, a nabrzmiewające konflikty wewnętrzne tak ogromne, że Lwa po prostu obleciał strach.

– Co tam się dzieje? – zastanawiał się Kamil, towarzysząc Andrzejowi i tłumowi innych dziennikarzy czatujących dzień w dzień pod URM-em lub willą na Klonowej.

Szwendała jednak do dziennikarzy nie wychodził. W Niedzielę Palmową wyjechał na rekolekcje do opactwa benedyktynów w podkrakowskim Tyńcu.

*

Absencja Szwendalę sprawiła, że namnożyło się kandydatów na najwyższy urząd w państwie. Jeśli nie Gęsiarowski, wyboru musiały dokonać elity – „lista Leśniaka” mocno ograniczyła zestaw kandydatów – toteż na nieoficjalnej giełdzie na czele listy utrzymywał się

Tadeusz Małopolski. Lewica wyciągnęła z kapelusza gładkiego Wołodię Cichoszewicza, „Solidność” obstawała przy Szwendale, dysponując zarazem kandydatem zapasowym w postaci swego przewodniczącego Lecha Indykiewicza, a na katolickiej prawicy jedną z głównych postaci miał być znany profesor entomologii Konstanty Wiesiołowski, zasłużony w działalności opozycyjnej więzień komuny, skazany za próbę wysadzenia pomnika Lenina. Niezwiązany z salonem warszawskim, bez szczególnego ciągu na kasę powoli przebijał się do pierwszej ligi. I w odróżnieniu od innych *probabili*, którzy mówili o swej kandydaturze w trybie warunkowym, on bardzo chciał.

Równocześnie trwały karesy najrozmaitszych sił społecznych kłębiących się wokół Gęsiarowskiego – szczególnie „Ekspres Wyborczy” mnożył imprezy, w których obecność prezydenta stawała się nieodzowna, a wrodzony urok sprawiał, że z każdym dniem pan prezydent traktował Adasia Pyszniaka cieplej, sympatyczniej, po prostu jak syna. I trudno było się dziwić takiej słabości. Na emigracji Gęsiarowski doświadczył tylu upokorzeń, ludzkiej nieżyczliwości i pospolitego niedostatku, że obecne hołdy musiały sprawiać mu przyjemność.

Co prawda bliższy od lansowanego przez salony Małopolskiego, którego uważał za człowieka zbyt oszlifowanego przez PRL, był mu Konstanty Wiesiołowski, człowiek ciepły, dowcipny, czasem w sądach dość szalony, ale z pewnością katolik i patriota. Nie tracił jednak nadziei na przekonanie Szwendały.

Jego opór wydawał mu się irracjonalny. Do tej pory cała działalność premiera wydawała się nakierowana na osiągnięcie prezydentury (zwłaszcza o tak ogromnych prerogatywach) i dokończenie reform mających przywrócić suwerenność Rzeczypospolitej – wnosząc z niedyskrecji współpracowników, po głowie snuły się pomysły zbiorowego wystąpienia dawnych państw demokracji ludowej z Paktu Warszawskiego i utworzenia neutralnego Bloku Międzymorza, który z czasem mógłby wejść do NATO i Unii Europejskiej, co zapewniłoby krajowi stabilizację i pomyślność gospodarczą na bazie narodowej przedsiębiorczości i sprawnego rządu.

– Nie rozumiem pana wahań, panie premierze – mówił podczas spotkania w Belwederze Gęsiarowski.

– Czy chce pan, abym pana błagał?

– Proszę mi dać ten Wielki Tydzień do namysłu. W poniedziałek udzielę odpowiedzi.

– Żeby to tylko nie był lany poniedziałek.

Gdyby zapytać Kamila Barczewskiego, czym zajmował się tej wiosny – najkrótsza odpowiedź brzmiałaby – wyrównywaniem krzywd. Praca reportera stała się w tym czasie działaniem przypominającym wysiłek saperskiego i misjonarza równocześnie. Bezmiar bezprawia, który odsłaniał się w wyniku działania wolnych mediów wspieranych przez lokalne inicjatywy, przywołał na myśl krajobraz po przejściu powodzi. Gwałt, krzywda, samowolka ujawniały się na każdym kroku, a cała Polska przypominała zbiorowisko udzielnych księstw rządzonych przez układy i układziki. Poza wolną prasą nie bardzo miał się kto tym zajmować – wprawdzie znikli pierwsi sekretarze, ale pozostały ich dwory oraz wasale wasali – sprzedajni prokuratorzy, dyspozycyjni sędziowie, sprawni w egzekwowaniu prywaty komendanci policji. I co z tego, że wyłapano morderców księży i ujawniono ich mocodawców. Pod każdym prawie kamieniem siedział jakiś robał, jakaś czerwona stonoga okopana, podczepiona i niemająca nic do stracenia.

W dodatku nie występowali przeciw nim święci, ale ludzie skrzywdzeni, połamani, wściekli, gotowi iść na skróty i często niepojmujący, że bezprawie można zwalczyć prawem. Nierzadkie były sytuacje, gdy nowi władarze wchodzili w buty usłużnie pozostawione im przez poprzedników, a nawet młodzi polonusi wpadali w pułapki zastawiane przez niedawnych gospodarzy.

Pieniądze, wódka, seks i pochlebstwo stawały się afrodyzjakami, którym niesłuchanie trudno było się oprzeć. W dodatku w centrali nie zawsze zdawano sobie sprawę, że system znieprawienia kaleczył w podobnym stopniu deprawatorów, jak i deprawowanych.

W ciągu paru miesięcy Kamil przeżył to, co w spokojniejszych czasach mogłoby stać się udziałem paru pokoleń dziennikarzy. Bywał na miejscu samosądów, w wyniku których niewinni zapłacili za winnych, opisywał samobójstwa zdemaskowanych łajdaków, ale również oglądał upadki sprawiedliwych, którzy uznali, że w imię niwelowania rachunku krzywd wszystko im wolno. Oglądał żyjące pomniki, z których po zdarciu pozłoty wychodziły koniunkturalne łotry, i paru ludzi starego reżimu służących na swym małym odcinku dobru, a teraz płacących cenę za pozostałych.

Co gorsza, zmiany wywoływały gigantyczny bałagan, zapanowanie nad którym wydawało się zadaniem na miarę przynajmniej kilku generacji.

Jeśli mimo tego wszystkiego odchodziły pociągi, rodziły się dzieci, kwitły bazyliki, odradzała się wolna szkoła i pracujące przez dwadzieścia cztery godziny sądy – choć zdziesiątkowane przez choroby i przejścia na emerytury setek sędziów i prokuratorów uciekających przed nadciągającą lustracją – to należy przyjąć, że kraj między Bugiem a Odrą znalazł się pod szczególną opieką Opatrzności.

Przynajmniej na jakiś czas.

*

Wahania Szwendają i jego nagły wyjazd zaniepokoiły mocno Jarka Indykiewicza. Wydawało mu się, że dobrze zna swego szefa, choć czy ktoś go naprawdę znał?

– Jest oczywiste, że coś go gryzie – powtarzał brat, który na czas świąt przybył z Gdańska do Warszawy.

– Tylko co?

– Przeszłość – odparł poważnie przewodniczący związku. – Swego czasu krążyły wokół jego osoby rozliczne plotki na temat uwikłania, których nikt nigdy nie potwierdził, ale również nie zdementował.

Jarosław nigdy nie miał najlepszych stosunków z Macierenką, to znaczy szanowali się, doceniali, chociaż trudno było mówić o sympatii. Teraz jednak mocno zaniepokojony sytuacją postanowił zobaczyć się z ministrem spraw wewnętrznych. Spotkali się niby przypadkowo na grobach w żoliborskim kościele Świętego Stanisława Kostki, po czym Jarosław zaprosił go do domu swej mamy, gdzie czuł się najpewniej.

Jego dawne życie przypominały również cztery koty, które z wielkim żalem musiał tu pozostawić, ponieważ jego żona miała alergię na sierść.

– Co wygrzebałeś na Szwendają? – zapytał wprost.

– Ja... – Antoni zrobił dziwną minę, ale Indykiewicz nie ustępował.

– Wiem, że gromadzisz na niego kwity.

– Tylko sprawdzam, co ewentualnie mogłoby wypłynąć. Robię to w interesie państwa.

– I co znalazłeś?

Macierenko najchętniej by uciekł, ale jeden z kotów blokował drogę do drzwi, drugi zajął parapet pod oknem, a dwa pozostałe wpatrywały się w niego, dziko gotując do skoku.

– I dużo, i mało – powiedział. – Zwłaszcza jeśli odcedzi się to, co było esbecką prowokacją.

– To znaczy?

– Gdyby w grę wchodził jakiś szary obywatel, to niewiele. Werbunek w 1970 roku, parę lat mało istotnej współpracy, zerwanie. Jednak wobec człowieka legendy, symbolu, mitu, nawet to mogłoby się stać potężną bombą.

– Ale Leśniak tego nie użył. Przestraszył się?

– Myślę, że zostawił sobie na deser.

– A ty, Toni? Jaki chcesz zrobić z tego użytek. Mam wierzyć, że zgromadziłeś dossier Lwa wyłącznie po to, żeby zaspokoić własną ciekawość?

– Oparłem się pokusie, by tym zagrać – odparł Macierenko, skubiąc brodę, która karykaturzystom pomagała do kreowania go na „drugiego Felka Dzierżyńskiego”. – Tym bardziej że chyba w tym właśnie celu ludzie Kiszonki podrzucili mi akta „Ciulka”. Jak pewnie wiesz, w przeszłości miałem do Szwendąły stosunek mieszany. Od września uważam go za nasz los na loterii. Nie wiem, co się z nim wtedy stało, ale zachowuje się jak prawdziwy mąż stanu. Dokonał w Polsce wielkiego dzieła. Inni może by i chcieli działać podobnie, ale z pewnością nie mieliby takiej determinacji ani takich środków...

– A zatem?

– Gdybym wiedział, że to są jedyne egzemplarze, że nie ma kopii w Moskwie czy mikrofilmów u Leśniaka, z przyjemnością zniszczyłbym ten szajs.

– A tak? – wszystkie koty znalazły się w odległości metra od ministra.

– Nie użyję tych materiałów. Chyba że będę musiał.

– Co oznacza ów mus?

– Rację stanu. Przypuścimy, że dane wypłyną, a Szwendąła zechce się wypierać, mataczyć, zasłaniać zdobytą władzą, uciszać pytających. I jeśli w tych działaniach przekroczy granicę...

– To co wtedy?

– Myślę, że będziemy musieli go skłonić do ustąpienia. Bez względu na koszty.

– Cholera! – mruknął ponuro Indykiewicz, a wszystkie koty jak na sygnał zaczęły miauczeć.

*

Faktycznie to, że pewnego dnia może wypłynąćteczka TW „Ciulka”, niepokoiło Szwendąłę już dużo wcześniej. O istnieniu papierów na siebie wiedział jeszcze z czasów pierwszej „Solidności”, usiłowano go straszyć nimi podczas pobytu w internowaniu, próbując skłonić do przejścia na ciemną stronę mocy i przyjęcia szefostwa nowej, odrodzonej „Solidności” bez inteligenckich doradców i elementów antysocjalistycznych (co zakładała zamierzona ze znacznym rozmachem operacja „Renesans”).

– Za stary jestem wróbel na takie numery – odpowiedział wówczas, polecając zrzucić mediującego Mieczysława Krabika ze schodów. – Macie coś na mnie, to proszę karty na stół. Nie macie, morda w kubel!

Nie położyli. Dość nieudolnie preparowali dokumenty mające uniemożliwić elektrykowi przyznanie Nagrody Mebla, ale złapała się na nie jedynie poczciwa Ania Makuszyńska. Chociaż i ona nie podjęła się rozbicia ruchu.

Później już, podczas negocjacji w Małgorzatce do sprawy „Ciulka” nawiązał generał Kiszonka, obiecując Lwu, że prawda nie wyjdzie na jaw. „W końcu jesteśmy partnerami!” – powtarzał parokrotnie.

„Ja się prawdy nie obawiam” – odparł Szwendala, chociaż tego wieczora wódka generała wydała mu się okropnie gorzka.

Pół roku później, kiedy zaczęły ukazywać się dokumenty Leśniaka, stracił tę pewność. Mówiąc szczerze, przestraszył się nie na żarty. Jednak odetchnął, kiedy okazało się, że nie figuruje na tej przeklętej liście. Może więc Kiszonka dotrzymał słowa?

Zaraz po wyborach spotkał się z pułkownikiem Gładyszem, prosząc o kilka poufnych informacji. Gładysz puszczał farbę niechętnie, ale w końcu poinformował premiera, że minister Macierenko bardzo interesuje się jego osobą i zorganizował tajną kwerendę, ściągając materiały również z Gdańska. Co gorsza, sugerował, że w mikrofilmach Leśniaka może znajdować się komplet dokumentów z lat 1970-1976.

– Dlaczego w takim razie Leśniak ich nie ujawnia?

– Może czeka na moment, gdy zechce pan stanąć do wyborów prezydenckich. A może zgłosi się z jakąś ofertą.

W Tyńcu wytrwał do Wielkiego Czwartku. W Wielki Piątek nierozpoznany dzięki mniszemu kapturowi wziął udział w Misterium Męki Pańskiej koto Lanckorony, w Wielką Sobotę również *incognito* (zgoilił swoje słynne wąsy) modlił się w Częstochowie, a wieczorem dotarł do Kalwarii Legnickiej, gdzie wziął udział w rezurekcji obchodzonej tu inaczej niż w innych miejscach – nocą. Dlaczego wybrał to miejsce na moment Zmartwychwstania Pańskiego? Czy dlatego że tam przeżył swój międzynarodowy tryumf z kanclerzem Schnapsem? Dojrzywał do decyzji, bilans „plusów dodatnich i ujemnych” sugerował, że jednak powinien się wycofać. Teraz, u szczytu powodzenia.

Jego słuch społeczny dowodził, że wkrótce okres ochronny rządu minie, że zaczną buntować się rozmaite grupy społeczne. Pierwsze pomruki niezadowolenia dochodziły już teraz – chłopstwo z upadających PGR-ów wprawdzie nie miało ochoty gospodarować samodzielnie, ale burzyło się przeciwko „powrotowi obszarników”. Robotnicy chcieli pracować według socjalistycznych zasad, a pobierać kapitalistyczne wynagrodzenia, inteligenci domagali się dawnych przywilejów, a klasa średnia... Przekształcenia wymagały

sprawnego aparatu administracyjnego. Ten odziedziczony po Polsce Ludowej stanowił jedynie wielki korupcjogenny kłęb nieudacznictwa, arogancji, prywaty i chciwości...

Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że może być gorzej. Rezygnując dobrowolnie i zostawiając innym użeranie się z Polską i światem, miał zapewnione miejsce w historii. Pomniki, ulice, grobowiec na Wawelu. A w przeciwnym razie – szarpaninę ze stadem atakujących go ogarów...

Mógł pozostawić po sobie w miarę bezpieczny układ z Małopolskim jako marszałkiem Sejmu, Jarkiem Indykiewiczem jako premierem... Ale kto prezydentem? Stefan?... Czemu nie? Chociaż z drugiej strony, czy emocjonalny profesorek mógłby zostać przywódcą odpowiedzialnym jedynie przed Bogiem i Historią? Można by przed odejściem zadbać o pewne poprawki konstytucyjne. Ograniczyć królewskie prerogatywy do ram, w jakich poruszał się np. prezydent Francji. Wprowadzić zasadę wyboru przez Zgromadzenie Narodowe i zaasekurować się procedurą impeachmentu...

„A ja?” – zastanawiał się raz jeszcze – „Czego mi trzeba do szczęścia? Mógłbym podróżować po świecie, zarabiając godziwe pieniądze na wykładach, łowić merliny na Jamajce i rekiny w Morzu Czerwonym, bardziej zadbać o dzieci, które rosną jak dziczki...”

Po mszy nierozpoznany pozostał w kościele. Zauważył, że towarzyszący mu ochroniarz usnął. Mietka Wachmistrzowskiego też nie było. Spał w samochodzie, mając przesyt postów, nabożeństw i religijnych uniesień. Nie rozumiał postępowania szefa, choć zapewne domyślał się, co go gryzie.

„Wodzu! Nie ma co się łamać” – powiedział całkiem niedawno. – „Mamy dość sił by, jakby co, zamknąć gęby wszystkim kłamcom i pomawiaczom, a kiedy wódz zostanie już prezydentem, obejmie go immunitet absolutny. Poczytałem sobie w tej konstytucji: »„Prezydent RP ma nie tylko przywilej nieodpowiedzialności za wydane przez siebie akty urzędowe. Nawet za czyny niezwiązane ze sprawowaniem władzy nie może być pociągnięty do odpowiedzialności w czasie pełnienia swego urzędu«. Miód po prostu!”

Pewnie mógłby tak zrobić. Co więcej, „stary Szwendala” zrobiłby tak na pewno.

Zdymisjonowałby Macierenkę, znalazł sposób, żeby uciszyć Leśniaka i konsekwentnie zaprzeczać wszystkiemu, wierząc w miłość ludu, własną charyzmę i szczęśliwą gwiazdę. Tyle że ten nowy nie mógł się na to zgodzić. Za dużo wiedział o świecie, o historii i Bogu. I to poczucie odpowiedzialności. Za przyszłość, za rozpoczęte reformy...

Gdyby mógł z kimś porozmawiać. Tymczasem po raz pierwszy od bardzo dawna poniechał spowiedzi wielkanocnej. Tylko jak miał nie poniechać, skoro wedle Leśniaka jego osobisty kapelan ksiądz Szczypióra także należał do tajnych współpracowników.

W przeszłości. Kto wie, dla kogo pracował nadal? I czy nie korciło go, aby zdradzać tajemnice spowiedzi?

– Amen – szepnął do siebie Szwendala i wstał.

Wydawało mu się, że jest w kościele sam i bardzo się zdziwił, widząc zmierzające ku niemu dwie kobiety. Jedna w błękitach ubrana jak na bal (nie zimno biedactwu?), druga przyodziana skromnie jak mniszka, choć sądząc po bujnych włosach, raczej zakonnica nie była. Podeszły do niego śmiało, ale kiedy były już całkiem blisko, Lew uzmysłowił sobie, że jest to tylko jedna osoba, a to co brał za kobietę w błękitach, stanowiło jedynie cień, jakieś przywidzenie...

– Nie może się pan wycofać – powiedziała dziewczyna, tak jakby czytała w jego myślach. – Jeśli pan to zrobi, stracimy wszystko, co osiągnięto do tej pory.

– Ale skąd, kim pani jest?

– Mama dała mi imię Kasandra.

– Tak jak ta...?

– Tak jak tamta Trojanka, siostra Parysa i Hektora, córka Priama. Mamy też dwie cechy wspólne.

– To znaczy?

– Czasami widzę przyszłość.

– A ta druga?

– Nikt mi nie wierzy.

– Proszę mnie przekonać, że powinienem uwierzyć, a uwierzę.

– Inne kandydatury upadną – powiedziała niezbyt wyraźnie. – Będzie pan musiał się zdecydować. Dla Polski. Żeby nie zaprzepaścić wszystkiego. I wierzę, że pan wygra, i że historia określi pana Lwem Wielkim, a nie „Ciukiem”.

Chciał ją spytać, skąd zna ten pseudonim, ale skrzyła za filarem i zatrzasnęła za sobą wąskie drzwiczki wiodące w głąb klauzury.

*

Wrocławska Telewizja Pogłos nadawała od dwóch tygodni. Nie miała koncesji ani zgody właściwych urzędów. Ale nie starała się, jako że nie było jeszcze żadnych uregulowań prawnych dotyczących podziału eteru. Stworzyło ją kilku byłych esbeków i dziennikarzy, przypuszczając, że uda im się okopać na zasadzie zasiedzenia. Niektórzy mówili, że

kolaborują z Turbanem, inni twierdzili, że założyciel telewizji, emerytowany oficer z MSW, gra w tenisa z radcą ambasady ZSRR-u Gałganowem.

W każdym razie w Niedzielę Wielkanocną (nie przejmując się zgoła odczuciami ludzi wierzących) stosunkowo niewielkiej garści odbiorców Pogłosu zafundowano kawałek, który kilka lat później nazwanoby hardcore'owym. Nagranie z ukrytej kamery przedstawiało mężczyznę szalejącego w damskiej sypialni. Kobieta była nadzwyczaj zgrabna i pełna profesjonalnego wdzięku. W dodatku szelma musiała być świadoma obecności kamery. Ta pokazywała ją przeważnie od tyłu, a jeśli nawet ujawniała profil umożliwiający docenienie jej kształtnego biustu, długich blond włosów, ani chybi peruki, to inne miejsca porośnięte były zdecydowanie ciemnym runem i skutecznie zasłaniały jej twarz. Kamera nie obawiała się zbliżeń, kiedy mężczyzna wspinał się na wyżyny miłości francuskiej, zebrał o dopuszczenie do finału, kiedy obrywał pejczem i wreszcie kiedy... Zresztą zostawmy szczegóły.

Andrzej dostał nagranie w Lany Poniedziałek po południu (w telewizji kto żyw, rzucił się, aby kopiować na VHS-ie) i zaprosił kolegów na zbiorową degustację.

Choć od rana cała Polska wiedziała, co tam zobaczy. Uczestnikiem orgii wykrzykującym co chwila entomologiczne komplementy w rodzaju „pszczołko, muszko, modliszko!” był nie kto inny jak kandydat na prezydenta, lider arcykatolickiej partii profesor Konstany Wiesiołowski.

– To musi być jakiś montaż. Albo podstawiony sobowtór – zawołał Kamil.

– Wykluczone – powiedział Felgiewicz. – Nie ma równie identycznych sobowtórów. Byłem niedawno na zjeździe sobowtórów Szwendąły...

– Słyszałem – parsknął Jurek Jarzabek. – Sam Lew podobno zgłosił się na konkurs i zajął szóste miejsce!

– Nie przerywaj! – zawołał Barczewski. – Co z tymi sobowtórami?

– Podobni są tylko *en face*. Profil ujawnia odmiennosc. A tu mamy identyczną nie tylko powierzchownosc, ale ruchy i głos... Idę o zakład za wszystkie pieniądze, że mamy nagranie i udziałem oryginalnego profesora.

– Mój Boże, może dali mu jakiś środek podniecający, chcąc go skompromitować.

– Tak zapewne będzie się bronić – zgodził się Andrzej. – Poza tym widać wyraźnie, że jest obraz brany z dwóch kamer, co dowodzi, że gniazdko miłości zostało profesjonalnie przygotowane...

– Czekajcie! – krzyknął naraz Jurek. – O kurwa! Możesz zastopować i cofnąć?

– Oczywiście – Felgiewicz spełnił polecenie kolegi i cały ekran wypełniły kształtne plecy dziewczyny. – Widzicie te trzy pieprzyki?

– No tak.

– W istocie przypominają one trzy małe szóstki.

– „Sześć razy sześć równa się sześćdziesiąt sześć!” – Barczewski zacytował swego ulubionego „Agenta Dołu”.

– Z całą pewnością mogę przysiąc, że to ciało należy do Anastazji Raszyńskiej, naszej redakcyjnej koleżanki.

– Nie może być!

– Zwierzała mi się, że ma doskonałe relacje z politykami – ciągnął Jarząbek. – Podobno zamierzała je kiedyś spisać w książce pod tytułem „Szatańskie immunitety”... Opowiadała mi różne ciekawostki o Aleksandrze Goryczce, że „mocny tylko w gębie”, i o Leszku Killerze, że to „prawdziwy mężczyzna”... Nie przypuszczałem jednak, że podobne sukcesy odnosi na prawicy... A to dziwus! Ciekawe, jak to przyjmie nasz szef, skoro podobno byli parą?

– W każdym razie niemożliwe, żeby działał się to za jego wiedzą! – stwierdził Kamil. – Tylko ciągle nie mam pojęcia, czemu miałoby to służyć. I komu.

– Kompromitacji narodowej prawicy. Zwłaszcza jeśli Szwendała naprawdę zrezygnował, mielibyśmy naprawdę wielki kłopot.

W istocie sytuacja była dramatyczniejsza, niż przypuszczał. W domu został matką czekającą na niego jak na rozżarzonych węglach.

– Masz jakieś dojście do otoczenia premiera? – zapytała.

– Mogę mieć.

– To powiedz im, że na środę Turban szykuje taki pasztet, że cały kraj się zatrzęsie.

– O czym mama mówi?

– O kolejnych dokumentach pułkownika Leśniaka, które znalazły się (zapewne nieprzypadkowo) w redakcji „No pasaran”. Wedle nich stoi czarno na białym, że wasz Szwendała współpracował ze Służbą Bezpieczeństwa i co gorsza, brał za to pieniądze.

– To oczywista fałszywka!

– A jeśli nie? Są tam dokumenty, rachunki, fotografie... Pomyśl, jakim echem to się może odbić na świecie?

Na moment uważniej przyjrzał się swojej rodzicielce. Amelia wydawała się autentycznie przejęta.

– A właściwie dlaczego mamusia to robi? – zapytał. – Przecież Szwendała nie jest postacią z mamy bajki?

– Ale pomimo tego, co o mnie sądzisz, jestem Polką, zależy mi na tym kraju. Nie chcę nowego zamieszania. A poza tym... – uśmiechnęła się smutno – przyzwyczałam się do tego waszego elektryka.

– Co konkretnie ma się ukazać? – zapytał, przechodząc do meritum.

– Wynotowałam w punktach. Podyktuję ci.

Andrzej Drzymałko wrócił już do Warszawy, tradycyjnie wynajmował pokój w hotelu Stolec. Mimo późnej pory zgodził się umówić z Kamilem, z którym stykał się już wcześniej podczas konferencji, briefingów, a także karnawałowego Balu Prasy.

– Miło jest pogadać jak historyk z historykiem – powiedział za kolejnym razem.

Spotkali się koło Radia na Myśliwieckiej i poszli na spacer... Rzecznik wysłuchał pilnie Barczewskiego, zadał kilka pytań, po czym wspiał się Agrykołą i ruszył pieszo w stronę Klonowej.

Szwendała już spał, czego nie można było powiedzieć o jego kierowcy. Jakiś czas temu udało się Wachmistrzowskiemu wyprosić miejsce w starej służbówce, gdzie sypiał gotów stawić się na każde skinienie premiera.

– Co jest? – zagroził drogę wchodzącemu Drzymałce.

– Muszę pilnie porozmawiać z Lwem.

– Śpi i jak wiesz, nie znosi, kiedy się go budzi. – Wysłucha mnie.

– Ale o co chodzi? O oświadczenie w sprawie kandydowania?

– Nie – na wszelki wypadek skłamał rzecznik. – Dostałem pewne pytania z Departamentu Stanu USA. Ciągłe nie przyjmują do wiadomości różnicy czasów i liczą na odpowiedź.

– Daj mnie, przekażę rano.

– Muszę się z nim zobaczyć osobiście! – Drzymałko podniósł głos, czego nie zwykł robić często, i usiłował wyminąć Mietka. Ale barczysty eksmarynarz zagroził mu drogę.

– Ja decyduję, kto rozmawia z „wodzem”! – powiedział twardo.

– Myślałem, że to należy do obowiązków Krzyśka Pulla.

– Tak było do wczoraj. Ustaliliśmy z „wodzem”, że Krzycho wraca do Gdańska, a ja przejmę jego obowiązki. Powiedz mi, o co naprawdę chodzi, a wtedy być może ci pomogę.

Na piętrze otworzyły się drzwi i fala światła zalała schody.

– Co tam się dzieje? – zabrzmiał rozespany głos Lwa.

– To tylko ja – powiedział Drzymałko. – Jest bardzo ważna sprawa.

– Wchodź.

Weszli we dwójkę z Mietkiem. Szwendała łypnął na niego spod oka.

– Nie będziesz mi potrzebny.

– Mogę zrobić wam kawy – zaofiarował się „kapciowy”, jak zwykł o nim mawiać Indykiewicz.

– Nie piję kawy o tej porze. Chodź, Andrzejku – pociągnął go do środka zdecydowanym ruchem, zamykając drzwi przed Wachmistrzowskim.

XI

Prawda nas wyzwoli

We wtorek 16 kwietnia 1990 roku rozpoczęło się pierwsze posiedzenie nowo wybranego Sejmu. Otworzył je marszałek senior Stefan Budyniowski, poseł z Warszawy, który jeszcze raz popisał się kunsztem mistrza felietonu:

– Należę do pokolenia, któremu historia nie oszczędziła niczego. Zrodzeni pod berłem cara przeżyliśmy dwie wojny światowe, parę ustrojów, wielu różnego kalibru przywódców i mnóstwo dramatów. Jako chłopiec doświadczałem klimatu pierwszych dni wolności w niezapomnianym 1918 roku, wiek męski był dla mnie wiekiem klęski wrześniowej, okupacji i lat stalinowskiego zniewolenia. Dziś czuję się jak pasażer pociągu, który wyjechał z długiego brudnego tunelu. Wolny wśród wolnych. Szczęśliwy wśród szczęśliwych... – przemówienie nie było długie, czego „Budyń” serdecznie żałował. Przejechałby się chętnie i po historii, i po niektórych poprzednikach w tej Izbie, jednak na dłuższe gadanie nie pozwalał mu stan zdrowia.

Po nim zabrał głos prezydent Ryszard Gęsiarowski. Jak zwykle słusznie, ale nie porywająco. Było jasne, że stoi za nim cały majestat i tradycja Rzeczypospolitej, jednak on sam pozostawał niezwykle skromny...

– Dziękuję Bogu, że mogłem się do czegoś przydać. Nadchodzi pora, aby kapitan wygnaniec dobiwszy do brzegów ojczyzny, przekazał ster nawy państwowej w ręce godniejsze, młodsze i sprawniejsze – rozległy się brawa, a wielki znak zapytania zawisł nad Izbą: w czyje ręce?

– Nie wskażę go dzisiaj – uniósł wzrok znad pulpitu i spoglądał na ławy rządowe, w których siedział Szwendala wraz z całym gabinetem. – Dam czas do namysłu, do podjęcia niezbędnych kroków legislacyjnych, aby wybór mógł się dokonać tu, w Zgromadzeniu Narodowym. A potem będę mógł ze świadomością należycie wykonanej pracy śledzić jego i wasze dzieło ku pożytkowi wspólnemu, ku chwale i wielkości naszej ojczyzny...

Resztę przedpołudniowej sesji wypełniły ślubowania poselskie, a następnie wybór marszałka – został nim ostatecznie mecenas Jan Olsza, zasłużony obrońca w procesach politycznych lat minionych. Ze wszech miar ciekawa kandydatura Tadeusza Małopolskiego

upadła, nie tyle nawet dlatego, że obawiano się jego politycznych preferencji czy też dolegliwości zdrowotnych. Posłowie najbardziej obawiali się, że ich zanudzi.

Na popołudnie zaplanowano wystąpienie w Izbie premiera. Wszyscy uważali, że to może być najważniejszy punkt owego dnia.

Na razie Szwendala wrócił do domu, nie chcąc widzieć nikogo, odbierać telefonów (mimo że telefon od pani Hanki po prostu się urywał) ani jeść.

– Mam coś pomóc, wodzu? – zaofiarował się Wachmistrzowski, bezskutecznie usiłując nawiązać jakiś dialog.

– Wezwę cię, gdy będziesz potrzebny.

Wachmistrzowski wszedł do swego pokoju.

I zdębiał. Przy jego stole, na ulubionym krześle siedziało dziecko. A właściwie, czy to było dziecko?

Dziewczyneczka w czerwonej sukieneczce liczyła może jedenaście, może dwanaście lat, a więc wchodziła w wiek, w którym hormony gotują się do wielkiego skoku, a w niewinnej dziecięcej wyobraźni zachodzą nieodwracalne zmiany. Blond włoski opadały w anglezach, oczka miała niewinne. Ale usta, w karminowych szerokich wargach kryło się coś występnego. Jadła właśnie soczyste jabłko, zdrowe zęby wgryzały się w mięsz, sok ściekał po brodzie...

Mietek nigdy nie miał skłonności pedofilskich, jednak ta istotka wzbudziła w nim od razu podniecenie.

– A co ty tu robisz? – warknął groźnie.

– Musimy porozmawiać – dziewczyneczka głos miała męski, niski, ze względu na charakterystyczny wschodni zaśpiew dziwnie znajomy. Kolejny żart Gałganowa? – I nie rób takiej głupiej miny, Mieczysław – burknęła. – Widziałeś „Ostatnie kuszenie Chrystusa”?

– Gdzie?

– W kinie, ćwoku! Dobry film Martina Scorsese sprzed dwóch lat! Kościół go potępia w czambuł, tak jakby dymanie Marii Magdaleny w dodatku po ślubie było czymś nagannym, a ja osobiście nie spotkałem nigdy bardziej chrześcijańskiego obrazu, w dodatku zgodnego z ustaleniami wszystkich soborów powszechnych. Jeśli bowiem przyjmujemy dwie natury Jezusa...

– Zamierzasz uczyć mnie teologii? – Wachmistrzowski wyraźnie nie był w nastroju do rozmowy.

– Nie podejmuję się spraw beznadziejnych. A film przywołałem jedynie dlatego, aby uświadomić ci, że przybieranie postaci dzieci jest jedną z naszych ulubionych metod – ostatnie słowa skończył w swojej jak najbardziej Gałganowej postaci.

– O co ci chodzi tym razem?... Wybacz, ale trochę się dzisiaj śpieszę.

– *Festina lente*, mawiali starożytni. Poza tym czasami pośpiech bywa zgubny. Podczas uprawiania seksu, przyprowadzeniu samochodu...

– W obu dziedzinach mam opinię perfekcjonisty.

– Być może. Ale masz rację, nie przybyłem tu na pogawędki. Nie jesteśmy z was zadowoleni, Mieczysław.

– Robię co mogę.

– W tym sęk, że mało możesz. Zawodisz na całej linii. Utraciłeś kontrolę nad sytuacją. Nie zapobiegłeś całemu pasmu klęsk.

– Lew zmienił się w sposób nieprzewidywalny.

– Wiem o tym lepiej niż ty. Ale właśnie to jest powodem naszych kłopotów. Żebyśmy chociaż wiedzieli, co zamierza dziś zrobić.

– Nie uczestniczę w rozmowach. Drzymałko trzyma głębę na kłódkę, Pull nie jest wprowadzony w nic. Wydaje mi się, że „wódz” rozważa dwie możliwości.

– Rozumiem, że obie złe dla nas?

– Proponowałem mu dobrą. Działanie wyprzedzające aresztowanie Turbana, skonfiskowanie nakładu „No pasaran” i szybkie przyjęcie prezydentury.

– Tak, wtedy mielibyśmy go w rękę. Im bardziej odcinałby się od niechlubnej przeszłości, tym bardziej stawałby się nasz... Ale rozumiem, że tego nie zrobi?

– Nie. Biorąc pod uwagę, jak często się modli, raczej zrezygnuje z posady.

– Obawiam się, że wybierze jeszcze gorszą opcję. – Tu pochylił się do ucha majordomusa i wyszeptał parę słów. Ten skinął ze smutkiem głową.

– Może tak być.

– W takim razie wiesz, co zrobić, kierowco? – Gałganow wykonał charakterystyczny gest. – I to w ciągu najbliższego kwadransa.

– Ja? Nie... To wykluczone! – w głosie Mietka pojawił się autentyczny strach.

– Daję ci słowo, nie poniesiesz żadnych konsekwencji

– Nie o to chodzi. On naprawdę jest mi bliski. Nie mógłbym zrobić mu krzywdy...

– Wierz mi, postąpisz dla jego dobra. Przecież nie chodzi o to, żeby został ciężko poturbowany. Wystarczy tylko, jeśli nie wygłosi tego oświadczenia – tu skrzywił się demonicznie. – Przestało mi smakować to jabłko – odłożył ogryzek na talerzyk. Trudno było mu się dziwić, aromatyczny miąższ raptownie szerniał jak kwitnący sad z nadejściem zimy. I naraz wyroilo się zeń plugawe robactwo w tak wielkiej liczbie, jakby wszelka czerw świata wyznaczyła sobie spotkanie na stoliku Wachmistrzowskiego.

– Jestem zgubiony – pomyślał „kapciowy”. Chciał się przeżegnać, ale nie mógł.

Za kwadrans szósta Szwendała zbiegł do samochodu. W Sejmie zakończyły się ślubowania poselskie i jeszcze przed wyborem marszałków miał zabrać głos premier. Izba zgodziła się na taki nowy punkt porządku dziennego przez aklamację.

Z Klonowej na Wiejską było niedaleko, jedna dłuższa prosta Alejami Ujazdowskimi i parę skrętów. Milicja (a właściwie od niedawna policja) zablokowała ruch, toteż droga była jak po stole.

– Nie musi się wódz zapinać – powiedział Mietek, widząc, jak Szwendała sięga po pas. Sam jednak, kiedy Lew machał fotoreporterom, wsunął końcówkę w klamerkę... Kątem oka obserwował twarz premiera. Gdzieś ulotniła się cała nerwówka ostatnich dni. Był spokojny. Niesamowicie spokojny.

Dodał gazu. Za placem Na Rozdrożu przekroczył setkę. Lubił taką jazdę. Nie tracił jednak czujności. Oczywiście zauważył, jak z Alei Róż wypadła na jezdnię kolorowa piłka, a zaraz za nią wybiegła krucha jasnowłosa dziewczynka.

– Uwważaj! – krzyknął Szwendała.

Mietek dał po hamulcach, szarpiąc równocześnie kierownicą. Wóz zatańczył na jezdni i wpadł na chodnik, zatrzymując się na latarni.

„To potrafi każdy kaskader” – było ostatnią myślą Mietka. Nie odnotował już, że wsunięty niedbale pas się wypiął i z jakiegoś powodu nie zadziałała poduszka powietrzna. Pisk hamulców i łoskot uderzenia poderwał z miejsc większość redaktorów „GO”.

Kamil dopadł okna jako jeden z pierwszych. Kolorowa piłka ciągle tańczyła na jezdni, ale nigdzie nie widać było jej właścicielki. Pasażer rozbitego wozu wygramolił się ze środka. Dopiero po dobrej chwili zorientowano się, że jest to premier. Biorąc pod uwagę stan wozu, zdumiewające było, że jeśli nie liczyć stłuczonego kolana, Szwendała wyszedł z kolizji bez szwanku. Wyraźnie przerażony myślał, że może ktoś został staranowany, ukląkł i zajrzał pod samochód – nikogo nie było. Potem próbował wyciągać martwego kierowcę. Zaraz jednak odciągnęli go ochroniarze. Upierali się, aby wieźć go do lecznicy.

– Później – zbył ich sugestię – teraz muszę do Sejmu.

W oczach miał łzy. Mógł czasami wkurzać się na Wachmistrzowskiego, mógł podejrzewać go o różne nieczne sprawy, ale w sumie był to jedyny przyjaciel, jakiego miał.

Późnym popołudniem Kasandra usnęła nad książką. Coraz częściej po nieprzespanych nocach w ciągu dnia nachodziła ją nieodparta senność. Miało to tę dobrą stronę, że w dzień bała się mniej swoich zwidów.

Nocami cudzoziemiec z kocią bródką stawał się coraz bardziej nachalny. Widywała go co wieczór za oknami. Stukał w szybę, a kiedy odsuwała kotarę, jego blada twarz lśniła trupio, a usta przywarte do szkła niczym gęba jakiegoś wielkiego glonojada powtarzały: „Kiedy wyjdiesz, kiedy wyjdiesz?!”. Od pewnego czasu nie odsłaniała tej zasłony. Pozbyła się lustra i myła się wyłącznie pod bieżącą wodą.

Zakonnice były coraz bardziej zaniepokojone jej stanem.

Czasami była świadkiem sporów, jakie na jej temat toczył gość w meloniku z błękitną baletnicą.

– Nie możesz dać spokoju tej dziewczynie? – pytała błękitna.

– Nie mogę!

– Dlaczego?

– Taki mam charakter – wzruszał ramionami. – Dziewice wywołują we mnie kurwicę.

– Jest twarda – wytrzyma!

– Jeśli wcześniej nie zwariuje.

„Niewiele mi brakuje. Samotność, tęsknota za rodziną i Kamilem i jeszcze to osaczenie...” – pomyślała Kasia i przebudziła się. Popatrzyła na zegarek. Pora telewizyjnych Wiadomości!

Tego wieczora informacja o wypadku Szwendąły i śmierci jego kierowcy była pierwszą informacją w głównym wydaniu Wiadomości. Kamera pokazywała samochodowy wrak owinięty wokół latarni w Alejach Ujazdowskich. Kasia nie słuchała głosu komentatora, uwagę jej przykuły dwie znajome postacie widoczne, przynajmniej dla niej, poza parawanem liści w Parku Ujazdowskim.

– Musiałeś to zrobić? – wołała błękitna – musiałeś spowodować ten wypadek? Straciłeś własnego człowieka!

– To nie był mój człowiek. Poputczyk i tyle. W dodatku średnio użyteczny. Zresztą nie miał wcale zginąć. To ty sprawiłaś, że źle dopiął pas.

– Ja? O co mnie oskarżasz?

– Błagam cię, tylko nie graj niewiniątka. Uratowałaś Lwa i zabiłaś mego człowieka i jeszcze uważasz to za dobry uczynek. Ta wasza typowa katolicka hipokryzja...

– To była wyłącznie samoobrona. Nie zostawiłeś mi innego wyjścia. Notorycznie łamiesz własne słowo. Kiedy się zakładaliśmy, dałeś rok na zmiany w Polsce... A tymczasem co i rusz mieszasz się do tego, co tam się dzieje.

– Przesadzasz. Gdybym się mieszał, nie szłoby im tak łatwo. Zresztą czy mieszam, czy nie mieszam, i tak idzie im jak po maśle. Aż jestem ciekaw, co z tego wyniknie. Biedny Szwendą. Chociaż z drugiej strony sam sobie winien.

– Wiem, że to ty go skusiłeś w 1970 roku. Jakie wtedy nosiłeś nazwisko... Traczyk? Kapitan Traczyk?

– Miałem wtedy wiele nazwisk. I wcale nie musiałem go szczególnie kusić. Sam przyszedł.

*

Zanim wpuszczono go na mównicę, opuchniętą nogę obejrzał lekarz, zrobiono mu też rentgena. Poza tym po pierwszym szoku, kiedy adrenalina powstrzymała ból, trzeba było zrobić zastrzyk przeciwbólowy.

– Może przełożymy wystąpienie na jutro – nieśmiało zaproponował marszałek Olsza.

– Jutro będzie futro – odburknął Szwendą, mając przed oczami wizję pierwszej strony tygodnika „No pasaran”.

Sala obrad plenarnych nie była pełna, jednak już po pierwszych słowach premiera posłowie poczęli zbiegać się z restauracji i palarni.

– Szanowni państwo! Polacy! – zaczął swe wystąpienie Szwendą spokojnym tonem, choć widać było, że jest bardzo przejęty. – Popularne powiedzonko mówi: „Lekarzu, lecz się sam”. Podobnie musi być z politykami. Rozpoczynając wielką społeczną terapię, należy zaczynać od siebie. Dlatego dziś wielu uzna, że być może zbyt późno staję przed wami osobiście, aby zrzucić z siebie ciężar, który nosiłem od wielu lat. W świetle opracowywanej ustawy lustracyjnej byłem bowiem tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa... – podniósł się szmer, a potem zapadła cisza tak głucha, jakiej nie słyszano w polskim parlamencie chyba od czasów Sejmu Niemego.

– W roku 1970 w trakcie wydarzeń grudniowych młody robotnik Lew Szwendą dał się przestraszyć, dał się złamać. Podpisał zobowiązanie do współpracy. Zaproponował też pseudonim „Julek”, który oficer SB złośliwie przerobił na „Ciulek”. To prawda, nie zdawał sobie sprawy, co robi. Sytuacja była wyjątkowa, na ulicach lała się krew i płonęły partyjne komitety. Kapitan Traczyk kusił go, twierdząc, że trzeba zapobiec narodowej tragedii. W swej

głupocie wydawało się Szwendale, że czyni coś na odczepnego, że jego deklaracja nie będzie miała znaczenia, a on sam nikomu nie uczyni krzywdy. Mylił się. Mylił się, że można bezkarnie podpisać cyrograf, a potem oszukiwać diabła. Więcej, w swojej pysze chełpił się, że w zamian za informacje bez wartości bierze pieniądze. Bo brał. Brał te judaszowe srebrniki przekonany, że to on jest panem sytuacji.

Musiało minąć parę lat, aż przyszło otrzeźwienie. Robotnik dojrzał, zaczął szarpać obrozę i smycz. Pojawiły się groźby i represje. Wyrzucenie z pracy, nękania, pogroźki. Pomagał Kościół. Wreszcie ów robotnik trafił do wolnych związków zawodowych i oddał się im całą duszą. Oczywiście próbowano go podchodzić, grozić, szantażować, więc czasem cofał się, czasem uciekał, ale miał już wyznaczony cel, wiedział, co chciał osiągnąć razem z innymi. Z Borsukiewiczem, z małżeństwem Planetków, z Anią Makuszyńską.

Cel został osiągnięty. Obaliliśmy komunizm, budujemy wolną Polskę. Mam w tym jak wy wszyscy jakiś swój udział. Bo choć obsypano mnie nagrodami i doktoratami, nie zrobiłem tego sam. Byłem mądry waszą mądrością. Bez doradców, bez wsparcia Kościoła, a nade wszystko bez siły milionów Polaków, którzy nam zawierzyli, nie zrobilibyśmy ani kroku. Startoby nas na proch.

Czy jednak dokonania są w stanie zatrzeć wspomnienie błędów. Czy uczyniłem dość wiele, aby odkupić grzechy młodego robotnika? Nie wiem. Nie mnie sądzić.

Całość dokumentów dotyczących „Ciulka” zostanie opublikowana, oczywiście jeśli pan minister spraw wewnętrznych zdecyduje się na ich odtajnienie. Ja nie mam nic do ukrycia. Z powyższym wystąpieniem nosiłem się od września zeszłego roku. Milczałem, ale nie z tchórzostwa. Musieliśmy pokonać kolejne progi – pozbyć się Karuzelskiego, zlikwidować partię komunistyczną, dokonać reformy państwa, doprowadzić do wolnych wyborów. Teraz nastał moment, w którym mogę już oddać się do waszej dyspozycji. Ja słaby człowiek, ja laureat Nagrody Mebla, ja robotnik, ja premier.

Zrozumcie mnie, jeśli możecie. Wybaczcie mi, jeśli chcecie. Dziękuję wszystkim za uwagę – zszedł z mównicy. Ze spuszczoną głową. Powoli.

Przez moment trwała cisza. Potem ktoś zaklaskał z góry. Uniosły się głowy, sprawdzając, kto wyrwał się pierwszy. To klaskał prezydent Gęsiarowski. Zaraz unieśli się w ławach rządowych Jarosław Indykiewicz i Antoni Macierenko, przyłączając się do aplauzu. Obok zaczęli walić w sękaty dłonie Wacek Turoń i Romuald Szaromiotłów, powstali z miejsca marszałkowie Olsza i Małopolski, i Opoka-Buraczany. I już po chwili cała Izba biła brawo na stojąco.

– Ktoś go świetnie ustawił – skomentował w pokoju naczelnego „Ekspresu” Lesław Koleszka. Twarz miał ponurą, zaciętą.

– A nie myślisz, że to może być szczerze? – Pysznik dziwnie zamyślony nalał sobie pełną szklanekę whisky.

– Nieważne, czy jest szczerze. Ważne, jak zostanie odebrane przez społeczeństwo.

– Jeśli weźmie na siebie grzechy wszystkich – dobrze. Jeśli będzie chciał zmusić cały naród do podobnego rachunku sumienia – fatalnie.

*

Wkrótce po sejmowym wystąpieniu Kamil, jak zwykle kiedy działały się rzeczy ważne, zadzwonił do dziadka. Ignacy Barczewski jednak nie odbierał. Nie podniósł słuchawki również w godzinę później. Zaniepokojony, mimo że umówił się tego wieczora z Lucyną, pojechał na Osiedle Za Żelazną Bramą. Nikt nie odpowiadał na dzwonek, ale Kamil dysponował własnym kluczem.

Zastał dziadka w fotelu przed telewizorem, obok stała niedopita herbata, a pastylki na serce leżały porozrzucane. Był już chłodny, a na jego twarzy malował się niesamowity spokój.

„Nigdy nie dowiem się, czy zabił go szok wywołany wypadkiem, czy może wyznanie złożone przez Szwendalę w Sejmie” – pomyślał. „A może po prostu dokonał się jego czas” – zresztą nie bardzo mógł się nad tym racjonalnie zastanawiać. Klęczał obok dziadka, modlił się i płakał.

Wpół do jedenastej zadzwoniła Lucyna. Skądś wpadła na pomysł, żeby go tu odszukać. W urywanych zdaniach powiedział, co się stało.

– Zaraz do ciebie przyjadę! – oświadczyła. – Możesz podać mi adres.

*

Następnego dnia w „Gazecie Obywatelskiej” ukazał się artykuł Piotra Bazickiego.

„Żyjemy w czasach trudnego bohaterstwa” – pisał niegdysiejszy autor „Traktatu o mendach” – „Niesłychanie łatwo jest bić się w piersi cudze, o wiele trudniej we własne. Lew Szwendala dokonał niezwykłego aktu cywilnej odwagi. Wyznał swój grzech. Przeprosił. Ci, którzy sięgną po kamień obelgi, by weń cisnąć, niech zrobią wcześniej własny rachunek sumienia. Wyznajmy więc wielką narodową prawdę – bezgrzeszni leżą dziś w katyńskich

dołach śmierci, na bezimiennych cmentarzach katowni UB, wśród emigracyjnych mogił. Wszyscy inni tu w kraju żyliśmy w piekle między zdradą a milczeniem, kompromisem a obojętnością. I długo przyjdzie zdrapywać z nas smołę i wietrzyć zapach siarki.

Ale czy możliwość publicznego wyznania win i działanie na rzecz naprawy zła to nie jest najpiękniejsza z cech chrześcijanina? Święty Franciszek był »złotym młodzieńcem«, Augustyn z Hippony rozpustnikiem, Paweł z Tarsu czynnie prześladował wyznawców Chrystusa, a Piotr Opoka, na której powstał Kościół, po trzykroć się go zaparł. Gdy więc położymy na szali winy młodego nieuświadomionego robotnika, niedawnego przybysza ze wsi przenikniętego mentalnością PRL-owską, a na drugiej zasługi, jakie ten młody robotnik oddał narodowej sprawie, przypominają nam się najpiękniejsi bohaterowie naszej literatury – Andrzej Kmicic i Jacek Soplica.

Nie ulega wątpliwości, że premier Szwendała jest postacią zbyt wybitną i zbyt dla Polaków cenną, aby zamknąć go w skansenie narodowych pamiątek. Walka nasza nie dobiegła końca, a bezpieczny brzeg nadal skrywają mgły, i osoba taka jak on, rozpoznawalna w świecie, zdolna do szybkiego podejmowania decyzji i posiadająca wrodzony talent do kontaktowania się ze społeczeństwem długo będzie nam jeszcze potrzebna. Jako nasz prezydent!

Nie mam wątpliwości, że nie dysponujemy dziś zapasowym kandydatem. Co więcej, klasa i odwaga, z jaką nam wyznał swoje grzechy, dowodzi, że możliwe jest powszechne pojednanie w duchu prawdy.

Nie potrzeba wojen polsko-polskich. Wystarczy tylko nazwać zło złem, dobro dobrem. Należy umożliwić wszystkim, którzy zblądzili, wyznanie win i przeproszenie za nie. Niespełna rok temu Tadeusz Małopolski proponował grubą kreskę, dziś uważam, że trzeba zaproponować powszechną spowiedź, skruchę i postanowienie poprawy.

Polska może być domem wszystkich jej obywateli. Jeśli ci tego zechcą”.

*

Dwa dni przyszło czekać na komentarz Adama Pysznika. Z nader prozaicznego powodu. Zaraz po wystąpieniu Szwendały redaktor poszedł w taki gaz, że nie było mowy, aby spłodził jakikolwiek tekst. Ale film mu się nie urwał. Zachował wystarczająco dużo świadomości, aby wysłać w diabły Koleszkę wraz z jego tekstem „Szantażowanie skruchą”.

Wstępniak naczelnego ukazał się dopiero w czwartek pod tytułem „Cokół i stos”. Pysznik chwalił w nim odwagę Szwendały i wyrażał się z ogromnym szacunkiem o jego

wyznaniu, wyciągnął też do niego rękę ze znamienym sloganem „Wybaczymy i prosimy o wybaczenie”. Dalej jednak było gorzej:

„Ekspiacja Przewodniczącego wejdzie do historii jako akt odwagi i szlachetności. Nie może jednak oznaczać wezwania dla wszystkich, aby poszli w jego ślady. Świętość, na którą tak chętnie powołuje się piszący swoje artykuły na kłęczkach Piotr Bazicki, jest kategorią indywidualną. Prywatnym wyborem.

Nie można do niej nawoływać ani tym bardziej zmuszać. Wezwania do zbiorowej, publicznej spowiedzi przypominają moralny szantaż. A gdyby pojawiła się pokusa wsparcia tych wezwań działaniami administracyjnymi, to jest to odwołanie się do praktyk państwa totalitarnego. Dla radykalnych lustratorów przyznanie się półgębkiem będzie niewystarczające. Całym też. Zawsze pozostanie domniemanie, że ktoś coś zataja, a więc na wszelki wypadek należy go wykluczyć z niektórych zawodów, z pewnych stanowisk, z określonych kręgów, objąć możliwie długą kwarantanną albo przynajmniej napiętnować”.

„Kto ma interes w ogólnonarodowym polowaniu na czarownice?” – pytał na zakończenie. – „Szwendała swym czynem wzniosł cokół pod swój pomnik. Podwyższenie takie, którego dla wszystkich grzeszników PRL-u domagają się pozbawieni umiaru inkwizytorzy, z łatwością może stać się stosem lub nawet szafotem”.

XII

Wyjście na prostą

Podczas sejmowej transmisji Kasandra daremnie szukała wzrokiem parki cudzoziemców na galerii dla publiczności. Nie było ich tam! Może przebywali ukryci, ona jednak nie czuła ich obecności. I nie tylko tam.

Dotarło to do niej, dopiero kiedy zgasiła telewizor. Natychmiast poczuła, że coś się zmieniło. Jakby pękła obroza zła wokół klasztoru. Naraz znikł dławiący ją od miesięcy strach. Spokojnie odsunęła zasłonę z okna, wiedząc, że nie zobaczy żadnej mordy przylepionej do szyby. Że na wygonie za konwentem nie ujrzy ani mężczyzny w staromodnym meloniku, ani czarnego psa, ani stada wron. Zniknęli.

Nie wiedziała, jak to wytłumaczyć. Przegrali i pogodzili się z przegraną? A może tylko na jakiś czas dali jej spokój. Po raz pierwszy na serio pomyślała o powrocie do Warszawy. Tęskniła za Kamilem i wiedziała, że on też za nią tęskni. Owszem, domyślała się, że nie jest święty, że wdał się w jakiś romans, ale była dziwnie spokojna, że jeśli tylko znajdą się razem, będą już ze sobą na zawsze.

Przekonana o tym postanowiła zadzwonić do ukochanego. Niestety po dłuższym dzwonieniu odebrała matka.

– Nie, Kamilek jeszcze nie wrócił – wyjaśniła – czy mam mu coś przekazać? To coś pilnego?

– Nie, zadzwonię jutro. Jakby pytał, proszę powiedzieć, że dzwoniła Kasia.

Pani Amelia miała na końcu języka informację, że jej syn z redakcji pojechał do dziadka. Ale nie uczyniła tego. Od początku uważała Kasandrę za poważne zagrożenie. Później, gdy zniknęła, odetchnęła z ulgą. Teraz ewentualny powrót mógł wywołać tyle komplikacji..

– Przekażę synowi – powiedziała tyle uprzejmie, co oschle. – Dobranoc pani. Nie miała pojęcia, jak brzemienny w skutki błąd popełniła.

Ustąpienie zła od ponad pół roku osaczającego Bogucką nie było jedynym zniknięciem ostatniej doby. W tajemniczy sposób zdematerializowała się redaktor Anastazja Kaszyńska rozpoznana jako partnerka profesora Wiesiołowskiego. Zdematerializowała się, tak jakby jej nigdy nie było. Dotknęło to boleśnie naczelnego, który chyba lubił być poniewierany przez swoją zastępczynię tak w sypialni, jak i na kolegiach. Dotknęło również szefa dodatku

warszawskiego Tomasza Kołka, który po przeżyciu kilku wspaniałych nocy z bezpruderyjną arystokratką musiał wrócić do banalnej rzeczywistości trójmiejskich i stołecznych kurew obowiązkowo posiadających minimum metr osiemdziesiąt wzrostu.

Oficjalne zaginięcie Anastazji zgłoszono po dwóch dniach, jednak żadne śledztwo nie dało odpowiedzi na pytanie, co się z nią stało. Jej biurko znaleziono puste, jej mieszkanie, w którym jak ustalono, nikt nigdy nie był, okazało się jednym pustym pokojem bez sprzętów. A badanie podczerwieni wykazało, że na podłodze, na której nie stał od dawna żaden sprzęt, znajdował się namalowany, a następnie starannie zmyty diabelski pentagram.

Co ciekawe, również dane dotyczące przeszłości panny Raszyńskiej okazały się nieprawdziwe. Metryka, dowód osobisty, dyplom uczelni musiały zostać sfalszowane. Ludzie, dzięki których protekcji trafiła do »GO», wyparli się tej znajomości. Ronald Duck utrzymywał, że poznał ją dopiero w Warszawie podczas jakiegoś wywiadu. Arcybiskup Wawerski wspominał, że popierał ją na prośbę Mietka Wachmistrzowskiego, a Jurek Jarzabek...

– Poznałem ją dzień wcześniej niż wy – wyznał – ale bardzo prosiła, żebym potwierdził, iż znamy się od dawna, więc nie mogłem odmówić.

– Ale przynajmniej dawała ci dupy? – zapytał nadzwyczaj konkretnie Andrzej.

– Naturalnie. Diablica dymała się jak anioł.

Podobnie tajemnicza okazała się dematerializacja pracownicy kancelarii premiera Lidki. W dramatycznym dniu publicznej spowiedzi Szwendaty oddaliła się z biura w nieznanym kierunku i dotychczas nie powróciła. Śledztwo zarządzane przez Krzysztofa Pulla zakończyło się pełnym niepowodzeniem. W dodatku nikt w rodzinie Mietka nie słyszał o jego pięknej kuzynce. Wiele lat później przy porządkowaniu bazy danych w policji wyszło na jaw, że odciski palców panny Raszyńskiej i Piekiełkiewiczówny były identyczne, ergo była to jedna i ta sama osoba. Co jednak nie miało większego znaczenia, ponieważ nigdy nie trafiono na żaden ślad owej nieziemskiej istoty.

W porównaniu z Lidką-Anastazją zniknięcie radcy Gałganowa było zdecydowanie mniej tajemnicze. Wprawdzie nie ma żadnego śladu przekraczania przez niego granicy, jednak wiadomo, że nie pojawił się więcej w Polsce, a późniejsze opowieści szpiega Zatwarskiego, że spotykał się z nim na Minorce, pozostają niezwerfikowane. Jest także faktem, że ukazało się krótkie oświadczenie sowieckiej ambasady, iż „po ukończeniu swej misji w Polsce radca Władimir Gałganow powrócił do kraju”.

Lucyna zastała Kamila kompletnie roztrzęsionego. Uspokoiała, utuliła. Obiecała wziąć na siebie wszystkie formalności związane ze zgonem i pogrzebem, a następnie zabrała do swego

gniazdka na Ochocie, gdzie pieściła go wystarczająco długo i ofiarnie, aby z desperacji dopełnił narzeczeńskich powinności. Jeśli kiedykolwiek czuł się podle i miał pełną świadomość dokonywanej zdrady, to właśnie wtedy. Niestety był tylko słabym człowiekiem.

Matka o telefonach Kasandry, która dzwoniła wytrwale po parę razy dziennie, powiedziała mu dopiero po pogrzebie. Po co jeszcze denerwować mojego małego chłopczyka.

Inna sprawa, że chłopczyk po prostu się wściekł. Wściekł się jeszcze bardziej, gdy dowiedział się, że podczas trzech dni okolicznościowego urlopu jego piękna Greczynka dzwoniła także do redakcji. Podjął wtedy decyzję ostatecznej wyprowadzki z domu do mieszkania, które odziedziczył po dziadku.

– A kto mnie będzie ratował, gdybym przypadkiem poszła w gaz? – pytała jego przestraszona rodzicielka.

– To już jest prywatna sprawa mamusi.

Jeszcze tego samego dnia wyruszył do Kalwarii Legnickiej. Wcześniej odbył trudną rozmowę z Lucyną. Wytłumaczył jej, że będą musieli przestać się spotykać.

– Nigdy ci nie obiecywałem, że będziemy razem – powiedział.

– Ale ja cię Kocham! – zawołała cała we łzach.

– A ja cię jedynie lubię – odparł twardo.

Wiedział, że jest wobec tej kobiety okrutny, ale nie miał wyjścia. To Lucyna narzucała mu się i była inicjatorką ich schadzek, to ona próbowała zastępować mu matkę, bywała powierniczką i pocieszycielką. Ale to za mało, aby związać się z nią na stałe...

– Żebyś tego kiedyś nie żałował! – zawołała na odchodnym.

Później sama miała bardzo żałować tych słów.

Jechał całą noc i stanął pod klasztorem o porannym brzasku. Łąka była cała w rosie. Śpiewały ptaki, a wieżyczki klasztoru wyłaniające się z mgły, nadawały całej scenerii baśniowego charakteru.

Nie bardzo wiedział, co robić dalej. Było zbyt wcześnie, żeby stukać do zaprzyjaźnionego księdza. Mimo zmęczenia nie czuł senności. Wysiadł z wozu i sięgnął po papierosy. I stał się cud. Na jednej z wież otworzyło się wąskie okienko, wiatr szarpnął firanką.

– O Romeo, czy jesteś na dole? – zaśpiewała Kasia. Głos niosąc się po rosie, zabrzmiał w jego uszach rajska muzyką.

Jak wiosenna burza oczyszcza atmosferę, tak wystąpienie Szwendąły wyjaśniło sytuację w Polsce. Oczywiście nie zadowoliło wszystkich, ale pchnęło nasze sprawy w jednoznacznym kierunku. Ekspresowo dokonano zmian konstytucyjnych i 4 czerwca 1990 roku w rocznicę wyborów kontraktowych Zgromadzenie Narodowe wybrało Lwa Szwendąłę prezydentem wszystkich Polaków na długą, bo siedmioletnią kadencję. Nie było głosów sprzeciwu. A wstrzymało się ledwie dwudziestu dwóch elektorów.

Wkrótce został desygnowany nowy premier – ku zaskoczeniu wszystkich został nim Jan Krzysztof Czerniak, gdański libertyn o dość szemranej wymowie i niepozornym wyglądzie. Obstawiony z jednej strony politycznym wicepremierem Indykiewiczem i ekonomicznym Adamem Klapińskim – choć jak twierdził Pyszniak, takie nazwisko źle wróżyło polskiej gospodarce – miał tworzyć zgrany zaprzęg („Póki się nie zużyją” zwierzał się w domowym gronie Szwendąły).

Furorę zrobiła karykatura przedstawiająca ich w charakterze koni ciągnących sanie z premierem, podpisana „Hajda trojka!”

Symbolem innych galopujących zmian mogła być telewizja. Sympatycznego Trelickiego, który nie wytrzymał przeciążeń panujących na Woronicza i wylądował na długotrwałym odwyku, zastąpił jego przyjaciel i zastępca – Janek Półturzycki, kudłaty jak sam Guignol, scenarzysta takich filmów jak „Wielki szlem” czy „Piłkarska ruletka”. Dzięki jego inwencji z kopyta ruszyła produkcja nowych fascynujących seriali, takich jak „Niedźwiedź z armii Andersa” opisujący szlak bojowy polskich żołnierzy od Kazachstanu po Monte Cassino czy sensacyjny „Ocalić świat”, dość swobodnie osnuty na przygodach pułkownika Kuklinowskiego. W konkursie na koprodukcję telewizyjno-filmową wygrała fantastyczna opowieść „Lustro i kolumna”, alternatywna historia z roku 1610 rozwijająca wariant utrzymania się Władysława IV na tronie carów. Sceny z bitwy pod Kłuszynem, a także pojenia koni polskiej husarii w jeziorze Bajkał miano nakręcić jeszcze tego lata, choć z oczywistych względów Kłuszyn nakręcono na Suwalszczyźnie, a dziki Bajkał musiało zastąpić wybrzeże Bałtyku w Wolińskim Parku Narodowym.

Dosłownie z dnia na dzień powstało mnóstwo znakomitych programów publicystycznych z udziałem publiczności – talk show „Zlustrujmy się” demaskujący kulisy PRL-u, kontaktowe „Rozmowy najważniejsze”. Od czerwca rekordy popularności święciła „Swojska menażeria”, kukielkowy serial satyryczny, w którym politycy pojawiali się pod postacią zwierząt – Szwendąła był Lwem, Pyszniak Lisem, Turoń Hipopotamem, Małopolski Żółwiem, a bracia Indykiewiczowie Disneyowskimi Chomikami, choć autor przymierzał się do papużek nierozłączek.

Nie było chyba miejsca, w którym nie dawało się odczuć zmiany. Przede wszystkim fantastycznie sprawdzała się ludzka inwencja uwolniona z gorsetu przepisów i ograniczeń. Nowo wybrane samorzady okazały się taranem przeciwko miejscowym układom i układowikom.

Goniono więc ludzi skorumpowanych czy zhańbionych współpracą z dawnym reżimem. Dekret prezydencki z lipca umożliwił wgląd obywatelom do akt gromadzonych przez policję polityczną, choć na razie istniały spore trudności techniczne w realizacji tej możliwości. Na szczęście Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ochoczo publikowało wykazy oficerów Służby Bezpieczeństwa i ich tajnych współpracowników. Chwilowo nie rodziło to żadnych bezpośrednich skutków prawnych i budziło wściekłe ataki „Ekspresu Wyborczego” – który określał ową praktykę mianem samosądów – jednak stworzyło wobec kapusiów klimat ostracyzmu towarzyskiego. Znani pisarze, aktorzy, reżyserzy naraz zdemaskowani okazywali się niegodnymi podawania im rąk. Zdarzały się samobójstwa i ucieczki z kraju – za granicą schronił się słynny podróżnik Ryszard Kalafiorski, do Rosji wyjechał Andrzej Krwawicz. Daremnie kampanię przeciw owej lawinie nienawiści (jak nazwała ów proceder w swoim wierszu krakowska poetka Szymona Wisłoka) prowadził zastęp publicystów „Boliwtyki”, „No pasaran” i „Ekspresu Wyborczego”, gdzie w roli czołowego antyilustratora występował Lesław Koleszka, póki – jako wyjątkowo perfidnego agenta i sprawcę śmierci studenta Fijasa, którego zabójstwo w końcu lat 70-tych wstrząsnęło Krakowem – nie zdemaskował go publicysta Bronisław Zweistein, który z Fijasem i Koleszką działał w jednej opozycyjnej grupce.

Do historii miała przejść scena, w której Rada Wydziału Historii Uniwersytetu Warszawskiego w przeddzień akademii z okazji Bitwy Warszawskiej zażądała ustąpienia z katedry wieloletniego konfidenta bezpieczeństwa profesora Andrzeja Garnickiego.

Oczywiście zdarzały się pomyłki, oskarżenia ludzi niewinnych, próby wykorzystywania kalumni do prywatnych rozgrywek, ale fałszywe pomówienia zostały obwarowane tak wielkimi karami finansowymi, że rychło okazały się absolutnie nieopłacalne.

*

Przez połowę maja i prawie przez cały czerwiec Kamil Barczewski należał do najszczęśliwszych z ludzi. To prawda, odnaleziona ukochana dalej pozostała nietknięta, ale termin ich ślubu, ustalony na 6 października, przybliżał się nieubłaganie.

– Może powinnam powiedzieć mu o prawdziwym powodzie mojej seksualnej wstrzemięźliwości – nie było dnia, żeby nie zadawała sobie tego pytania.

Ale któżby uwierzył Kasandrze. Więc milczała. Tym bardziej że w swoich snach czuła nadciąganie nowych zagrożeń. Co gorsza, nie potrafiła ich zidentyfikować, a matka na dobre zamilkła.

Po paru telefonach Lucyna dała Kamilowi spokój. Zresztą wszyscy wiedzieli o renesansie jego szczęśliwej miłości. Na każdej imprezie, na której tego lata się zjawiali, kamery telewizyjne z ogromnym upodobaniem rejestrowały obecność pięknej pary.

Nawet Amelia Barczewska zaakceptowała przyszłą synową. Zresztą w jej życiu zaszły poważne zmiany. „No pasaran” zbankrutowało, a ona sama wróciła do „Oręza Polskiego”, gdzie jeden z jej dawniejszych wielbicieli został wicenaczelnym. Okazało się, że działka „rodziny kombatanów” uwzględniająca również perypetie polskiego wychodźstwa może być równie ciekawa jak życie „zielonych garnizonów”.

I wtedy wszystko się zatrzęsło.

Cztery dni przed początkiem lipca do redakcji „Gazety Obywatelskiej” zajrzała Lucyna. Wyglądała kiepsko, a jej stan psychiczny był jeszcze gorszy. Kamil wiedział już o redukcjach w „Ekspresie Wyborczym”, od którego gwałtownie zaczęli odpływać reklamodawcy, ale nie miał pojęcia, że wśród zwolnionych jest redaktorka techniczna.

– Było powiedzieć, że masz kłopoty. Sądzę, że dałoby się załatwić dla ciebie choćby prace zlecane – powiedział po wstępnej wymianie zdań.

– Nie o to chodzi – Lucyna miała bardzo poważny wyraz twarzy. – Muszę cię prosić o pieniądze.

– Pieniądze? Ale...

– Jestem w ciąży – rzekła, a ponieważ wyglądało, że Barczewski nie rozumie, co się do niego mówi, powtórzyła: – Wpadłam! Pamiętasz tamtą szaloną noc po śmierci twego dziadka? Zapomnieliśmy o jakichkolwiek środkach ostrożności. I stało się.

– Cholera – mruknął.

– Nie sprawię ci kłopotu. Tylko... W związku z naciskiem Kościoła zabiegi teraz bardzo zdrożały, lekarze się boją... Oczywiście rzecz jest do załatwienia od ręki. Tylko potrzebne są pieniądze.

– Kiedy?

– Im szybciej, tym lepiej.

Umówili się za dwa dni w kawiarni Na Rozdrożu. Oczywiście Kamil miał oszczędności wystarczające z naddatkiem na rzeź niejednego, a nawet kilkunastu niewiniątek, ale jakoś nie

potrafił załatwić tego od razu. Cały dzień chodził jak struty. Nie, żeby był jakimś szczególnym przeciwnikiem aborcji, jak wielu postępowych ludzi uważał, że decyzję w każdym przypadku powinna podejmować kobieta, jednak czuł się więcej niż dyskomfortowo. A już prawdziwym lękiem napełniała go myśl, że o nieprzyjemnej sytuacji mogłaby się dowiedzieć Kasandra.

Może dlatego wykorzystał wieczorny dyżur w redakcji, by wymówić się przed spotkaniem. Nie udało się tego uniknąć następnego dnia, kiedy mieli umówioną wizytę u księdza w ramach nauk przedmałżeńskich.

– Czy to nie absurd, żeby pouczeń w tej sprawie udzielał nieżonaty facet o nikłym albo zgoła żadnym doświadczeniu w tej materii? – zżymał się Kamil, ale poszedł, żeby zrobić ukochanej przyjemność.

Było to trudne spotkanie, jako że kapłan wziął się, aby mówić głównie o powinnościach rodziców wobec przyszłych dzieci, o naganności sztucznej antykoncepcji, a także grzechu aborcji, który dla katolika oznacza natychmiastową ekskomunikę i to niezależnie, czy podczas zabiegu spełniał funkcję matki, lekarza, czy sponsora.

Kamil wysłuchiwał nauk w milczeniu, starając się nie zmieniać wyrazu twarzy, potakiwać, ale nie za często.

– A w przypadku ekskomuniki? Czy istnieje jakaś szansa jej anulowania? – zapytała Kasia.

– Po wyrażeniu skruchy i głębokiego żalu przez winowajcę abszolucji może udzielić biskup.

To stwierdzenie uspokoiło Kamila. Da tę forszę Lucynie, a potem będzie żałował i pokutował, ile trzeba. W końcu z racji pracy w prawicowej gazecie poznał tylu biskupów i większość z nich robiła wrażenie sympatycznych, ludzkich facetów.

Wyszli na ulicę. Po kilkunastu krokach Kasandra zatrzymała się. Przez rzadki żywopłot docierał radosny rejwach ogródka jordanowskiego.

– Nie możesz tego zrobić – powiedziała stanowczo.

– Czego nie mogę...?

– Zabić swojego dziecka!

Na moment stracił język w gębie.

– Więc ty wiesz, wiesz o... – wydukał.

– O tobie i Lucynie? Wiem.

– Kto ci powiedział?

– Po prostu wiem. I wybaczyłam ci. Znałeś ją wcześniej, potem ja zniknęłam, a ona opiekowała się tobą...

– I chociaż wiedziałas o tym, wróciłaś do mnie.

– Wiedziałam, że jej nie kochasz. Postanowiłam walczyć o naszą miłość. Niestety przegrałam.

– Co ty gadasz? Lucyna to przeszłość. Dam jej pieniądze i...

– I staniesz się współsprawcą morderstwa.

Zagotował się cały.

– Jakiego morderstwa?! – zawołał, aż mijający ich przechodnie odwrócili głowy. – Chodzi o płód na bardzo wczesnym etapie rozwoju.

– I twoim zdaniem to nie jest człowiek? A kiedy według ciebie zaczyna się dziecko?

Szarpnęła go ku furtce i wskazała na gromadkę przedszkolaków. – Potrafiłbyś zabić jedno z nich?

– Oszalałaś?!

– To wyobraź je sobie młodsze, jako noworodki, i siebie ze skalpelem w rękę.

– Nikt o zdrowych zmysłach nie zabije oseska!

– A oseska parę godzin, parę dni, parę tygodni, parę miesięcy wcześniej? Pokaż mi moment kiedy „nic” staje się człowiekiem.

Zabrakło mu argumentów.

– Nie rozmawiajmy teoretycznie – rzekł. – Pewnie teoretycznie masz rację, ale tu jest do rozwiązania pewien problem.

– I musisz go rozwiązać. Przekonać Lucynę, żeby urodziła, obiecać, że jej pomożesz. Ja też jej pomogę.

Spodobała mu się ta myśl. Dlatego na spotkanie w kawiarni Na Rozdrożu nie przyniósł koperty z pieniędzmi, a jedynie deklarację o pomocy.

Lucyna wysłuchiwała go uważnie.

– Piękne chrześcijańskie podejście – zakpiła. – Szlachetne, mądre i bezpieczne. I myślisz, że cię posłucham.

– Powinnaś. To będzie nasze dziecko.

– Bardzo się cieszę z przyływu twoich ojcowskich uczuć. Ale jakie czyny za nimi pójdą? Przekaz w każdym miesiącu?

– Pomogę ci je wychowywać.

– To już lepiej. Ale wydaje mi się, że jest jeszcze lepsze rozwiązanie.

– Mianowicie?

– Ożeń się ze mną.

Uderzenie pioruna miałoby chyba mniejszy skutek. Kamil poderwał się, aż jego krzesło z łoskotem upadło na posadzkę. Naraz doszło do niego, że być może wszystko zostało przez Lucynę zaplanowane, aby tylko doprowadzić do tego momentu. Nawet kochanie się w płodnym dniu, bez zabezpieczenia...

– To szantaż! – wydusił.

– Nie! Całkowicie konstruktywne rozwiązanie. Kiedy się namyślisz, dasz mi odpowiedź. Wiesz, gdzie mieszkam – wstała i wyszła z kawiarni.

*

Nie było takiego przekleństwa, jakiego można użyć pod adresem kobiety upadłej, którego by tego dnia nie użył pod adresem Lucyny. Idąc w stronę domu, czuł, jakby pogrążał się w bezdennej czeluści.

Wieczorem spotkał się z Kasią. Myślał, że znajdzie u niej wsparcie. Pocieszenie. Pomylił się.

– Chyba nie masz innego wyjścia – powiedziała.

– Mam się ożenić z osobą, której nie kocham, której nigdy kochać nie będę. Mam zmarnować sobie życie, zamiast cudownie spędzić je z tobą. Razem żyć, dorabiać się kolejnych potomków, wnuków, razem starzeć się...

– Ono też chce żyć i jeżeli to jedyny sposób, żeby je uratować, musisz to zrobić.

– Co znaczy „musisz”?! – zaskoczyła go ta niezmacona pewność w jej głosie. – Daj mi chociaż jeden konkretny powód, bez tego waszego katolickiego ściemniania!

– Jeśli ono umrze, to pójdziesz w jego ślady – zobaczył grubą łzę toczącą się po jej policzku.

– A co to za kolejna bzdura! Byłaś u wróżki?

– Nie musiałam. Nie mówiłam ci, ale posiadam pewne zdolności, jeśli idzie o przewidywanie przyszłości.

– Z racji imienia Kasandra? Przestań kochanie! Nie w tej chwili.

– To nie jest tylko kwestia imienia. Chociaż pewna zbieżność jest. Nikt mi nie wierzy, kiedy przewiduję, co się stanie.

– Daj spokój!

Rozstali się w gniewie. Ale kiedy ochłonął, przyszedł mu do głowy pewien plan. Doskonale wiedział, że postępuje jak tchórz, ale z drugiej strony kołatała mu w głowie

sentencja mamy, że „Lepiej być żywym tchórzem niż martwym bohaterem”. Przechytrzyć los i sprawić, że wyjdzie się na swoje – to nie było takie głupie.

Na początek jednak musiał uciec. I trudno było o lepszą okazję.

Od kilku tygodni Jurek zanudzał go propozycją wspólnego wyjazdu do Egiptu. Swego czasu zrobił uprawnienia nurkowe i teraz udało mu się załapać do szkoły *divingu* w Hurghadzie, nowym kurorcie nad Morzem Czerwonym, opodal pięknych raf koralowych.

– Mówię ci, życie jak w Madrycie – przekonywał Jurek. – Mnóstwo kursantek z Niemiec i Skandynawii, robota przyjemna, bo się nie kurzy.

– Ale ja nie umiem nurkować.

– Nauczysz się. Zrobisz kurs, a w przyszłym sezonie sam zostaniesz instruktorem.

Na skutek tych namów poważnie zaczął się zastanawiać, czy w sierpniu nie wybrać się na dwa tygodnie razem z Kasią. Wyrobił sobie nawet egipską wizę. A teraz...?

Wiedziony nagłym impulsem zadzwonił do Jurka, modląc się, żeby zastać go jeszcze w Polsce. Zastał.

– Kiedy wyjeżdżasz? – rzucił w pierwszym zdaniu.

– Jutro, skoro świt.

– A nie znalazłoby się przypadkiem miejsce dla mnie w ekipie?

– No pewnie – ucieszył się Jarząbek. – Świetnie, że zadzwoniłeś. Akurat dzisiaj rano zrezygnowała żona Marka, mojego stałego partnera, i jedno miejsce jest wolne...

Pierwsza sprawa załatwiona. Następną był list do Lucyny. Jego zdaniem szczyt lakonicznej epistolografii:

„Muszę się z tym wszystkim uporać. Cała sprawa spadła na mnie tak nagle, przy okazji obnażając moje nieprzygotowanie. W końcu w naszym związku ty zawsze decydowałaś wszystkim. Dlatego postanowiłem wziąć głębszy oddech. Jadę do Egiptu. Ale jestem zdecydowany. Jeśli jedynym warunkiem przeżycia dziecka i jego udanego rozwoju jest to, żebyśmy wychowywali go wspólnie, jestem gotowy przyjąć odpowiedzialność. I wiem, że nigdy nie będę żałować. Wczoraj mi się przysnił. Chłopak, duży, pyzaty i chyba nawet trochę do mnie podobny. Z Egiptu napiszę więcej.

Kamil”.

W tekście nie było mowy o ślubie. A każdy najbardziej wnikliwy badacz pisma musiałby potwierdzić, że „przyjąć odpowiedzialność” nie jest tożsame ze sformułowaniem „ożenić się”.

Postanowił zwodzić Lucynę tak długo, aż aborcja stanie się niemożliwa. A potem: „Źle mnie rozumiałaś kochanie, o żadnym małżeństwie nie było mowy”.

Drugi list napisał do Kasi. Informował w nim o swoim wyjeździe. Przepraszał ją za wszystko i gorąco zapewniał o stałości swych uczuć.

„Znalazłem sposób – pisał i żeby wszyscy byli szczęśliwi. I nic nas nie rozłączy”.

Oba listy wrzucił do skrzynki pocztowej na Okęciu. W liście do Lucyny na wszelki wypadek nie podał adresu swego hotelu.

Kasia za to odpisała prawie natychmiast: *„Modlę się za ciebie”.*

*

Dwutygodniowy wypoczynek nad Morzem Czerwonym przerodził się w dwumiesięczny pobyt. Kamil odkrył w sobie prawdziwy talent nurkowy. Po sześciu dniach był już doświadczonym adeptem *subdivingu*, w kolejnym tygodniu zdobył dalsze kwalifikacje. A w drugiej połowie lipca zrobił kurs ratownika i dołączył na dobre do ekipy. Jeszcze nie zarabiał, ale już nie wydawał pieniędzy ani za spanie, ani za jedzenie. Oczywiście nurkując na bajecznie kolorowych rafach, penetrując koralowe tunele czy kadłuby zatopionych statków, stracił wiele z przyjemności, w których mógłby uczestniczyć jako dziennikarz i aktywny obywatel Rzeczypospolitej.

Nie znalazł się na otwarciu wystawy z okazji rocznicy Powstania Warszawskiego ani na widowiskowych uroczystościach pod Radzyminem z okazji „Cudu nad Wisłą”. Zabrakło go też wśród widzów prawdziwego maratonu imprez narodowych, podczas obchodzenia jubileuszu „Solidności”. Oczywiście w telewizji egipskiej nie było o tym ani słowa, a w anglojęzycznych gazetach pojawiały się jedynie niewielkie wzmianki na dalszych stronach.

Dopiero po powrocie 1 września mógł zorientować się, jak wiele spraw ruszyło z kopyta tamtego lata. W rekordowym pośpiechu opracowano dwuetapowy plan budowy dróg i autostrad. Do roku 2000 miały być gotowe A-1 biegnąca z północy na południe, a także rozpoczęte A-2 i A-4 od Słubic do Terespoła i od Zgorzelca do Medyki. W drugim etapie do roku 2010 zamierzano ukończyć północną Via Baltica, a także zbudować międzynarodową trasę nadodrzańską.

„Jeśli w dwie kadencje Eisenhowera udało się pokryć autostradami całe Stany Zjednoczone, dlaczego nam nie miałyby się to udać w ciągu trzech kadencji Szwendaly” – głosił żartobliwie prezydent Lew.

Ale nie był to jedynie żart.

Jeden dekret o przymusowym wykupie ziemi zakończył wszelkie problemy protestów i blokad, inne uregulowały sprawę przyszłych zysków z eksploatacji – otwierając szeroko drzwi mieszanym konsorcjom budowlanym, w których zagraniczni inwestorzy musieli mieć obowiązkowo polskich partnerów. Przy okazji prace, które już jesienią ruszały z kopyta, miały wchłaniać dziesiątki tysięcy polskich robotników z restrukturyzowanych zakładów pracy. Zamierzano wdrożyć również wielki program robót publicznych – od porządkowania terenu po sadzenie lasów czy regulacje rzek.

„Zamiast płacić zasiłek bezrobotnym, dajmy im zatrudnienie!” – powtarzał wicepremier Czerniak.

„Polskie tempo”, możliwe dzięki pracy wielozmianowej, często również w weekendy, miało zadziwić Europę, a równocześnie doprowadzić do problemów z emigracją zarobkową do Polski, i to nie tylko z krajów Europy Wschodniej.

Z każdym miesiącem rosła również fala „powracających” – wracali pospołu niedobitkowie starej emigracji wojennej, „marcowe wyrzutki”, wygnańcy stanu oblężenia. Wielkim wydarzeniem był przylot do Warszawy w siedemdziesiątą rocznicę Bitwy Warszawskiej „Księcia”, słynnego dyrektora paryskiej „Literatury”, który od lat zastrzegł się, że nigdy nad Wisłę nie wróci. A jednak wrócił. Wracali i inni. Generałowa Sandersowa, słynny rewizjonista profesor Kołaczkowski.

Z końcem lata tego roku ludność Polski wedle szacunków MSW przekroczyła mityczne czterdzieści milionów, czyli liczby, której podobno w obliczu malejącego przyrostu demograficznego nigdy przekroczyć nie miała.

„Każdy musi znaleźć swoje miejsce w ojczyźnie” – powtarzał prezydent.

Jego słowa miały również inny wymiar.

Z początkiem września 1990 miał zacząć działać Instytut Pamięci i Pojednania. A także ruszały procedury umożliwiające wyznanie minionych grzechów i włączenie się do dzieła wspólnego budowania.

To były piękne dni, naprawdę piękne dni.

XIII

Odlot

Wedle początkowych planów Kamil zamierzał wrócić do Polski 1 sierpnia. Jednak już wieczorem dnia poprzedniego okazało się, że lotniska w Egipcie zostały zamknięte.

Coś działo się w przestrzeni powietrznej tej części Morza Czerwonego. 2 sierpnia po całej dobie najróżniejszych plotek (łącznie z możliwością nowej wojny z Izraelem) gruchnęła nieoczekiwana wiadomość. Irak zaatakował Kuwejt. Czy było to preludium do nowej wojny na Bliskim Wschodzie, czy też Saddam Husajn autentycznie wierzył w możliwość objęcia prymatu w świecie arabskim? Zaroiło się od spekulacji, choć większość analityków była zgodna, że George Plush nie pozostawi agresora bezkarnym.

Nagle okazało się też, że „Gazeta Obywatelska” nie posiada korespondenta na Bliskim Wschodzie, co otworzyło szansę dla Barczewskiego. W ciągu paru tygodni naprawdę sporo się najeździł. Łapał klimat egipskiej ulicy i kańskiego suku. Dotarł do Strefy Gazy, był w Jordanii, przez Cypr dostał się do Izraela, a nawet przeprowił się z grupą Amerykanów do Dżiddy, arabskiego miasta po drugiej stronie Morza Czerwonego.

Później temat trochę się zużył, okazało się, że interwencja amerykańska (i to w ramach szerszej koalicji) mogła nastąpić najwcześniej zimą, toteż Kamil wrócił na tydzień do Hurghady. Akurat z Polski ściągnął Andrzej Felgiewicz i cała trójka przyjaciół mogła zaznawać wypoczynku pod parzącymi promieniami egipskiego słońca.

Wyszło również na jaw, że na parę dni zatrzymał się w ich hotelu stary Jarząbek, który przybył do Egiptu podobno w misji handlowej. Barczewski zjeżył się na widok starego ubeka, ale pułkownik był tak przyjacielski i tak proamerykański, że aż serce rosło. Zaufanie to nadwątlilo się nieco, kiedy następnego dnia spotkał Jarząbka seniora w bliskiej komitywie z grupą Rosjan z sąsiedniego hotelu, którzy mimo strojów plażowych nie robili wrażenia turystów.

– Tam też zaczynają myśleć o kapitalizmie – twierdził Jurek.

Któregoś wieczora zdrowo popili. Na ich taras przyszedł pułkownik z dobrą whisky. Początkowo opowiadali sobie dowcipy, ale za jakiś czas rozmowa zeszała na temat polityki. Jarząbek twierdząc, że jest realistą, utrzymywał też, że nowa wojna w tym regionie może zmienić trendy w geopolityce.

– Znowu wzrośnie cena ropy naftowej – powiedział Andrzej.

– Tym akurat martwiłbym się najmniej. Bardziej niepokojące jest, że zaangażowanie Zachodu w tych stronach ułatwia sytuację naszemu Wielkiemu Sąsiadowi na obszarze „bliskiej zagranicy”.

– Nie bardzo rozumiem – powiedział jego syn.

– Gdzie Rzym, gdzie Krym?

– Trzeba było lepiej przykładać się do historii. Zdławienie węgierskiego buntu w 1956 nastąpiło podczas wojny o Kanał Sueski.

– Myśli pan – włączył się Kamil – że zamieszanie w tym regionie może wykorzystać Związek Radziecki do zmiany sytuacji w jego dawnej strefie wpływów?

– Niczego nie sugeruję. Ale znam Rosjan. Prędzej czy później spróbują odbić się od ściany.

Współgrało to z interesującym artykułem z „Tygodnika Solidność”, który znalazł w pliku gazet przywiezionych przez Felgiewicza z Polski. I teraz Kamil odczytywał jego fragmenty biesiadnikom.

Profesor Jadwiga Siemienis pisała w nim o niepokojach, jakie wydarzenia w Polsce muszą wzbudzać w sowieckim imperium. Przemiany, których za pierwotnego autora uważała KGB, szły za szybko, za głęboko, a przede wszystkim nie w tym kierunku. Analizując sytuację w pozostałych demoludach, włączając Niemcy Wschodnie, które w sposób najbardziej oczywisty parły do zjednoczenia, wskazywała punkt po punkcie, że Polska pod rządami Szwendały demoluje wszystko. Wedle koncepcji z Łubianki miało dojść do wymiany pokoleniowej w służbach, do uwłaszczenia nomenklatury partyjnej, do usprawnienia systemu, ale nie do jego pełnego odrzucenia...

„Nie wiadomo, na jak długo starczy determinacji słabnącemu Korbaczowowi” – pisała pani Siemienis. „Nie wiemy też, jaką rolę w wielkiej grze przewidziano dla Borysa Bielcyna i kiedy może dojść do próby odwrócenia niekorzystnego biegu wydarzeń. Wiele wskazuje, że próba taka nastąpi. Inaczej Polska, a za nią inne kraje regionu, wejdzie do struktur Zachodu, unicestwiając wcześniej pajęczynę nieformalnej Partii Moskwy, która choć osłabiona, ciągle pozostaje w ukryciu, gotowa do aktywacji”.

Jednak stary Jarząbek stracił ochotę do dalszej dyskusji. Polał jeszcze jedną kolejkę i zaczął opowiadać o upodobaniach seksualnych Arabek.

Kasandra obudziła się z krzykiem. Nieomal fizycznie czuła, że tonie, woda wlewała się jej do ust, jakiś ciężar uciskał piersi, a blask słońca prześwitujący z góry szarzał i oddalał się.

Konstatacja, że znajdowała się nadal w swoim warszawskim mieszkaniu, wcale jej nie pocieszyła. Wierzyła w sny, a te ostatnimi czasy były gorsze i gorsze.

„Pomóż mi mamusiu” – powtarzała. Ale cień matki nie przychodził. Do świtu może zmrużyła oko.

26 sierpnia trójka kumpli pojechała na kolejne nurkowanie w rejon wyspy Giftun. Kamil był tak skacowany nocnymi rodaków rozmowami, że nurkowanie było ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę. Odwrotnie Andrzej. Po zaliczonym wstępnym kursie po prostu rwał się do pływania. Tym bardziej że pod wodą miały towarzyszyć im dwie doskonale zbudowane Norweżki, z którymi błyskawicznie złapał kontakt.

– Popływasz po południu, tu może być trochę za głęboko jak na początkującego – tłumaczył Jurek. – Poza tym nie mam dla ciebie sprzętu. Posnorkingujesz z rurką ponad rafą i wystarczy.

– Możesz wziąć moją kamizelkę, mamy dość zbliżone rozmiary – Barczewski wskazał na przygotowaną butlę i przykręcony do niej sprzęt.

– Naprawdę nie chcesz zejść pod wodę?

– Za godzinę mogę spróbować, przy drugim nurkowaniu. Teraz wolę nie. Nie wiem, co by się stało, gdybym zaczął rzygać pod wodą.

– Dobra – zgodził się Jarząbek. Sprawdził poziom powietrza w butli i pomógł nałożyć sprzęt koledze. – Tylko trzymaj się blisko mnie, Andrzejku.

– Nie bój nic!

Nurkowanie wyglądało na łatwe, morze gładkie jak stół. Zero wiatru, żadnych prądów. Zeszli na około dwadzieścia metrów, klif nadal opadał w błękitną czeluść, ale Jurek pokazał ekipie, żeby wyrównali poziom. Minęli wspaniałą zieloną murenę wystawiającą zębaty pysk spośród skał i ruszyli wzdłuż ściany pełnej smukłych gąbek i przypominających brabanckie koronki gorgonianów.

Po kilkudziesięciu metrach Jurek omiół wzrokiem swój zespół. Każdy pokazał ilość posiadanego powietrza. Puścił przodem Norweżki, chciał również przepuścić Andrzeja, ale ten pokazał, aby płynął pierwszy. Wpłynęli w jaskinię. Właściwie był to dość jasny tunel, wypełniony bielutkim piaseczkiem, idący stromo pod górę. Pokonując go na ziemi z dwudziestokilogramowym ciężarem na plecach, każdy zdrowo by się zasapał, a tu wystarczyło drobne poruszenie płetwami.

Pod koniec szlaku, w miejscu, w którym poziom korytarzy przechodził w pionowy komin, było niewielkie obniżenie. Prześwit wystarczał, aby przepłynął przez niego nawet grubas z butlą, musiał tylko dotykać brzuchem piaszczystego dna.

Andrzej popełnił typowy błąd debiutantów, popłynął za wysoko. Butla zawadziła o skałę. Szarpnął się. I z przerażeniem zobaczył, jak doprowadzająca powietrze rurka opada, a do płuc wdziera się woda. Wytrawny nurek wstrzymałby w tym momencie oddech, poszukałby drugiego ustnika, w najgorszym razie próbował płynąć na bezdechu.

Andrzej jednak wpadł w panikę.

Zaczął się szamotać, wzbijając chmurę pyłu. Tymczasem woda coraz mocniej wdzierała się do gardła...

Że dzieje się coś niedobrego, Jurek zauważył po paru sekundach. Zawrócił, chwycił bezwładne ciało przyjaciela i pociągnął za sobą. W usta wetknął mu własny ustnik. Komin na szczęście pomieścił obu.

Co z tego? Nim dopłynęli na powierzchnię i wciągnęli go na pokład, Felgiewicz nie żył. I żadna akcja reanimacyjna nie dała rezultatu.

– Co się stało? – pytał Kamil. – Jak to możliwe?

Jurek tylko głową kręcił, oglądał sprzęt, włącznie z wyłowionym ustnikiem.

Norweżki płakały. A szef ekipy, rosły Murzyn, zrobił się nieomal popielaty.

– Zmęczenie materiału? – rozważał Jarząbek. – Jacyś kretyni ze szkoły *divingu* zamienili regulatory?

Raczej niemożliwe. To w żadnym przypadku nie powinno pęknąć. Nawet przy mocnym szarpaniu.

Barczewski obejrzał przewód, wyglądał na mechanicznie przerwany, choć kiedy oglądał krawędzie, wydało mu się, że dostrzega jakby nacięcie...

Poczuł dreszcz grozy. To był przecież sprzęt przeznaczony dla niego. Chociaż, z drugiej strony, czy był na świecie ktoś, kto mógł dybać na życie młodego dziennikarza z Polski?

Po raz drugi dreszcz przebiegł go w hotelu. W recepcji czekała depecha od Kasi o zadziwiającej treści: „26 sierpnia nie nurkuj. I nie pozwól Andrzejowi”.

Sprawdził, że telegram nadano w dniu poprzednim. Skąd mogła przewidywać? Czyżby w istocie była jasnowidząca?

1 września wrócił do kraju. Opalony, wypoczęty, ale przygnębiony. Można nawet powiedzieć – załamany. Do tej pory śmierć zabierała wyłącznie ludzi starszych, teraz ugodziła w bezpośrednim sąsiedztwie. Jurek był starszy od niego zaledwie trzy miesiące. Miał przed sobą wspaniałą karierę. Przystojny, utalentowany, inteligentny... Dlatego przez pierwsze dwa dni kontaktował się z Bogucką jedynie telefonicznie. Postanowił w duchu, że spotkają się, kiedy ostatecznie rozmówi się z Lucyną. Oczywiście nie palił się do tej rozmowy.

Na pogrzebie znalazło się mnóstwo ludzi z mediów i z tuzin zapłakanych dziewcząt świadczących o pojemnym sercu jego przyjaciela.

„To mogłem być ja” – pomyślał ze zgrozą, słuchając wystąpień nad grobem. Sam nie potrafił wykszusić słowa. Na szczęście w imieniu szkolnych kolegów pożegnał Andrzeja Jurek Jarząbek. W dodatku pogrzeb był świecki. I to przygnębiło Kamila jeszcze bardziej. Andrzej nie wierzył w Boga, ale jako urodzony artysta potrzebował oprawy, a tego ani sceneria domu przedpogrzebowego, ani kondukt bez księdza i krzyża nie mogły mu zapewnić.

Kiedy już było po wszystkim, zobaczył Lucynę.

– Miałem do ciebie dzwonić – powiedział, podchodząc do niej. – Mam nadzieję, że dochodziły do ciebie moje karteczki.

– Dziękuję – odparła sucho. – Właściwie wpadłam głównie po to, żeby ci powiedzieć, że nie ma problemu.

– Jak to? – nie bardzo rozumiał.

– Sprawa rozwiązana. Kosztowało taniej, niż myślałam.

– Co takiego?! – dopiero teraz dotarł do niego sens jej wypowiedzi. – Zabiłaś nasze dziecko?

– Pozbyłam się problemu. Zwróciłam ci wolność, Kamilu. Powinieneś się cieszyć, a nie wściekać.

Z wrażenia przysiadł na jakimś nagrobku.

– A ja... a ja gotów byłem się z tobą ożenić.

– Gównno byłeś gotów! Grałeś na zwłokę. Żebym tylko nie mogła usunąć. A ty i tak byś się ulotnił.

Wiedząc, że go przejrzała, nie miał pomysłu, co zrobić.

– Nigdy ci tego nie daruję – rzekł, pragnąc mieć ostatnie słowo.

– Trudno. Jakoś będę musiała z tym żyć – powiedziała. – Życzę ci dużo szczęścia z tą twoją katoliczką.

Z budki telefonicznej przy Powązkowskiej zadzwonił do Kasandry. Potem spotkali się w Łazienkach. Miał nadzieję, że informację, iż nic już nie stoi na przeszkodzie ich związkowi, dziewczyna przyjmie z entuzjazmem. Kasia jednak pozostała smutna. I nie rozchmurzyły jej ani lody w Trou Madame, ani zajmujące opowieści z Egiptu, które zresztą знаła z sążnistych listów.

– To przecież nie moja wina, że Lucyna usunęła ciążę. Ja na ile mogłem, ją powstrzymywałem, prosiłem – tłumaczył. – Naprawdę chciałem tego dziecka.

– Mało skutecznie... Ale nie mówmy o tym.

Idąc wokół stawu, zaczął wypytywać o jej dar. Skąd wiedziała, że 26 sierpnia nie powinien nurkować. Jak dowiedziała się o przyjeździe Andrzeja i o tym, że grozi im niebezpieczeństwo?

– Czasami mam sny – powiedział z ociąganiem.

– Czasami widzę rzeczy, których normalnie się nie widzi.

– To znaczy?

– Dziwne postacie. Aury wokół ludzi.

– A moją widzisz, jaka jest?

– Normalna aura napalonego faceta.

Roześmiał się i przygarnął ją do siebie.

– Rozumiem, że to twoje sny kazały unikać mnie przez pół roku.

– Tak – odparła poważnie.

– Coś ci groziło? A może mnie?

– Mnie, tobie. Nam wszystkim – tu spojrzała na niego i spytała: – A ty wierzysz w zło osobowe, toczące nieustanną walkę z dobrem?

– Szczerze mówiąc, nie. Ale rozumiem, że ty widzisz takie zmagania.

– Czasami.

– I jak wygląda to zło? Z rogami, kopytami?

– Różnie. Czasem jest to starszy mężczyzna w archaicznym meloniku, czasem wielki czarny pies, kiedy indziej stado wron. Opada temperatura, powstają drobne wibracje...

– Powinnaś pisać horrory, Kasiu. Ale mam inne pytanie. Czy jeśli wyśniłaś jakieś nieszczęście, udało ci się kiedykolwiek mu zapobiec?

– Dotąd nie. Ale nie tracę nadziei. Chociaż... – uśmiechnęła się blado – chcieli mnie dopaść, a nie dopadli. W klasztorze byłam bezpieczna.

– A wracając do tego, co wydarzyło się w Egipcie. Czasem mam wrażenie, że to nie był wypadek. Akurat ja miałem schodzić pod wodę, tylko miałem kaca, a Jędrzek strasznie się napalił na nurkowanie.

– Też tak myślę, że chodziło o ciebie. Ktoś po zmroku buszował w magazynie.

– Jakim magazynie?

W paru zdaniach opisała szkołę *divingu*. Potężnego Murzyna szefującego interesowi, kurdupliczkę Angielkę przy kasie pod kolorowymi fotosami z podwodnych eksploracji. Schnące kombinezony, magazynek z regulatorami.

– Miałeś skrzynkę numer 31. Prawda?

– No tak – przyznał zaskoczony. – Każdy miał swoją, żeby każdego dnia nie dobierać sprzętu na nowo. Kombinezon, kamizelka, płetwy, regulator, ciężarki...

– Ktoś gmerał przy tej skrzynce poprzedniej nocy – stwierdziła nagle. Zauważył, że ma przymknięte oczy.

– Kto?!

– Było ciemno. Nie widziałam...

– Dziewczyno, opowiadasz tak sugestywnie, że nawet teraz dostaję gęsiej skórki. Tylko to, co mówisz, nie ma sensu.

– Dlaczego?

– Kto miałby powód, żeby zrobić mi krzywdę. W dodatku w Egipcie. Jestem nikim.

– Nie ma ludzi nieważnych. Ruch skrzydeł motyla w Pekinie może spowodować załamanie nowojorskiej giełdy – przypomniała Kasandra. – Na przykład zabójstwo prezydenta Narutowicza... Pamiętamy jego mordercę Eligiusza Niewiadomskiego, i może się wydawać, że tamtego straszego dnia wszystko zależało od niego, ale przecież gdyby rusznikarz zrobił gorszy pistolet i ten zaciął się w momencie strzału... Albo gdyby na skutek demonstracji ulicznych prezydent nie dotarł do Zachęty. Albo ktoś wcześniej zaproszyłby w galerii pożar i otwarcie wystawy zostało odwołane... W maszynierii świata wszyscy jesteśmy tylko trybikami, ale każdy jest do czegoś potrzebny. A jego brak może wywołać konkretne skutki.

– A brak mnie, Kamila Barczewskiego, czemu miałby służyć?

– Jeszcze nie wiem. Kiedy będę wiedziała, na pewno ci powiem.

Obchody Bitwy Warszawskiej zrealizowane z ogromnym rozmachem odbiły się szerokim echem w świecie, wywołując fale złości w prasie sowieckiej. Przypominano przy tej okazji o losie jeńców radzieckich internowanych w roku 1920. I nikt nie bawił się w szczególności, że krasnoarmiejców zabiły choroby, a polskich żołnierzy Września strzały w tył głowy.

„Stalin i Piłsudski – jeden wart drugiego!” – taki tytuł ukazał się w anglojęzycznym wydaniu „Prawdy”.

– Bitwa Warszawska, agresja 17 września, Katyń – te wydarzenia muszą się przebić do świadomości świata – powtarzał Szwendała.

– Jednak podobne demonstracje pogarszają tylko nasze stosunki z Wielkim Sąsiadem – martwił się minister Hajduk.

– A ja myślę, że Rosjanie mogą szanować tylko tych, którzy szanują samych siebie – wtrącił się Drzymalko. – To realia.

– O to, to! – podchwycił premier. – Musimy wykorzystać moment, kiedy są przejściowo słabi, aby zbudować nasze stosunki na fundamentach prawdy. Tak żeby, gdy się ponownie wzmocnią, nie mogli pogrywać z nami bezkarnie.

– Obawiam się, że nie uzyskamy niczego, drażniąc dumę Azjaty. Rosja ciągle stanowi splot tradycji bizantyjskiej, turańskiej...

– Warescy opryszkowie, którzy założyli Kijów, też nie należeli do niewiniątek – zgodził się Szwendała, po raz kolejny zaskakując swoją wiedzą znakomitego profesora mediewisty. – Jednak, skoro nasi „wielcy sąsiedzi” mają nad nami przewagę militarną, którą dopiero zaczynamy niwelować, wiążąc się z Zachodem, i dopóki jesteśmy uzależnieni od dostaw surowców energetycznych, bo przecież dywersyfikacji nie przeprowadzi się w kilka dni, możemy zwyciężać jedynie na polu symbolicznym. Nie wypowiedzą nam wojny z powodu paru słów...

– Jednak uważam, że nasz wyjazd do Katynia dokładnie 17 września jest dla nich czymś niesłychanie trudnym do przełknięcia – upierał się Hajduk. – Nie przypadkiem Korbaczow w tym czasie wybiera się do Wietnamu i Korei Północnej i nie będzie mógł się z nami spotkać.

– Nie zależy mi na nim. Od spraw ekonomicznych jest premier, a ja lecę do Smoleńska złożyć hołd polskim żołnierzom pięćdziesiąt lat po tamtej zbrodni. Zresztą jak wiecie, w moich wystąpieniach będę mówił przede wszystkim o konieczności pojednania naszych narodów.

Andrzej Drzymałko otwierał już usta, aby stwierdzić, że pojednanie pojednaniem, ale nie należy prowokować losu ponad potrzebę, biorąc pod uwagę warunki, czas i miejsce, ale właśnie zajrzał minister Cyrkiel, przynosząc informację, że dzień po mszy w Katyniu „Korbi” znajdzie jednak czas dla nich w Moskwie.

*

Kamila spotkało wyróżnienie nie lada. Być może zasłużył sobie reportażami z Bliskiego Wschodu, a być może naczelny coraz bardziej doceniał sprawność jego pióra. Miał znaleźć się w samolocie z dziennikarzami, których ponad setka wybierała się do Smoleńska. Kiedy Kamil poinformował o tym Kasandrę, ta najpierw pobladła, potem zapytała po trzykroć, czy będzie to na pewno samolot z dziennikarzami.

– A jaka to różnica, lecą praktycznie dwa identyczne Tupolewy.

– Może jestem przewrażliwiona – odparła Kasia, ale wyglądało, że informacja, iż Kamil znajdzie się w innej maszynie niż prezydent, bardzo ją uspokoiła.

Władze polskie uczyniły wiele, aby nadać wizycie możliwie najwyższą rangę. Obok Szwendąły w delegacji znaleźli się i były prezydent Gęsiarowski, i prymas Kłęb, i wicepremier Jarosław Indykiewicz, ministrowie Hajduk, Hiroń i Cyrkiel, nowy szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego generał Ryszard Kuklinowski i postaci legendy – gdańska suwnicowa Anna Makuszyńska, Jan Starszak-Rzeczysławski z Radia Wolna Europa, „Książę” z paryskiej „Literatury”, meblista Masław Ciłosz, wicemarszałek Małopolski, pisarze, artyści, a także rodziny ofiar i jeden z nielicznych ocalonych, ksiądz Błaszczkowski – niezwykle świadek historii i Bożej Opatrzności.

Co prawda nie brak było głosów odradzających tę eskapadę. W przeddzień lotu do Biura Ochrony Rządu zgłosił się jakiś niezrównoważony osobnik ogarnięty spiskową teorią dziejów. Podczas jesiennej burzy piorun strzelił w wawelską Wieżę Srebrnych Dzwonów i tylko ofiarności krakowskich strażaków należy przypisać, że katedra ocalała.

Podobno przed tym wyjazdem ostrzegał również podczas poufnego telefonu prezydent Plush. Z jakiegoś powodu niespokojny był Ojciec Święty.

– W tym trudnym czasie ze szczególną troską powierzam Bogu moją ukochaną ojczyznę – powiedział podczas audiencji generalnej. Zdziwiło to ludzi. W ciągu ostatnich lat nigdy sprawy polskie nie stały lepiej. Wyglądało, że najtrudniejszy etap transformacji kraj ma za sobą i pojawiają się pierwsze jaskółki ożywienia gospodarczego.

Szwendałę jednak niełatwo było przestraszyć i chętnie kpił sobie z obiekcji belwederskich strachajłów.

– Im więcej wybitnych ludzi na pokładzie jednej maszyny, tym mniejsze prawdopodobieństwo jakiegoś nieszczęścia – twierdził.

Stan samolotów po niedawnym przeglądzie w kujbyszewskiej fabryce też miał być wyjątkowo dobry. Pogoda zapowiadała się na słoneczną, choć możliwe były „przelotne mgły i zamglenia”.

Mateusz Bogucki nie poznawał swej córki. Tak roztrzęsionej nie widział jej od dawna. W nocy prawie nie sypiała, toteż w ciągu dnia chodziła na wpół błędna, potykała się o sprzęty, potrafiła oblać się wrzątkiem czy stłuc ulubiony wazonik mamy, imitację antycznej amfory z obrazkiem przedstawiającym upadek Ikara.

– Co ci jest, córeczko? – pytał. – Może powinnaś pójść do lekarza?

– Nic mi nie jest, tatusiu.

Nie mogła mu powiedzieć o swych lękach. Nie uwierzyłby. Nikt by jej nie uwierzył. Podobnie jak zlekceważono jej anonimy, rozsyłane do BOR-u, MSW czy personelu 35. Pułku Lotnictwa Wojskowego. Widziała odbiorców, czuła ich wzruszenie ramionami i komentarze: „Świat roi się od wariatów”.

Co gorsza, w odróżnieniu od innych wizji, nie potrafiła zobaczyć przyszłości. Widziała ciemność, widziała cienie kładące się na twarzach tak wielu osób. W tym Kamila. Dlaczego? Dlaczego przed lecącymi z nim Adasiem Pyszniakiem czy Piotrem Bazickim nie rysowały się żadne mroczki...? – Czy to miłość robi mnie przewrażliwioną? – zadawała sobie pytanie.

Ostatnią wizję miała, kiedy tylko położyła się spać. Obudziła się złana potem i spojrzała na zegarek. Dochodziła jedenasta. Niewiele myśląc, zadzwoniła po taksówkę, potem do Kamila. Był zdumiony. Nigdy nie spotykali się o tak późnej porze. Czyżby znowu zamierzała go odwozić od wylotu?

Jego przypuszczenia miały uzasadnione podstawy. Jeszcze poprzedniego dnia Kasia rozważała podanie ukochanemu jakiegoś środka nasennego. Teraz jednak świadoma, co oznacza jej wizja, nie mogła tego zrobić. Zdecydowała się na coś zgoła innego.

Kiedy wyszła z łazienki otulona jedynie w ręcznik kąpielowy, Kamil zgłupiał.

– Co cię naszło? Przecież zastrzegałaś się, że dopiero po ślubie...

– Zmieniłam zdanie. – Zamknęła mu usta pocałunkiem, pozwalając ręcznikowi opaść swobodnie...

– Ale obiecywałaś powiedzieć mi coś niesłychanie ważnego.

– Powiem ci rano. Teraz nie mamy czasu!

Ostatni raz kochali się przed czwartą. Mimo bólu, który niewątpliwie musiała odczuwać, to Kasandra była stroną aktywną. Tak jakby chciała mieć z niego jak najwięcej. By go zapamiętać na zawsze, ochronić w sobie...

Potem dziewczyna zapadła w krótki sen. Kamil choć bardzo zmęczony, już nie zasnął. Był szczęśliwy, oszołomiony, podniecony wyjazdem, a zarazem przepełniony jakąś ogromną dojrzałością, tak jakby ujrzał świat z zupełnie innej perspektywy. Wydawało mu się, że przez moment widzi za oknem wielkiego błękitnopyrógo ptaka, ale musiało mu się przewidzieć. O piątej już byli na nogach. Kasia piękniejsza niż kiedykolwiek zrobiła mu jajecznicę. Nie wiedzieć czemu, przyszła mu na myśl brzemienne Matka Boska. Ale było to jedynie ulotne skojarzenie.

– Co takiego chciałaś mi powiedzieć? – zapytał, wycierając talerz skórka od chleba.

– O czym mówisz? – Kasandra zmarszczyła swoje urocze brewki.

– No wieczorem zapowiadałaś, że rano przekazesz mi informację niezwyklej wagi.

– Ja? – zauważył ogromny wysiłek umysłowy malujący się na jej różowej buzi rozpalonej jeszcze snem i miłością. – A nie wiesz przynajmniej z grubsza, o czym to mogłoby być?

– Może chodziło o jeden z twoich proroczych snów.

– Snów? – zdziwiła się naprawdę szczerze. – Nie pamiętam żadnego. A dziś już z całą pewnością nic mi się nie śniło.

– Naprawdę nie pamiętasz? A te wszystkie opowieści o facetach w meloniku, czarnych psach, krukach?

Zmarszczyła swe urocze brewki.

– Bardzo cię przepraszam, ale nie wiem, o czym mówisz. I nie rozgaduj się, tylko dopijaj kawę, bo się spóźnisz.

Zawiozła go na punkt zborny przy Woronicza (od paru tygodni była szczęśliwą posiadaczką prawa jazdy). Ucałowała go serdecznie.

– Wracaj szybko!

Kamil był zdumiony – zero napięcia, strachów widocznych jeszcze minionego wieczora. Efekt udanego seksu i pozbycie się staroświeckich przesądów. Czy coś więcej? W drodze na lotnisko zdrzemnął się. Zresztą ze względu na wczesną porę nikt w autobusie nie kwapił się do rozmowy.

Obudziło go mocne hamowanie. Wyrzął przez okno i zobaczył, jak z jezdni nieśpiesznie podnosi się wielki czarny pies i przeskoczywszy chodnik, znika w krzakach.

Zaraz potem skręcili w bramę lotniska wojskowego.

Jakiś starszy mężczyzna, brodaty staruszek w groteskowym kapeluszu uklonił mu się szeroko.

Jeszcze nie zdążył zarejestrować tego faktu, kiedy dostrzegł moc czarnych ptaszysk, wron czy gawronów, które obsiadły przewody elektryczne i daszek nad budynkiem dla VIP-ów.

– Sceneria jak u Hitchcocka – zwrócił się do siedzącej obok blondynki z telewizji.

– Co, gdzie? – odparła półprzytomna.

– Myślę o tych ptakach – wskazał przed siebie.

– Nie widzę tu ani jednego ptaka poza jednym rannym skowronkiem – mruknęła niechętnie.

Popatrzył za okno. Ptaki rzeczywiście zniknęły.

Naraz zachciało mu się palić. W zasadzie jeszcze w Egipcie zerwał z nałogiem, i nie mógł mieć ze sobą papierosów, ale instynktownie sięgnął do kieszeni. Natrafił na jakiś papier. Wyciągnął i rozprostował. Poznał charakterystyczne równe pismo Kasandry:

„Kochany. Piszę do ciebie na wszelki wypadek, gdybym rano niczego nie pamiętała. W świetle tego, co uważasz za przesady związane z dziewictwem, jest to całkiem możliwe.

Przynajmniej raz jeden nie uważaj mnie za wariatkę. Zrób wszystko, co możliwe albo nawet niemożliwe, aby prezydent Szwendała nie leciał w jednym samolocie z prezydentem Gęsiarowskim, z przewodniczącym Indykiewiczem...”

– Jasnowidząca, a nawet nie zadała sobie trudu, aby dowiedzieć się o właściwą listę gości – uśmiechnął się Kamil. – Do Katynia leci przecież wicepremier Jarosław, a nie jego brat, szef „Solidności”.

Autobus zatrzymał się przed pawilonem dla ViP-ów.

– Dzień dobry, panie redaktorze – usłyszał z boku.

Odwrócił się i zobaczył znajomą twarz. Charakterystyczny wąsik, pieprzyk na policzku.

– Pan przewodniczący – wykrztusił – to pan leci, nie brat?

– Zamieniliśmy się w ostatniej chwili. Jego żona łąda dzień rodzi, poza tym „Solidność” to przecież symbol, który powinien pojawić się tego dnia w Katyniu.

Barczewski coś chciał powiedzieć, ale właśnie wśród rozbłysków fleszów pojawił się Szwendała. Na moment w saloniku zrobił się mały ścisk, kiedy delegacja zderzyła się z falą dziennikarzy. Naraz prezydent pochylił się raptownie i znikł na moment z pola widzenia.

– Co się stało? – Kamil zapytał rzeczownika Drzymałkę, który był bliżej.

– Matka Boska wypadła mu z klapy – odparł Drzymałko. – Niedobry znak.

Kamil podjął decyzję i błyskawicznie przepchnął się przez tłum.

– Panie prezydencie – zawołał – jedno pytanie!

– Później – zgromił go generał Rozgowor, szef Biura Ochrony Rządu. – Mamy opóźnienie. Po za tym stu dziennikarzy czeka na możliwość zadania pytania.

– No właśnie – sam się dziwił własnej bezczelności. – A przecież można by wykorzystać na to czas lotu.

– O czym mówisz, chłopcze? – jego słowa dotarły do Lwa, który się zatrzymał.

– Papież i wielu światowych przywódców wykorzystuje czas przelotu na podniebne konferencje prasowe. Gdyby pan poleciał jednym samolotem z nami...

– To wykluczone, wszystko jest ustalone – zaprotestował Rozgowor. – Są listy. I procedury bezpieczeństwa!

– Ale chyba ja tu jeszcze rządę – Szwendala nie znosił sztywnego protokołu. – Podoba mi się ten pomysł, „podniebna konferencja”. Polecę z dziennikarzami.

Kamil odetchnął. Jeśli właśnie tego pragnęła Kasandra, to powinna być szczęśliwa, że spełnił jej życzenie.

Potem usiadł i spokojnie czekał na zaproszenie do samolotu. Widział, jak Lew Szwendala, Drzymałko i paru ochroniarzy wchodzą po schodkach do drugiej maszyny. Zaraz zrobił się ruch wśród dziennikarzy, stanął więc na końcu kolejki.

Potem podał dokumenty.

– Leci pan drugim samolotem – powiedział oglądający jego paszport oficer.

– Ale ja jestem dziennikarzem... – zaprotestował.

– Ponieważ kilka osób dosiadło się do tego samolotu, musieliśmy przesadzić kilku młodszych dziennikarzy do maszyny dla ViP-ów.

– Ciesz się, polecisz z prawdziwymi znakomitościami i uśmiechnęła się do niego stewardesa.

Więc poszedł. Korciło go trochę, aby podejść do ubranej w błękit kobiety, która wołała do niego coś zza płotu...

Niebo było bezchmurne, czas bezwietrzny. I gdyby nie stada czarnych ptaków wyjątkowo wcześnie jak na tę porę roku nadciągających nad Warszawę, można powiedzieć, że zapowiadał się wyjątkowo piękny dzień.

Koniec

Wawer, maj – czerwiec 2010

Postacie dramatu

Lew Szwendala – przewodniczący NSZZ „Solidność”, potem premier i prezydent RP

Andrzej Drzymalko – jego współpracownik, a następnie rzecznik

Franciszek Szczypióra – jego spowiednik, a następnie kapelan

Mietek Wachmistrzowski – jego kierowca

Krzysztof Puli – jego sekretarz

Jarosław Indykiewicz – działacz opozycji, prezes PC, zaufany Szwendale

Lech Indykiewicz – wiceprezes, a następnie prezes „Solidności”

Anna Makuszyńska – suwnicowa, legenda „Solidności”

Wysz Krzyszkowski – współzałożyciel Wolnych Związków Zawodowych

Ryszard Gęsiarowski – prezydent RP na Uchodźstwie

Tadeusz Małopolski – pierwszy niekomunistyczny premier

Małgorzata Niezabudkowska – kandydatka na rzecznikę

prof. Bronisław Hajduk – historyk mediewista, doradca „Solidności”, szef Klubu OKP

Wacek Turoń – działacz opozycji, minister zasiłków i bezrobocia

Leszek Walutowicz – minister finansów. Autor reformy nazwanej jego nazwiskiem

Waldemar Kluczyński – doradca Tadeusza Małopolskiego

Izabela Sywińska – reżyser, minister kultury

prof. Henryk Atlasowicz – były rektor Uniwersytetu Warszawskiego, minister edukacji

Krzysztof Szczypaczewski – minister spraw zagranicznych

Piotr Magda Boruta – poseł z Krakowa

Mieczysław Jemiołuszka – działacz „Solidności”, poseł Sejmu kontraktowego

major Adam Gładysz, oficer SBN współpracujący z „Solidnością”

Mikołaj Tatarowicz – marszałek Sejmu kontraktowego z ramienia ZSL

Leszek Sikawski – prezes Centralizacji Polski Niepodległej

Krzysztof Książ – jego zięć, działacz CPN

Andrzej Opoka-Buraczany – działacz CPN z Łodzi

Antoni Macierenko – działacz Ruchu Obrony Robotników, później współzałożyciel PCHN-u

Wiesław Musztardowy – prawnik, działacz katolicki, założyciel PCHN-u

Konstanty Wiesiołowski – profesor entomologii, działacz opozycyjnego „Prądu”, poseł Sejmu kontraktowego potem w PCHN

Marek Jarek – poseł Sejmu kontraktowego, działacz PCHN

Wronisław Gomorrowski – działacz opozycyjny

Jan Olsza – adwokat, działacz PCV

Gabryjel Jankiewicz – Lider Niezależnej Partii Chłopskiej

Ryszard Buhaj – poseł OKP, działacz niekomunistycznej lewicy

Adam Pysznik – poseł, redaktor naczelny „Ekspresu Wyborczego”

Dawid Krakowski – redaktor „EW”

Jan Lokajczyk – p.o. redaktora naczelnego Tygodnika Solidność”

Piotr Bazicki – redaktor naczelny „TS”

Jacek Falabiński – dziennikarz Polskiego Radia, później „Ekspresu Wyborczego”

Andrzej Krwawicz – tłumacz z rosyjskiego, kandydat na prezesa Radiokomitetu

Marian Trelicki – działacz podziemia, prezes Radiokomitetu

Gustaw Hering-Styczyński – pisarz emigracyjny

Jerzy Kaniowski – dziennikarz i tłumacz (m.in. Sołżenicyna)

Masław Ciłosz – poeta, laureat Nagrody Mebla

Marek Łaciak – szef RWE

Zdziaław Zajdler – były szef RWE

Jan Starszak Rzczysławski – były szef RWE

Zbigniew Olszyna – profesor, doradca prezydentów amerykańskich

Stefan Budyniowski „Budyń” – felietonista

prof. Paweł Porankiewicz – historyk

Andrzej Cebulak – pisarz (m.in. powieść „Nieszpory brabanckie”), senator

Mirosław Rozgowor – komendant BOR-u, wcześniej klawisz Szwendały

gen. Wojciech Karuzelski – prezydent Polski Ludowej

gen. Czesław Kiszonka – wicepremier, szef MSW

gen. Władysław Perzyna – wiceszef MSW

gen. Henryk Mańkowski – szef „wojskówki”

gen. Jerzy Kudowa – szef SB

gen. Florian Łysicki – minister, szef MON-u

pulkownik Ryszard Kuklinowski – oficer LWP współpracujący z Zachodem, prawdopodobnie uchronił ludzkość przed III wojną światową

Piotr Mięśowicz – były premier w PRL-u

Mieczysław F. Krabik – były premier, ostatni I sekretarz Postępowego Zjednoczenia
Polskich Rewolucjonistów

Stefan Razik – działacz PZPR, negocjator z „Solidnością”

Ireneusz Kukuła – działacz PZPR

Jan Kuszyga – działacz PZPR

Jerzy Turban – rzecznik rządu w trakcie stanu oblężenia

Fredzio Słodzik – szef reżimowych Związków Zawodowych

Aleksander Goryczko – były minister sportu

Leszek Killer – były sekretarz KC PZPR

Józef Keksy – były sekretarz partii na Podlasiu

Michail Korbaczow – sekretarz generalny KPZR

Borys Bielcyn – ambitny działacz rosyjski

Nikołaj Rudin – premier rządu radzieckiego

Eduard Nieporadze – minister spraw zagranicznych ZSRR

Andriej Cukrow – profesor, dysydent radziecki, laureat Pokojowej Nagrody Mebla

Roald Regon – były prezydent USA

George Plush – aktualny prezydent USA

Helmut Schnaps – kanclerz RFN

Hans Dietrych Gonschorek – minister spraw zagranicznych Niemiec

Gunter Polendwitzow – sekretarz KC w partii komunistów niemieckich

Vaclav Havliczek – dramaturg, opozycjonista czeski